Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

NUMER 16 (1412) XXVIII 20 KWIETNIA 1985 ROKU CENA 15 ZŁ

- Wybory zdrowego rozsądku
- Jedyna w kraju
- Polowanie na babcie
- Myśliwcy nocni
- Gdzie królewskie łowy
- Wilczarnia

Małolaty pod bronią

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

W Łodzi produkuje się czołgi, samochody pancerne i wyrzutnie rakietowe. Samych tylko wyrzutni rakietowych zmontowano prawie półtora miliona. Nasze czołgi jadą do Czechosłowacji, Bułgarii i Mongolii. Nowy model czołgu oznaczony kryptonimem „7 TP" leży jeszcze na deskach projektantów. Uruchomienie jego produkcji ma kosztować dziesięć milionów. Niezawodne karabiny wytwarzają inwalidzi w Gliwicach. W Częstochowie powstają znakomite pistolety. Są jeszcze szpady, miecze, armaty... Oczywiście rzecz dotyczy przedmiotów robionych dla dzieci, a służących ponoć do zabawy.

★ ☆ ★

Ogólna sytuacja na rynku zabawkarskim wygląda, krótko mówiąc, źle. Co prawda półki sklepowe są pełne, ale kiedy przyjdzie stanąć przed decyzją wyboru zabawki ładnej, taniej, a przede wszystkim służącej rozwojowi dziecka, wtedy okazuje się, że czegoś takiego na ogół brakuje. Jest natomiast sporo nieciekawych lalek, misiów, układanek ze zwierzątkami, żołnierzyków, czołgów, obskurnych, prymitywnych samochodzików — od co najmniej dwudziestu lat nie zmieniających swojego wyglądu. Mało jest ciągle zabawek, które uczą myśleć, wymagają uwagi, a za właściwie wykonaną czynność dają *dziecku niekłamaną* satysfakcję.

W handlu *jest obecnie zabawek za prawie 13* mld zł. Duża część z nich ma *nikłe szanse na* rychłe opuszczenie sklepowych półek. Na dodatek, we wrześniu ubiegłego roku rynek zabawkarski załamał się, ponieważ handel nie wyraził zainteresowania wyrobami prostymi i tanimi, którymi obrót zwyczajnie nie opłaca się. Drobni producenci zabawek zostali zmuszeni do zmiany profilu wytwórczości — często na artykuły gospodarstwa domowego, albo na masową produkcję koszmarków, akceptowanych przez handel (np. zabawek militarnych).

Osobny problem to surowce. Tych oczywiście brakuje, a na dodatek zabawki wymagają tworzyw o szczególnych parametrach. Mając jedne z najlepszych w świecie norm bezpieczeństwa zabawek i chcąc tych norm dochować, potrzebujemy tkanin, tworzyw sztucznych i metali w najlepszym gatunku. Tymczasem przy rozdzielaniu surowców: dla przemysłu kluczowego, czy dla zabawkarstwa, drugi wariant zawsze musi przegrać. Kolorowe plastyki wędrują więc do producentów kubłów na śmieci, a tkaniny do przemysłu odzieżowego.

W krajach rządzących się prawami rynku, produkcja zabawek jest dobrym biznesem. Do sprzedaży trafiają corocznie zabawki o wartości prawie 350 mld dolarów. O asortymencie lepiej nie wspominać — nie godzi się drażnić dzieci i dorosłych. U nas ten rodzaj wytwórczości traktuje się po macoszemu. Produkcja zabawek nie jest ani chroniona, ani dotowana (może warto skorzystać z doświadczeń sąsiadów?) Żaden program operacyjny nie wspomina o tej kategorii towaru. Wobec powyższego robienie zabawek jest zajęciem dla ryzykantów, którzy potrafią działać w warunkach polowych — przy czym o jakiejkolwiek formie inwestowania w tej branży nie może być mowy. Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich ma wiele gotowych do realizacji projektów, lecz wytwórcy nie posiadają funduszy na wdrożenie ich do seryjnej produkcji. Trudno mieć pretensje do producentów, skoro zdobycie prostego silniczka elektrycznego napędzającego samochodzik, urasta do rangi problemu. Pozostaje zatem klepanie starych wzorów tak długo, jak długo klienci będą brać co jest. Klienci zaś innego wyboru nie mają: lalka dla dziewczynki, samochodzik dla chłopca. Aha — ładnych samochodzików nie ma. No to czołg albo karabin maszynowy...

W najgorszej sytuacji jak zwykle stawiani są rodzice, którzy pragną świadomie kształtować postawy swych pociech. Ci przecież nie podsuną dziecku plastykowego czołgu z łódzkiej

6

Foto: Grzegorz Gałasiński

Śmierć centaurów

WŁADYSŁAW MALKA

Czarny wypasiony kot i kudłaty duży pies zajadają rzucane na podłogę kawałki chleba. Ręka, która łamie chleb jest niewielka, szczupła, podobnie jak jej właściciel. Opadające na kark włosy dzieli pośrodku głowy równa linia przedziałka. Długa broda także jest przedzielona na pół. Mężczyzna podobny do Jezusa Chrystusa ma na sobie granatowy roboczy fartuch, niezbyt świeży, jak wszystko wokół.

Jest wieczór, nad niewielkim budyneczkiem zawisło ołowianoszare niebo. Mężczyzna o fizjonomii Zbawiciela przekręca kontakt, światło jarzeniowych lamp odpycha ciemność, wydobywa dziesiątki ciężarowych samochodów ustawionych w niedbałym ordynku na rozległym placu pokrytym czarną błotną mazią.

Od czasu do czasu do bazy zjeżdża jeszcze jakiś zapóźniony dromader szos, zatrzymuje się przed budyneczkiem, słychać trzask drzwiczek, przytłumioną rozmowę, kilka minut formalności, warkot motoru i znowu cisza. Portier o rysach twarzy powielonych w tysiącach obrazów kładzie na stoliku niewielką walizkę i wyciąga z niej maszynę do pisania. Otwiera także skórzany neseser. Wewnątrz, w niebieskich sztywnych okładkach na kalce maszynowej spoczywają maszynopisy i rękopisy. Jest ich cały stos. Delikatna, szczupła ręka kładzie na stoliku dwie książki: C.M. Turnball — Leśni ludzie i W. Szafrański — Pradzieje religii w Polsce. Czasu jest dużo i na pisanie, i na czytanie kupionych niedawno książek.

W banalnym pomieszczeniu przesiąkniętym tytoniowym dymem, gdzie surowość sfatygowanych sprzętów dziwnie harmonizuje z byle jakim życiem ludzi, którzy być może nawet tego nie zauważają, urywa się bezgłośny galop centaurów, półkoni i półludzi. Urokliwy mit grecki o dzikich gwałtownych istotach nazwanych „nieszczęściem ziemi", synach Iksjona i Nefele, dla tego człowieka przestał już być zagadką. Na kilkudziesięciu kartkach maszynopisu o nietypowym, stworzonym na własny użytek formacie rozprawia się z ludzką wyobraźnią, która niegdyś połączyła konia i mężczyznę w jeden twór. To pierwszy rozdział książki zatytułowany: „Na przykładzie centaurów", inne powstaną podczas długich godzin gdy wielotonowe ciężarówki stoją nieruchomo, a przez obskurne pomieszczenie nie przewijają się ludzie, którzy nie wiedzą kim byli Chiron, Folos czy nieokiełznany Eurytion, za to w jednym palcu mają mapę samochodową Polski. Jedno jest pewne, świat nie ujrzy tej książki. Lecz tego nie wie jej autor.

Pies, który wyciągnął się na podłodze pod ścianą i kot, co drzemie tuż obok niego, na fotelu, unoszą głowy, gdy rozlega się przytłumiony łoskot czcionek wybijających litery na kartce papieru wkręconej w wałek maszyny. W imię czego powstają owe maszynopisy, które następnie umieszczane zostają w niebieskich tekturowych okładkach, by ostatecznie spocząć w czarnym nesesserze? Równie dobrze można by zapytać, dlaczego malował Nikifor, choć on i człowiek podobny do Chrystusa, to jakby dwa bieguny tego samego — ironii ludzkiego losu, jego klęski w obliczu ślepego wiru życia.

Człowiek, który nie spiesząc się wystukuje na maszynie zawiłe, a nawet i błyskotliwe zdania, jest schizofrenikiem. W małych nieco zaczerwienionych oczach tli się ledwo uchwytny re-

6

Czy nadszedł zmierzch Zachodu?

Część I

EDMUND LEWANDOWSKI

W 1971 roku prezydent USA, Richard Nixon, zaskoczył dziennikarzy i światową opinię publiczną następującym dramatycznym oświadczeniem:

„Na Akropolu i Forum Rzymskim widać resztki wielkich cywilizacji przeszłości, widać jak one się bogaciły i jak potem, straciwszy wolę życia, wolę poprawy istniejących warunków uległy dekadencji, która niszczy wszelką cywilizację. Stany Zjednoczone wkraczają właśnie w taki okres".

Podobnie pesymistyczny charakter miało przemówienie prezydenta Jimmy Cartera z 15 lipca 1979 roku. Mówił on o widocznych wszędzie symptomach kryzysu ducha amerykańskiego. Amerykanie przekonali się, jego zdaniem, że samo gromadzenie, posiadanie i konsumowanie dóbr materialnych nie może wypełnić pustki życia i dać pełni zadowolenia. Większość społeczeństwa nie chce nawet głosować i coraz mniejszym szacunkiem darzy rząd, kościół, szkoły, środki masowego przekazu. *„Nie wróży to nic dobrego na przyszłość* — podkreślał — *lecz taka jest prawda i jest to ostrzeżenie".*

Za rządów Ronalda Reagana atmosfera psychiczna w USA poprawiła się, Szczególnie młodzież nabrała wiary w pomyślną przyszłość i sens dorabiania się. Prawie 70 proc. studentów amerykańskich najwyżej ceni dobrobyt materialny, a tylko niespełna 10 proc. wartości ideowe. Ale niektórzy uważają, że obecny boom niebawem się skończy i Amerykę znów ogarnie bezwład i pesymizm, ponieważ mamy do czynienia z chorym społeczeństwem. Istnieje też pogląd, że choroba toczy całą cywilizację Zachodu, nad którą stopniowo i nieuchronnie zapada zmierzch. Zwiastunami upadku — signum temporis — mają być nasilające się zjawiska militaryzmu, terroryzmu, przestępczości, indyferentyzmu moralnego i religijnego, dewiacji seksualnych, nerwicowości, narkomanii.

POGLĄDY OSWALDA SPENGLERA

Rozważania na temat kryzysu i upadku cywilizacji zachodniej stały się popularne od 1918 roku. Ukazał się wówczas pierwszy tom dzieła Oswalda Spenglera pt. *„Zmierzch Zachodu"*. Autor — niemiecki nauczyciel przyrodoznawstwa i matematyki — zdobył wkrótce ogromną sławę. Książka jego wywołała tak ożywioną dyskusję, że rok 1919 nazwano rokiem Spenglera. Był to, czas, przypomnijmy, kiedy Europa leczyła rany po I wojnie światowej oraz przeżywała wielką falę wystąpień robotniczych i śledziła losy rewolucji społecznej w Rosji.

Oswald Spengler dostrzegał w dziejach świata tylko osiem wielkich — całkowicie odrębnych, oryginalnych i równorzędnych — kultur: babilońską, egipską, chińską, indyjską, antyczną, arabską, meksykańską i zachodnioeuropejską. Przyrównywał je do organizmów, które rodzą się, rozwijają, starzeją i umierają. Każda kultura żyje około 1000 lat, a kończy swój żywot w stadium cywilizacji. Powstanie cywilizacji oznacza „zmierzch" (Untergang), albo inaczej „spełnienie" (Vollendung) kultury, czyli wyczerpanie jej możliwości twórczych, urzeczywistnienie wszystkich ideałów, osiągnięcie szczytu. W tej fazie kultura może wprawdzie jeszcze bardzo długo trwać — *„niczym uschnięte olbrzymie drzewo w pradawnym lesie"* — ale nie wyda już żadnych nowych owoców, nie zaowocuje dziełami wartościowymi.

Przejście od naturalnej i twórczej kultury do sztucznej i bezpłodnej cywilizacji dokonuje się na mocy pozahistorycznych sił kosmicznych. Cywilizacja jest nieuniknionym przeznaczeniem, organiczno-logicznym skutkiem każdej kultury. Na tym etapie nie należy oczekiwać niczego wartościowego, jak nie spodziewamy się, że tysiącletni dąb właśnie teraz rozpocznie swój właściwy rozwój. *„Każdy w takim wypadku —*

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego: 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36 80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Tomasz Sas.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Edward Bryl Krzysztof Drzewiecki Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, J Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Marek Mamos Zenon J Michalski, Krystyna Namysłowska Jerzy Panasewicz Ewa Pankiewicz Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" 90 950 Łódź ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00 958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153 201045 139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykła jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 1136. P-2.

Przegląd prasy

Sezon polityczny w naszej prasie trwa w najlepsze. Ale jakiś dziwny to sezon — podczas gdy jedni w pocie czoła usiłują zgłębiać istotę politycznych wydarzeń, drudzy z wdziękiem i bezpretensjonalnością słoni w składzie porcelany wznawiają rozmaite ulubione gry i zabawy ludu polskiego. Taką właśnie polityczną zabawę podjął w tym roku „Przegląd Tygodniowy" — jest to

GRA W STO PROSTYCH PYTAŃ

wywodząca się w prostej linii od słynnej facecji Stańczyka, który z obwiązaną gębą łaził po krakowskim rynku i udowodnił, że w Polsce najwięcej jest lekarzy. Podobnie „obolałą gębę" wystawiła na świat redakcja „Przeglądu Tygodniowego" zadając w bożenarodzeniowym numerze z ubiegłego roku rozmaite pytania obywatelom w przekonaniu, *„...że każdy z nas ma ukrytą w głębi duszy receptę na polskie dolegliwości, schorzenia, problemy. Że wiemy, jak powinno funkcjonować państwo, gospodarka, co powinna czynić władza, instytucje ważne dla społeczeństwa, wreszcie my sami, jako społeczeństwo".*

Już sama lektura tych pytań przyprawiła mnie przed paroma miesiącami o coś w rodzaju pląsawicy intelektualnej. No bo sam pomysł wydawał się genialny — Polacy w roli zbiorowego eksperta... Wystarczy tylko zapytać, a już rodacy wymyślą najdoskonalszy sposób zbawienia Rzeczypospolitej. No i sam zestaw stu pytań wydawał się imponujący, swą rozpiętością tematów wystawiający doskonałe świadectwo politycznej przenikliwości i obywatelskiej troskliwości „PT." Redaktorów „PT.".

Teraz co jakiś czas redakcja raczy nas odpowiedziami na rozmaite pytania — zapasu starczy na parę ładnych lat. Niedawno publikowano odpowiedzi na pytanie, czy Polsce potrzebny jest prezydent (ależ owszem, prosimy bardzo — odrzekli spragnieni belwederskich rautów i w ogóle silnej władzy obywatele...). Teraz czytelnicy „PT" (nr 15 — 85.04.14) zastanawiają się

CZY POLSKĘ MOŻE UZDROWIĆ BEZROBOCIE?

i czy przypadkiem jego wprowadzenie nie byłoby naruszeniem postaw ustrojowych socjalizmu?

Odpowiedzi jak to odpowiedzi. Jeden docent uważa, że praca jest tak ważną wartością społeczną, iż przymusowe jej pozbawianie przyniosłoby tylko same szkody — zdaniem docenta należy po prostu pracę lepiej organizować i nie marnować jej. Inny profesor od fruktów z kolei sądzi, że nie bezrobocie jest potrzebne, a reforma nazbyt liberalnego prawa pracy — by łatwiej było wyrzucać złych pracowników. Parę innych osób jest za kontrolowanym bezrobociem (w celach pedagogicznych...), jeden obywatel, też za, ale z odpowiednio wysokimi zasiłkami (pewnie sam chciałby).

Tak więc bezmyślność emanująca z tych odpowiedzi jest umiarkowana — tak średnia mniej więcej, jak średnia jest wielkość naszego kraju. Za to paranoja zawarta w samym pytaniu jest zaiste rekordowych rozmiarów — ręce opadają. Już nie wiem jak tłumaczyć domorosłym uzdrowicielom, że bezrobocie to nie lekarstwo, a właśnie objaw patologii, wymagający sam leczenia, jeśli się pojawi. I tu homeopatia, czyli leczenie minimalną, kontrolowaną dawką trucizny, nic nie pomoże. Lek „wytruje" co nieco osobników z marginesu, którym zapachnie zasiłkowy luksus socjalny, dający dużo wolnego czasu. A reszta — i tak zawsze znajdzie zatrudnienie w warunkach, jakie aktualnie dominują w naszej gospodarce. Więc po co w kółko rozprawiać o dostatecznie już skompromitowanym micie ekonomicznym? Czyżby była to mania prześladowcza autorów stu pytań w „PT"?

Zresztą dajmy spokój maniakom — zajrzyjmy lepiej,

JAK SIĘ MA INTELIGENCJA

i co sama o sobie myśli. Donosi o tym w „Polityce" (nr 15 — 85.04.13) doc. Stanisław Kwiatkowski, szef „Cebosu", jak zgrabnie nazwano Centrum Badania Opinii Społecznej.

Otóż inteligencja myśli o sobie, że powinna być elitą, ale jakoś spsiała i zbiedniała, więc nie dorasta do przedwojennego poziomu. Aż 87 proc. pytanych o zdanie inteligentów uważa, że inteligencja powinna być duchowym przywódcą narodu, ale jednocześnie aż 68 proc. sądzi, że inteligencja współczesna tego zadania nie spełnia. Ciekawie wygląda rozkład przyczyn, dla których — zdaniem badanych — tak się dzieje. Połowa ograniczeń ma charakter materialny, a druga połowa — polityczno-doktrynalny.

20 proc. badanych sądzi, że przyczyną jest nieliczenie się z głosem i opinią inteligencji, 18 proc., — że brak demokratycznych możliwości wypowiadania się i działania, niemożliwość krytycznego oceniania sytuacji politycznej, 12 proc. — że zła sytuacja materialna, 8 proc. — że brak stabilizacji w kraju, 7 proc., — że to winien jest niski status inteligencji, 6 proc. przypisuje tę sytuację dominacji klasy robotniczej, a 4 proc. — niewłaściwemu doborowi ludzi do władzy.

Na tym tle ciekawie wygląda stanowisko badanych w kwestii zaangażowania społecznego — aż 76,5 proc. sądzi, że nie jest ono konieczne, a nawet nie ma żadnego znaczenia. Jak to pogodzić z intencją odgrywania przywódczej roli w społeczeństwie — czy wystarczy spełnianie tylko powinności moralnych wobec społeczeństwa (czyli samego „bycia" w charakterze wzorca zapewne), które deklarowało jako najważniejsze aż 70 proc. badanych inteligentów...

Inteligencja sądzi, że jest biedna i ma utrudniony rozwój osobniczy — aż 50,5 proc. uznało, że najważniejszym problemem jest status materialny i możliwości własnego rozwoju intelektualnego.

W związku z tym aż 52,5 proc. badanych uważa, że

INTELIGENT PRZEDWOJENNY BYŁ LEPSZY

a tylko 20 proc. sądzi, że bardziej wartościowi są inteligenci współcześni. Doc. Kwiatkowski sądzi, że *„(..) utrwalił się pewien model, wzór inteligenta z przeszłości. Być może jest to historyczny punkt odniesienia dla dzisiejszego inteligenta, tzn. stan obecny ocenia się według stanu idealnego utrwalonego przez pokolenia. Stąd wzorem „jak być powinno" staje się wyobrażone, mitologizowane to, co kiedyś było".*

I znów te polskie mity... Gdzie by nie zajrzeć — są, ba, rozwijają się, podkarmiane przez niezliczonych fagasów w samozwańczej służbie nierzeczywistości.

„Dzisiejszy inteligent — pisze Kwiatkowski — *jest może wysokiej klasy projesjonalistą, człowiekiem demokratycznie otwartym, czuje się jednak upośledzony w stosunku do mitu i ethosu „starej inteligencji". Uważa, że wiele stracił ze swej genealogii: przede wszystkim pozycję społeczną i prestiż, status materialny i wyróżniające go spośród innych walory osobiste, sposób bycia, kulturę i moralność. A cechy te miały zawsze i nadal mają znaczenie większe niż miejsce w społecznym podziale pracy".*

Na odtrutkę wystarczy sobie przeczytać, co w tym samym numerze „Polityki" Andrzej Halimarski pisze o inteligencji chińskiej — wysoko wykwalifikowany tłumacz od 20 lat czyści kible w szanghajskiej fabryce, stosownie do kategorii społecznej, do której zaszeregowano ludzi wykształconych — była to „śmierdząca kategoria" — jak zwykle uroczo i poetycko nazwana, co zresztą jest miłą cechą Chińczyków... A my tu się przejmujemy swoimi dziejowymi misjami.

Zacznijmy lepiej przejmować się przyszłością, w tym także przyszłością inteligencji. A przyszłość ta powstaje przede wszystkim w szkole. Właśnie wywiadu na temat perspektyw wychowania młodego pokolenia udzielił „Odrodzeniu" (nr 15 — 85.04.14) prof. Mikołaj Kozakiewicz.

Rozmówca „Odrodzenia" nie ukrywa, że nisko ocenia stan szkolnictwa — tej podstawowej bazy wychowawczej. Jego zdaniem trzeba wręcz

RATOWAĆ OŚWIATĘ PRZED BANKRUCTWEM

„...na skutek wielkich zaniedbań inwestycyjnych, zrujnowania bazy materialnej, braków kadrowych (...) do tego jest nam tak potrzebny Narodowy Czyn Pomocy Szkole. Bowiem w obecnej sytuacji państwo nie jest w stanie (...) stworzyć w ciągu 10 lat miliona dwustu do miliona pięciuset tysięcy nowych miejsc w szkole. To oznacza praktycznie konieczność wybudowania około 2 tysięcy szkół. Jest więc absolutnie niemożliwe".

Ale drugi problem oświaty jest — zdaniem profesora — znacznie poważniejszy: trzeba po prostu stworzyć lepszą szkołę...

„Bo niezależnie od tego, że ma ona kiepskie warunki, jest to szkoła bardzo niedobra. Jest to szkoła przestarzała, szkoła, która w wyniku wydarzeń 1980—81 utraciła zaufanie i wiarygodność w oczach rodziców, uczniów i samych nauczycieli. W gruncie rzeczy to by wymagało długofalowej działalności dla przebudowy, przerekonstruowania wnętrza szkoły, zarówno w relacji uczeń — nauczyciel, w relacji nauczyciele — rodzice, w relacji różne czynniki polityczne — nauczyciel. Żeby szkoła dała się lubić, żeby się chciało w szkole pracować nauczycielom, żeby się chciało do szkoły chodzić uczniom".

I na to prof. Kozakiewicz daje nam wszystkim dziesięć lat. Niewiele...

Tymczasem w szkole jest wesoło. Na przykład w Piątku

W SAMYM ŚRODKU POLSKI

nauczyciel Zespołu Szkół Rolniczych Mieczysław Rykała (tak, ten sam, co rozpętał przed laty aferę wokół niegospodarności w zakładzie doświadczalnym Instytutu Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa w Topoli-Błoniu koło Łęczycy) jakoby pobił swego szanownego dyrektora, za co został zwolniony.

O kulisach tej „przepychanki" pisze Andrzej Szmak w „Tu i Teraz" (nr 15 — 85.04.10): *„Mieczysław Rykała odwołał się od decyzji dyrektora Cisaka do Terenowej Komisji Odwoławczej do Spraw Pracy w Łęczycy, twierdząc, że nie pobił go, lecz jedynie odtrącił łokciem, w chwili, gdy ten próbował mu wyrwać z ręki zeszyt z protokołami narad kierownictwa. Poinformował także komisję, że tło konfliktu nie miało nic wspólnego z pracą zawodową, lecz wiązało się z wydarzeniami zaistniałymi latem 1983 roku w miejscowości Vehlenfanz w NRD, gdzie przebywała na praktyce 30-osobowa grupa uczniów ze szkoły w Piątku".*

Dalej ciągnie się opowieść jak to z wizytacją wybrali się tam wojewódzcy decydenci oświatowi i szefowie spółdzielczości rolniczej, popili sobie i postanowili zapewne potem pozbyć się niewygodnego świadka Rykały, który obserwował tę wizytację jako opiekun młodzieży. Łęczycka komisja już po roku rozpoznawania sprawy(!) oddaliła odwołanie Rykały...

Oj, ten Rykała... jak on ciężko i opornie uczy się życia w podłęczyckim klimacie. Boć przecie sugestię, jakoby głównie był to „klimat bezprawia", należy z całym przekonaniem odrzucić. Gdzie jak gdzie, ale w środku Polski prawo panuje niepodzielnie i żadni tam krytykanci, wichrzyciele, chuligani, malkontenci i parszywe owce nie są w stanie zmącić ładu i porządku „cebulowego zagłębia" — zwłaszcza zaś w szkole, tej wysuniętej placówce walki o postęp techniczny, cywilizacyjny i w ogóle.

TOMASZ SAS

Dni Kultury Radzieckiej

W miniony poniedziałek zainaugurowano obchody tegorocznych DNI KULTURY RADZIECKIEJ w Łodzi. Jest to cykliczna impreza, w czasie której mieszkańcy naszego miasta mają sposobność zobaczyć nie tylko nowe filmy czy kupić rzadką książkę rosyjską, ale osobiście spotkać się z ludźmi radzieckiego kina, wysłuchać wybitnych muzyków czy solistów operowych i porozmawiać ze znanymi pisarzami.

Dni Kultury Radzieckiej będą trwać od 16 do 25 kwietnia br., choć, jak wspomniałem już, w poniedziałek w Muzeum Miasta Łodzi zainaugurowano ich obchody otwierając wystawę książki radzieckiej, na której zgromadzono ponad 400 tytułów. Jest to przegląd dorobku edytorskiego Kraju Rad za ostatnie lata. A jest to dorobek niemały: poczynając od pięknie wydanych albumów, poprzez słowniki, encyklopedie i atlasy, po dzieła autorów zagranicznych. Na dobrą sprawę co najmniej połowę zgromadzonych eksponatów chciałoby się mieć we własnej bibliotece. Oto całe serie literatur świata, oto wielki cykl „Mistrzowie prozy współczesnej", w którym znalazł się nasz Teodor Parnicki w towarzystwie takich sław jak Italo Calvino, Per Lagerkvist czy Robert Warren i Abe Kobo. A obok tego dzieła Jarosława Haska, Anatola France'a, Honoriusza Balzaka, spory cykl książek z serii „Biblioteka literatury USA", (m. in. London, Cooper i inni).

Osobny dział stanowi literatura rosyjska i radziecka. Wielotomowe wydania Lwa Tołstoja, Antoniego Czechowa, Rasula Gamzatowa, Michaiła Priszwina, Konstantego Fiedina, Pojedyńcze zbiory, jakże pięknie wydane, poezji Andrieja Wozniesieńskiego, prozy Michała Bułhakowa czy Wasilija Szukszyna.

Wiele można byłoby pisać o słownikach (wielkie zainteresowanie zwiedzających wzbudził 4 tomowy słownik chińsko-rosyjski!), atlasach (geograficzne, zwierząt, ptaków, roślin itp.), mapach wydawnictwach dla najmłodszych. Ale to trzeba zobaczyć!

Równocześnie z wystawą „Dom Książki" zorganizował stoisko sprzedaży książek i płyt na sumę 220 tys. zł. Bestsellerem dnia stały się dwie płyty Włodzimierza Wysockiego! Ponadto można było kupić nagrania piosenek Zanny Biczewskiej i Ałły Pugaczowej oraz sporo utworów muzyki klasycznej, że wymienię Beethovena, Brahmsa i Czajkowskiego.

W czasie tegorocznych obchodów Dni Kultury Radzieckiej będziemy gościć w Łodzi znakomitego tenora **Aleksandra Diedika**, który wystąpi w „Halce" i w „Aidzie" oraz **Eugenię Gorochowską** — mezzosopran, a także **Natalię Gutman** — wiolonczelistkę która dwukrotnie wystąpi w naszej filharmonii. W Teatrze Muzycznym zaś zobaczymy **Ukraiński Zespół Pieśni i Tańca im. G. G. Wieriowki**, natomiast w filharmonii wystąpi **Kwartet im. L. Beethovena.** A do tego w łódzkich bibliotekach i domach kultury trwać będą środowiskowe imprezy związane z obchodzonymi „Dniami".

E. IW.

Minął tydzień

XIII KONGRES STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO

obradował w Warszawie. W sali Teatru Wielkiego spotkało się blisko 700 delegatów reprezentujących ponad stutysięczną rzeszę członków SD. W referacie sprawozdawczym, któremu w „Kurierze Polskim" nadano wymowny tytuł „O umocnienie sensu życia na polskiej ziemi", poddano ocenie udział Stronnictwa w życiu politycznym państwa i jego realny, wciąż rosnący dorobek społeczny — inicjatywy ustawodawcze, prace w dziedzinie aktywizacji rzemiosła i drobnej wytwórczości oraz ochrony środowiska. Zarysowano program Stronnictwa na najbliższe lata.

Podczas obrad przemówienie do delegatów i gości Kongresu wygłosił gen. Wojciech Jaruzelski, dając wyraz woli bezwzględnego realizowania sojuszu politycznego PZPR z siłami demokracji skupionymi wokół SD, oraz wyrażając uznanie dla czynnej i twórczej działalności członków Stronnictwa, przede wszystkim inteligentów, dla dobra kraju.

Kongres dokonał wyboru nowego przewodniczącego CK SD. Do tej godności kandydowali: dotychczasowy przewodniczący Edward Kowalczyk i Tadeusz Witold Młyńczak, przewodniczący CK w latach 1976—81. Po kilku turach wyborów niewielką większością głosów wybrany został Tadeusz Witold Młyńczak.

SĘDZIA KOŚCIELNIAK

z Sądu Wojewódzkiego w Warszawie wydał postanowienie o zarejestrowaniu Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. W ten sposób krajowa reprezentacja związkowców zyskała formalnie pełnię praw przewidzianych przez ustawę o związkach zawodowych. Warto przypomnieć, że do rejestru sądowego wpisano już 131 ogólnokrajowych organizacji związkowych — najmłodszym jest Związek Zawodowy Pracowników Polskiej Akademii Nauk.

W TIRANIE

zmarł w wieku 77 lat Enver Hodża, I sekretarz Albańskiej Partii Pracy, wieloletni przywódca państwa i narodu, i — jak można sądzić — inicjator konsekwentnie prowadzonej polityki pełnej autarkii gospodarczej, samowystarczalności oraz międzynarodowej izolacji politycznej. Ambasady albańskie w Belgradzie i Paryżu poinformowały, że pogrzeb Envera Hodży odbędzie się bez udziału delegacji zagranicznych, co stawia pod znakiem zapytania sensowność spekulacji o mającym rychło nastąpić otwarciu Albanii na współpracę ze światem.

PAPIEŻ JAN PAWEŁ II UDZIELIŁ BŁOGOSŁAWIEŃSTWA

przywódcom greckiej, włoskiej i francuskiej skrajnej prawicy oraz ugrupowań neofaszystowskich (m. in. szefowi jawnie rasistowskiego francuskiego Frontu Narodowego Jean-Marie le Penowi) „na kontynuowanie walki przeciwko upadkowi wartości moralnych w Europie". Gest ten — dokonany na miesiąc przed obchodami czterdziestolecia zwycięstwa nad faszyzmem — wzbudził zaniepokojenie i oburzenie wielu postępowych środowisk i organizacji europejskich.

VICESEKATOR

Czy nadszedł zmierzch Zachodu?

ze str. 1

czytamy — *ma niewątpliwe poczucie pewnej granicy, które utożsamia się z poczuciem wewnętrznej formy organicznej*".

Podstawą kultury jest zawsze wieś oraz szlachta i chłopstwo. Natomiast w cywilizacji dominuje miasto oraz stan trzeci (mieszczaństwo) i pojawia się podział na wielką metropolię oraz wtórną prowincję. W kulturze łączą ludzi bezpośrednie więzi i wartości duchowe, a w cywilizacji instytucje formalne, interesy materialne i pieniądze. W przeciwieństwie do kultury, która rozwija się wewnętrznie, cywilizacja jest ekspansywna, imperialistyczna i kosmopolityczna. W cywilizacji zanika religijność, miejsce mądrości chłopskiej zajmuje chłodny intelektualizm, stany zostają zastąpione przez partie, elitę kulturalną wypiera polityczna, powstaje demokracja i dyktatura.

Zdaniem Spenglera kultura zachodnioeuropejska narodziła się w X wieku, a na początku XIX stulecia przeszła w stadium cywilizacji. Jest więc już kulturą schyłkową, która nie może wydać wielkich dzieł duchowych. Ale wciąż jeszcze nie osiągnęła szczytu możliwości technicznych i pod tym względem będzie nadal się rozwijać. Nie ma tylko co marzyć o ideałach i wspaniałej sztuce. Odpowiadając na głosy w dyskusji wokół jego książki, Spengler zarysował następującą wizję przyszłości:

„Twardość", rzymska twardość poczyna obecnie dominować na świecie. Dla czegoś innego nie będzie wkrótce w ogóle miejsca. Sztuka — tak, ale w betonie i stali, poezja — tak, ale tworzona przez ludzi o stalowych nerwach i bezwzględnym spojrzeniu, religia — tak, ale bierz śpiewnik, nie zaś Konfucjusza na czerpanym papierze, i idź do kościoła, polityka — tak, ale uprawiana przez mężów stanu, nie zaś poprawiaczy świata. Nic innego nie wchodzi w rachubę".

Taki jest immorsiny los społeczeństw zachodnich, z którymi trzeba się pogodzić. Ludzie powinni wziąć się do techniki i polityki, a nie do liryki, malarstwa, teorii poznania.

Spengler przewidywał, że nowa tysiącletnia kultura powstanie w Rosji. *„Najbliższe tysiąclecie — pisał — będzie należało do chrześcijaństwa Dostojewskiego"*. Na równinie między Wisłą a Amurem ukształtuje się rzeczywistość ustrojowa stanowiąca obiektywizację duszy rosyjskiej, której potęgę opisał Fiodor Dostojewski. Notabene później do podobnego wniosku doszedł również Adolf Hitler. W obliczu nieuchronnej klęski w 1945 r. mówił do Speera: *„Naród okazał się słaby, a przyszłość należy do silniejszego wschodniego narodu"*.

Niektórzy traktują Spenglera jako zwiastuna faszyzmu. Powitał on zresztą potem z zadowoleniem ruch narodowosocjalistyczny — podobały mu się szczególnie: duch pruski, antykomunizm oraz socjalizm autorytatywny. W lipcu 1933 r. spotkał się nawet z Hitlerem, ale nie godził się na propozycje bliższej współpracy. Z kolei ideologowie „tysiącletniej" Trzeciej Rzeszy nie byli zachwyceni ostateczną wymową jego dzieła. Krytykowali go za pesymizm i brak apoteozy rasy aryjskiej, a poza tym uważali, że miał część krwi żydowskiej.

POLEMIKI Z OSWALDEM SPENGLEREM

W lutym 1920 r. Spengler prezentował tezy swojej książki studentom monachijskim w sali ratusza miejskiego. Przy okazji szydził z prognoz Karola Marksa. Na to ostro zareagował uczestniczący w imprezie Max Weber. Ten wybitny uczony stwierdził, że proroctwa Marksa — poza pewnymi doniosłymi odchyleniami — sprawdziły się, zaś przepowiednie Spenglera *„pozbawione są jakiejkolwiek wartości naukowej"*.

Dwa lata później do koncepcji Oswalda Spenglera ustosunkował się Włodzimierz Lenin. W artykule na łamach „Prawdy" pisał:

„Stara, burżuazyjna i imperialistyczna Europa, która przywykła uważać się za pępek świata, rozpadła się w czasie pierwszej rzezi imperialistycznej jak pękający, cuchnący wrzód. Jakkolwiek utyskiwaliby Spenglerowie oraz wszyscy wykształceni kołtuni, pełni podziwu dla głoszonych przezeń teorii (lub chociażby pilnie je studiujący) — to jednak upadek starej Europy jest zaledwie jednym z epizodów historii upadku światowej burżuazji, która utuczyła się imperialistyczną grabieżą i uciskiem większości mieszkańców kuli ziemskiej".

Lenin wskazywał, że ta uciskana większość ludzkości właśnie przebudziła się i w krajach kolonialnych narastają rewolucje, które złożą się na wielki światowy proces rewolucyjny. Na III Kongresie Międzynarodówki Komunistycznej mówił, żeby nie bagatelizować ruchów narodowych w krajach kolonialnych, ponieważ teraz walczą o niezależność, a w przyszłości z pewnością zwrócą się przeciw imperializmowi i kapitalizmowi. W ten sposób chłopi owych krajów, chociaż *„obecnie pozostają jeszcze w tyle"*, to jednak *„odegrają bardzo poważną rolę rewolucyjną w następnych fazach rewolucji światowej"*. Warto tu przypomnieć, że wówczas kraje zależne obejmowały aż 43 proc. powierzchni oraz 41 proc. ludności świata! A później faktycznie ruchy narodowowyzwoleńcze doprowadziły do rozpadu systemu kolonialnego i osłabienia światowego imperializmu.

W latach trzydziestych Oswald Spengler uznał, że podstawowy front walki przebiega między białymi narodami Europy Zachodniej i Ameryki Północnej a kolorowymi ludami reszty świata. Przy czym do „kolorowych" — co ciekawe — zaliczył również Rosjan i wszystkich Słowian! W 1931 r. pisał:

„Pozostałe narody przybierają postać kolonii lub pozornie niezawisłych państw dostarczających surowców i stanowiących rynki zbytu. Podział ten zabezpieczają armie i flotylle, których utrzymanie jest uwarunkowane bogactwem krajów uprzemysłowionych, a które wskutek technicznego przekształcania same staną się maszynami «pracującymi» za naciśnięciem guzika. (...) Mechanizacja świata wkroczyła w stadium niebezpiecznego natężenia. Zmienił się obraz Ziemi z jej światem roślin, zwierząt i ludzi. Za kilkadziesiąt lat zniknie większość ogromnych lasów, przerobionych na papier gazetowy, a tym samym nastąpią zmiany klimatu, zagrażając rolnictwu na całej kuli ziemskiej".

Spengler uważał, że wbrew marksizmowi „biali robotnicy" nie odegrają rewolucyjnej roli, ponieważ w porównaniu z „kolorowymi" żyją w luksusowych warunkach. Jego zdaniem zagrożenie dla Zachodu nadchodzi ze strony ludów zależnych. Tam rodzi się „zemsta wyzyskiwanego świata na jego władcach". W dodatku Zachód sam dał przeciwnikom oręż w postaci nowoczesnej techniki. Niektórzy spośród kolorowych uczniów zdołali już nawet prześcignąć pierwowzór. Ale dla nich technika liczy się tylko jako broń przeciwko państwom imperialistycznym. Toteż po upadku Zachodu świat maszyn i wieżowców ulegnie rozbiciu i zapomnieniu, jak niegdyś drogi rzymskie, mur chiński, pałace Babilonu. Nie znamy tylko dokładnego czasu i sposobu końca, lecz wiemy, że szybko i nieuchronnie się zbliża.

Kasandryczna koncepcja Spenglera wzbudziła tyleż zachwytów, co gwałtownych sprzeciwów. Tomasz Mann nazwał go *„hieną dziejową"*. Jednakże trzeba przyznać, że Spengler dobrze wyraził niepokoje dość szerokich kręgów inteligencji zachodniej i jakby uporządkował nastroje katastroficzne, a z drugiej strony wzmocnił je i utrwalił.

Próbę przezwyciężenia tego katastrofizmu podjął historyk angielski Arnold Toynbee. Wydał w tym celu monumentalne dzieło pt. *„Studium historii"* — liczące aż 10 tomów i około 8 tys. stron druku. Pierwsze tomy ukazały się w 1934 r., następne w 1939 i ostatnie w 1954 roku. Tak samo jak Spengler, przyjął on cykliczną teorię rozwoju, lecz centralnym pojęciem uczynił „cywilizację", a nie kulturę. Cywilizacja w jego koncepcji oznacza pewną odrębną i samodzielną całość, która w przeciwieństwie do społeczeństwa pierwotnego jest dynamiczna oraz zwrócona ku przyszłości.

Toynbee zgadzał się ze Spenglerem, że w historii nie ma ogólnoludzkiego postępu społecznego, lecz ciągłe powtarzanie, ale miał nadzieję, że uda się przerwać fatalistyczny kołobieg. W panoramie dziejów ludzkich wyodrębnił on 21 następujących cywilizacji: egipską, sumeryjską, minojską, chińską, andyjską, majańską, jukatańską, meksykańską, hetycką, syryjską, babilońską, irańską, arabską, nowochińską, dalekowschodnią, indyjską, hinduską, helleńską, bizantyjską, rosyjską i zachodnioeuropejską. Wszystkie cywilizacje są równowartościowe i w pewnym sensie współczesne. Każda przechodzi przez trzy fazy rozwojowe — narodziny, wzrost i upadek.

Cywilizacja rozwija się dopóty, dopóki społeczeństwo udziela właściwych odpowiedzi na wyzwania pochodzące ze środowiska geograficznego i politycznego. Brak odpowiedzi na wyzwanie lub odpowiedź nieadekwatna prowadzą do upadku. Rozwój jest również zagrożony w przypadkach zbyt surowego lub zbyt łagodnego wyzwania. W awangardzie rozwoju kroczą zawsze elity kulturalne i wielkie jednostki, a masy tylko częściowo rozumieją ich cele; większość trwa w bezruchu przypominającym społeczności prymitywne. Tylko elity znajdują odpowiedzi i organizują społeczeństwa do odpowiednich reakcji na wyzwania. Gdy ich *„poryw twórczy"* wyczerpie się — wtedy cywilizacja pogrąża się w kryzysie, a elita zaczyna rządzić przy pomocy siły. Z kolei przeciwko panującej przemocą mniejszości z reguły występuje wewnętrzny i zewnętrzny proletariat. Cechą zamierającej cywilizacji jest też dążenie do ekspansji i podboju.

POGLĄDY ARNOLDA TOYNBEE

Arnold Toynbee sądził, że ogólny plan i sens dziejów został nakreślony przez Boga. Nawet wybitne jednostki i twórcze elity realizują tylko scenariusz boski. Powstania i upadki różnych cywilizacji stanowią *„poszczególne uderzenia powszechnej rytmicznej pulsacji, ogarniającej cały wszechświat"*. Ponieważ jednak o wszystkim decyduje Bóg, a nie sama natura, dlatego modlitwy, wzrost religijności i zmiana metod działania mogą prawdopodobnie uratować umierającą cywilizację. O ile Spengler nazywał optymizm *„tchórzostwem"*, to Arnold Toynbee pokładał ufność w Bogu. Wierzył on, że istnieją szanse ratunku.

Toynbee podzielał pogląd Spenglera, że świat zachodni stoi w obliczu zguby. Szczególnie obawiał się idei komunistycznych i przykładu Rosji radzieckiej. Marksistowski komunizm — jego zdaniem — to *„potężny apel do chłopstwa całego świata, od Chin do Peru i od Meksyku do Afryki tropikalnej; Rosja bowiem sama była właśnie jeszcze wczoraj jednym z takich biednych i słabych krajów wschodnich"*. Uważał on misję komunistyczną za bardziej atrakcyjną i wychowawczą od zachodniej ideologii zachowania ustroju wolności, zysków i strajków.

Podobnie jak wcześniej Lenin, twierdził Toynbee, że o przyszłości świata zadecydują wyzyskiwane kraje kolonialne. W 1954 roku pisał, że wszystko zależy od tego, czy opowiedzą się one po stronie USA czy ZSRR. W ósmym tomie jego dzieła czytamy:

„W «zimnej wojnie», która prawdopodobnie rozstrzygnie o losach świata w bieżącym etapie historii powszechnej, decydującym ciężarem na szali dziejów będą cierpienia licznej «nieuprzywilejowanej» większości obecnie żyjącego pokolenia ludzkości; można się też spodziewać, że cała ta cierpiąca masa istot ludzkich połączy swój los z jednym z dwóch rywalizujących dziś mocarstw, ubiegających się o jej poparcie, które praktycznie da przekonywający dowód, że to ono właśnie realizuje rzeczywiście społeczny ideał chrześcijaństwa. W tej sytuacji interes własny powinien by doradzić uprzywilejowanej panującej mniejszości zachodniej części ludzkości, by odrzuciła pałkę kaprala i sięgnęła po lirę Orfeusza".

Toynbee ubolewał, że chłopi, którzy stanowią trzy czwarte ludzkości, nie mają powodów, żeby sympatyzować z cywilizacją zachodnią, gdyż odstraszają ich nierówności klasowe, dyskryminacja rasowa i cały system eksploatacji kapitalistycznej. Natomiast ustrój socjalistyczny umożliwia szybką industrializację i uwolnienie ludu od nędzy i wyzysku. Po rewolucji 1917 roku w Rosji powstał odrębny od prawosławnej model cywilizacji, ale tak samo oddany misji, jaką pragnie spełnić. Jeśli Zachód nie przeobrazi się wewnętrznie i nie zmieni swych stosunków z resztą świata, to model radziecki może zwyciężyć, ponieważ przyjmą go ubogie kraje chłopskie.

W tym miejscu warto przytoczyć interesującą opinię Lenina. Na początku lutego 1923 roku, złożony ciężką chorobą, dyktował swej sekretarce:

„O rezultacie walki zadecyduje w ostatecznym wyniku to, że Rosja, Indie, Chiny itp. stanowią większość ludności świata. A właśnie ta większość ludności z niezwykłą szybkością wciąga się w ostatnich latach do walki o swoje wyzwolenie, toteż pod tym względem nie może być cienia wątpliwości, jakie będzie ostateczne rozstrzygnięcie walki światowej". Najważniejsze teraz — powiadał Lenin — to nie dać się zdławić przez kontrrewolucyjne państwa zachodnioeuropejskie i dotrwać do następnego starcia *„między najbardziej cywilizowanymi państwami świata a państwami po wschodniemu zacofanymi, stanowiącymi jednakże większość — większość ta musi zdążyć ucywilizować się. My również posiadamy za mało cywilizacji, by bezpośrednio przejść do socjalizmu, choć mamy po temu przesłanki polityczne"*. Za szczególnie doniosłą i pilną dla Rosji uznał Lenin kwestię radykalnego odnowienia aparatu państwowego, który oceniał bardzo krytycznie, choć sam był premierem rządu. Proponował wysłać specjalistów do przodujących krajów zachodnich, aby tam zapoznali się z nowoczesną organizacją pracy. Na początek radził stworzyć jedną wzorową, sprawną instytucję. Inspekcję Robotniczo-Chłopską, która mogłaby stanowić narzędzie usprawnienia całego systemu państwowego. Inspekcja winna składać się z nieskazitelnych i dobrze przygotowanych ludzi, a jej kierownictwo miało posiadać uprawnienia KC.

Po tej, ważnej chyba, dygresji wracam do poglądów Arnolda Toynbee. Zastanawiał on się, w jaki sposób zlikwidować tradycyjne przeciwieństwo między Wschodem a Zachodem oraz zwiększyć szanse świata zachodniego w walce z komunizmem. I doszedł do wniosku, że ponieważ wszystkie religie zawierają w różnych aspektach częściowe objawienie prawdy, to należałoby działać na rzecz integracji chrześcijaństwa, islamu, buddyzmu i judaizmu w jedno wspólne wyznanie. Poza tym społeczeństwa zachodnie powinny wyzbyć się ateizmu i wiary w postęp naukowo-techniczny, a powrócić do żarliwej religijności i *„zbawiennej pokory"*. Tylko w płaszczyźnie religijnej można — zdaniem autora — rozwiązać nabrzmiałe problemy społeczne.

Za destrukcyjne dla cywilizacji zjawisko uważał Toynbee wyobcowanie się panującej mniejszości oraz brak solidarności społecznej. Naturalny dla każdego ustroju podział na przodującą mniejszość i *„inertną"* większość nie może prowadzić do sprzeczności antagonistycznej i walki klas. Niepokoje społeczne, rewolucje i wojny uniemożliwiają rozwój cywilizacyjny oraz świadczą o poważnej chorobie ducha. W takim przypadku nie wystarczą rozwiązania ekonomiczne i polityczne, lecz musi nastąpić odrodzenie duchowe, a w szczególności religijne.

Monumentalne dzieło Arnolda Toynbee spotkało się z różnym przyjęciem. Jedni uznali je za najwybitniejsze osiągnięcie historyczne XX wieku, inni wytykali mieszanie historii z teologią. Historyk amerykański Philip Bagby pisze, że Toynbee nawet w stosunku do Spenglera uczynił krok wstecz i zdyskredytował badania porównawcze, ponieważ okazał się przede wszystkim „prorokiem", stosującym przednaukowe metody. Niezależnie jednak od oceny tej historiozofii — wszyscy przyznają, że Toynbee wykonał tytaniczną pracę, popisał się niebywałą erudycją i poruszył problemy o kapitalnym znaczeniu.

POGLĄDY PIERRE TEILHARDA DE CHARDINA

Na temat przyszłości Zachodu ciekawie wypowiedział się także słynny jezuita francuski, ksiądz Pierre Teilhard de Chardin. Był on jednocześnie filozofem, teologiem i znakomitym przyrodnikiem. Prace jego cieszą się olbrzymią popularnością na Zachodzie i Wschodzie, łaszczą zarówno wierzących jak i niewierzących, idealistów i materialistów.

Teilhard de Chardin stanowczo odrzucał pesymistyczne teorie cykliczne głoszone przez Spenglera, Toynbee'ego i innych. Przyjmował on, że wbrew dążeniu do entropii i regresu, we wszechświecie dokonuje się ewolucja i postęp. Począwszy od eksplozji quasi-atomu pierwotnego, w którym *„dusił się przestrzenioczas"*, świat zmierza poprzez rozwój biologiczny i społeczny do boskiego celu Omega. Tym gigantycznym procesem ewolucyjnym rządzi prawo wzrastającej złożoności świadomości. To znaczy: im bardziej złożony jest organizm, tym więcej ma psychizmu, świadomości i podmiotowości. Największa intensyfikacja myślenia występuje w społeczeństwie ludzkim, gdzie spotykamy najbardziej skomplikowaną organizację bytu. Człowiek stanowi najdalej zaawansowany etap ewolucji — jest *„ewolucją, która osiągnęła samowiedzę"*.

Według Teilharda łatwo jest pesymistom rozrywać historię na odrębne, ginące cywilizacje, lecz naukowiec powinien dostrzegać pod cyklami, oscylacjami, rytmami — *„wielką spiralę życia"*, która w sposób nieodwracalny prowadzi nieuchronnie do ostatecznego celu ewolucji. *„Suza, Memfis, Ateny* — czytamy — *mogą umrzeć. Ale świadomość Wszechświata, coraz wyżej organizowana, przechodzi z ręki do ręki i jej blask rośnie"*. Świat nie rozwija się cyklicznie ani linearnie, lecz spiralnie. Na poszczególnych etapach ewolucji pewne procesy zarazem powtarzają się i wzmagają, są jednocześnie podobne i różne. Jest to uniwersalne prawo kosmiczne. *„We Wszechświecie doniosłe są trendy — pisał — a nie rytmy. Tylko że te trendy są dużo powolniejsze i stąd znacznie trudniejsze do odkrycia"*. Ewolucja wiedzie sensownie od mnogości i chaosu do coraz większej jedności.

Historia ludzka stanowi integralną część ewolucji wszechświata. Postęp społeczny jest konieczny i moralnie dobry, ponieważ podmiotem rozwoju jest Bóg. Człowiek może jednak wspierać jednoczące działanie stwórcze Boga. W tym celu powinien: dobrze pracować, walczyć ze złem i umacniać pokój. Teilhard przewidywał, że rozwój historyczny doprowadzi do integracji jednostek i grup etnicznych, w jedno globalne społeczeństwo z kulturą ogólnoludzką. Wszystkie ludy i rasy są — jego zdaniem — komplementarne, lecz błędne jest przekonanie o ich równości biologicznej i ewolucyjnej. Nierówności między narodami i rasami odegrają pozytywną rolę w przyszłym systemie uniwersalnym.

Teilhard krytycznie oceniał ustrój kapitalistyczny. Twierdził, że ludzie w nim pozbawieni są ideałów i sensu życia, gonią za pieniędzmi i bezpośrednimi przyjemnościami, wybierają „posiadanie" zamiast „bycia". Ale system ten nie ma przyszłości, gdyż ewolucja społeczna znosi klasy oraz wprowadza elementy kolektywnego i planowego gospodarowania. Nadzieją świata jest komunizm, który *„coraz bardziej reprezentuje i monopolizuje prawdziwy wzrost ludzki"*. Już w 1919 roku Teilhard de Chardin uznał, że Rewolucja Październikowa zapoczątkowała nową erę w rozwoju duchowo-społecznym. Ubolewał wprawdzie nad ateizmem bolszewików, lecz spodobała mu się ich wiara w naturę i ludzkość. Zapisał wtedy w swych notatkach, że nie można otwarcie rzucić klątwy na ten ruch. A w 1944 roku stwierdził, że istota i sens rewolucji rosyjskiej leżą w *„walce Ruchu przeciwko Inercji"*. Marksizm kojarzył mu się z pozytywnie ocenianym uniwersalizmem i postępowością. W komunizmie upatrywał odwrócenia kapitalizmu, dążenia ku „być więcej" zamiast burżuazyjnego „mieć więcej".

W koncepcji Teilharda ruch komunistyczny po raz pierwszy został potraktowany jako zgodny z podstawowymi trendami ewolucji wszechświata, a nie tylko rozwoju społecznego. W związku z tym proponował on współpracę chrześcijaństwa z komunizmem i wyrażał nadzieję, że oba światy rychło zbliżą się do siebie. Bagatelizował nawet ateizm marksistów, który — jak podkreślał — *„nie jest absolutny"*. Marksiści bowiem odrzucają jedynie zewnętrzne istnienie Boga, implikujące ludzką bierność, a takiego *„pseudo-Boga"* nie pragną już dziś również chrześcijanie. W doktrynie marksistowskiej nie ateizm jest najważniejszy, lecz wspólna z chrześcijaństwem wiara w człowieka i postęp społeczny. Szkoda tylko, że marksiści nie przyznają większej roli w rozwoju strukturze duchowo-świadomościowej, gdyż *„spirytualizm historyczny"* lepiej wyjaśnia postęp ewolucyjny, aniżeli materializm historyczny.

Porównując narody dwóch supermocarstw, Stanów Zjednoczonych i Związku Radzieckiego, Teilhard de Chardin wskazywał, że Amerykanom trudno jest zrównoważyć Rosjan, ponieważ brak im „wizji" — żyją chwilą bieżącą, przede wszystkim interesuje ich teraźniejszość, a w małym stopniu przyszłość. Postawa ta pozwala im wytwarzać znakomitą technikę oraz przewodzić światu w dziedzinie technicznej. Ale amerykańska filozofia życia jest w klasycznym sensie *„pogańska"*, bo zakłada *„bezpośrednie korzystanie z dóbr ziemskich"*. Stąd bierze się występująca tam, jak w każdym pogaństwie, pewna melancholia. Zdaniem Teilharda pogaństwo Amerykanów jest *„stagnacyjne, zaś Rosjan — mesjańskie"*. W czasie II wojny światowej Związek Radziecki walczył o postęp, natomiast alianci zachodni o stabilizację kapitalizmu i zachowanie niemoralnej koncepcji człowieka.

C.D.N.

EDMUND LEWANDOWSKI

Wybory zdrowego rozsądku (3)

Stanowisko „Stanowiska" czyli chrońmy Konstytucję

1.

Dyskusja nad przyszłym kształtem sejmowego prawa wyborczego weszła w następną fazę — swoje „Stanowisko wobec założeń do projektu ordynacji wyborczej" opublikował Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. Jest to dokument ze wszech miar godzien uwagi, aczkolwiek — jak sądzę — jego wartość ustrojowa mniejsza jest jakby od jego wartości socjologicznej. Tak, nie ma tu żadnej pomyłki: socjologicznej... albowiem jest to zapis stanu politycznej świadomości Polaków przede wszystkim — jeżeli oczywiście jest on wierną syntezą wszystkich poglądów ujawnionych w czasie publicznej debaty nad projektem ordynacji (naturalnie z pominięciem opinii i pomysłów ekstremalnych).

Co więcej — jest to zapis stanu politycznej świadomości szczególnej grupy Polaków; i nie tylko świadomości — także ambicji i wyboru wartości godnych popierania, a zwłaszcza opcji i interesów.

„Szczególność" tej grupy wywodzi się — jak mniemam — z ustrojowego niedookreślenia PRON i pewnej specyficznej dwoistości Ruchu. Jest to niezwykle ważna kwestia w naszym współczesnym życiu publicznym i chętnie do niej powrócę — osobno i znacznie obszerniej. Na użytek tych rozważań sformułuję swój pogląd tylko w postaci paru haseł sygnalizujących jego osnowę.

2.

PRON jako instytucja życia politycznego ma znaczenie ustrojowe tylko w tym sensie, w jakim jest organizacyjną płaszczyzną dialogu sił politycznych i społecznych, miejscem rzeczywistej konfrontacji pluralistycznych różnorodności (nie wykraczających poza ramy ustroju, Konstytucji i racji stanu), płaszczyzną współtworzenia jednolitego programu, będącego wyrazem swoistego „kompromisu historycznego", zawartego przez uczestników Ruchu w celu przezwyciężenia kryzysu politycznego, ekonomicznego i moralnego. W tym znaczeniu PRON jest organizatorem życia publicznego społeczności Polaków i pełni „misję dobrych usług" w imię obrony żywotnych interesów narodu i państwa.

Ruch Odrodzenia Narodowego funkcjonuje jako płaszczyzna porozumienia, w żadnej mierze nie naruszając suwerenności programów, celów, dążeń, interesów i ideałów swych sygnatariuszy. Jego stanowisko zatem w jakiejkolwiek kwestii (nie tylko w sprawie ordynacji wyborczej) nie jest prostą sumą poglądów i opinii uczestników Ruchu, a tylko wspólnie wypracowanym zbiorem kwestii, co do sformułowania których osiągnięto wiążące porozumienie. W niczym nie ogranicza to praw uczestników Ruchu do samodzielnego i niezawisłego formułowania swych własnych stanowisk w sposób im właściwy na innych płaszczyznach życia publicznego. Chyba że któryś z uczestników Ruchu (niekoniecznie wszyscy i nie w każdej sprawie) własnowolnie ograniczy swe suwerenne prawa na rzecz wspólnej reprezentacji...

Cóż to oznacza? Nic poza tym, że PRON jako struktura ustrojowa funkcjonować może wyłącznie na płaszczyźnie równoległej do innych „układów" zbiorowej organizacji życia politycznego społeczeństwa Polaków. To bardzo istotne zastrzeżenie.

Nie może zatem mieć miejsca jakakolwiek nadrzędność PRON nad innymi ustrojowymi formami sprawowania władzy w państwie i strukturami organizacji politycznej obywateli. PRON nie jest arbitrem, sędzią ani kontrolerem w naszym życiu publicznym — nie sprawuje żadnej funkcji władczej. Formułuję to twierdzenie nader kategorycznie, aczkolwiek zdaję sobie sprawę z tego, iż tendencje do absolutyzowania społecznej roli PRON nie są zbyt wyraziste i nie są dobitnie artykułowane na forum publicznym. Niemniej funkcjonują i lekceważyć ich nie należy...

3.

Drugą ze wspomnianych na wstępie kwestii, rzutujących na bardziej socjologiczną niż ustrojową wartość stanowiska PRON wobec projektu ordynacji wyborczej do Sejmu, jest owa specyficzna dwoistość Ruchu.

Z jednej strony PRON jest konfederacją, czyli luźnym związkiem o charakterze celowym, zawiązanym na dającą się przewidzieć przyszłość (nie na wieczne czasy...) przez partie i organizacje polityczne i społeczne, czyli sygnatariuszy deklaracji z 20 lipca 1982 roku i wszystkich tych, którzy do tego aktu przystąpili później. W ten sposób PRON nie jest jedną z typowych organizacji życia publicznego, opartych o członkostwo indywidualne, albowiem fakt zadeklarowania przez liczne organizacje udziału w Ruchu nie rodzi wobec członków tych organizacji żadnych zobowiązań, prócz jednego: czynnego poparcia dla idei odrodzenia narodowego i wiążących się z nią przedsięwzięć PRON. W szczególności zaś nie powstaje zobowiązanie do członkostwa w PRON. Toteż arytmetyczne sumowanie „ludzkich aktywów" wchodzących w skład sił politycznych sygnujących deklarację lipcową nie świadczy o niczym innym, jak tylko o organizacyjnym zasięgu potencjalnego poparcia dla działalności Ruchu. Przy czym nie można zapominać, że w rzeczywistości zasięg tego poparcia jest większy, albowiem obejmuje przecież spore rzesze obywateli nigdzie nie zorganizowanych; zasięg ten nie jest też wielkością stałą, gdyż jest zależny od stosunku opinii publicznej do wagi podejmowanych konkretnych spraw i atrakcyjności propozycji rozwiązań.

W każdym bądź razie uczestnictwo licznych organizacji w PRON nie jest dla ich członków dodatkową (i statutową) okolicznością dyscyplinującą. Uczestnictwo w Ruchu w niczym nie ogranicza suwerennych praw tych organizacji ani praw ich członków. Oficjalnie prezentowane poglądy PRON nie są (choć mogą być z nimi identyczne) poglądami każdej z tych organizacji, ani tym bardziej poglądami ich członków.

Z drugiej wszelako strony Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego jest szczególnym fenomenem politycznym, zważywszy na okoliczności jego powstawania. Otóż rdzeń tego Ruchu to ludzie, dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy ludzi w całym kraju, podejmujący trudną pracę nad budowaniem zrębów dialogu wszystkich Polaków — bez formalności, mandatów i pełnomocnictw, już na początku stanu wojennego. Są to po prostu aktywni obywatele, nie pytający się wzajem o przynależność polityczną ani kwalifikacje ideologiczne, na ogół wzajemnie szanujący — o ile to w pełni możliwe — swą integralność i autonomię poglądów.

Dziś przekształcili się oni w specyficzną grupę, niezbyt ostro może jeszcze wyodrębnioną (zresztą nie chodzi o to, by się ona nazbyt określiła i sformalizowała) — za to o niezwykle zróżnicowanym rodowodzie socjalnym i politycznym. Być może się mylę, ale gruntowność tego zróżnicowania i trwałość politycznych oraz filozoficznych „pluralizmów", na których się ono zasadza, skłania mnie do mniemania, że względna trwałość i koegzystencja tej grupy jest możliwa do osiągnięcia tylko w warunkach ekstremalnych, kryzysowych. Ale to już zupełnie inna historia...

W każdym razie obserwacja publicznej działalności tej specyficznej grupy prowadzi mnie do wniosku, że oficjalne poglądy PRON są w istocie rzeczy tylko ich własnymi poglądami (jakkolwiek wielka by nie była dokumentacja rozmaitych konsultacji). Nie ulega wątpliwości, że powstała pewna nieformalna i nieprecyzyjnie określona elita polityczna społeczeństwa — walcząca jeszcze o powszechniejszą niż obecna akceptację, ale wyraźnie wpływająca na tendencje naszego życia publicznego, mająca pewien istotny wpływ na to życie.

Z tych to powodów tak wielką wagę przywiązuję do socjologicznej interpretacji poglądów wyrażonych przez Radę Krajową PRON w kwestii projektu ordynacji wyborczej do Sejmu. Nie czuję się jednak uprawniony do jej dokonania — sygnalizuję tylko taką konieczność...

4.

Obrona trwałości i nienaruszalności Konstytucji była, jak twierdzi się w stanowisku Rady Krajowej PRON, w sprawie projektu ordynacji wyborczej, podstawowym motywem, kierującym uczestnikami konsultacji, gdy wypowiadali się przeciw rozmaitym propozycjom takich uregulowań pewnych kwestii w prawie wyborczym, które wymagałyby zmiany stosownych przepisów ustawy zasadniczej. Pogląd ten został zaakceptowany przez Radę Państwa, która w przygotowanym projekcie ustawy zrezygnowała z takich modyfikacji systemu wyborczego, które wymagałyby nowelizacji Konstytucji.

W chwili, gdy piszę ten tekst, nie znam jeszcze całego tekstu projektu ustawy, a tylko jego podstawowe założenia. Toteż zapewne wypadnie powrócić osobno do szczegółowej analizy projektu. Dlatego na razie chciałbym poprzestać na ocenie kwestii trwałości Konstytucji.

5.

Audeamus iura nostra deferende... Miejmy odwagę bronić praw naszych. Ta szlachetna łacińska maksyma dotyczy, jak sądzę, nie tylko wezwania do przestrzegania prawa, do praktykowania praworządności. Dotyczy także obrony samych praw przed dążeniami do ich obalenia i zmiany. Nadaje się zatem doskonale do wypisania na sztandarach sił konserwatywnych, jeżeli w niezmienności praw widzą one realne wsparcie dla swych własnych interesów. Nic bowiem nie uchroni praw przed zniesieniem lub zmianą, jeżeli w sposób istotny hamują realizację interesów klas panujących lub grup skupiających władzę w swych rękach.

Czymże zatem jest niezmienność praw, w tym Konstytucji przede wszystkim? Jest to podstawowa gwarancja stabilności zasad ustroju społecznego i politycznego państwa. Nie wolno jednak dopuścić, aby był to dogmat — święty i nienaruszalny — gdyż wtedy istotnie umożliwi się siłom zachowawczym (a nie można odpowiedzialnie twierdzić, że ich we współczesnej Polsce nie ma, że wszyscy jesteśmy za postępem...) by niezmiennością praw wymachiwały jak demagogicznym sztandarem.

Szacunek dla trwałości praw jest cenną zasadą ustrojową i regułą porządnego postępowania w państwie, wszelako nie wyobrażam sobie, iżby można ją było jakoś sformalizować — w szczególności zaś nie jest możliwe żadne prawne zabezpieczenie; to znaczy, że nie można na przykład ustanowić prawa o niezmienności praw, choćby w postaci tzw. zapisu konstytucyjnego. Przeto zasada trwałości praw ma znaczenie ustrojowe jako postulat moralny czy ideologiczny — ale żadną miarą nie bezwarunkowy...

6.

Doświadczenia czterdziestolecia Polski Ludowej wskazują, że szacunek dla trwałości praw, aczkolwiek postulowany i deklarowany, nie był z równą tym postulatom i deklaracjom siłą kultywowany w praktyce naszego życia publicznego. Naturalnie w różnych okresach naszej współczesnej historii zjawisko to występowało z różnym natężeniem, ale w żadnym z tych okresów w jego istnieniu nie można zaprzeczyć.

Bezceremonialny stosunek do praw Rzeczypospolitej dotknął nawet samą Konstytucję. Mam tu na myśli zmianę podporządkowania Najwyższej Izby Kontroli. Dokonane w majestacie nowelizacji ustawy zasadniczej przeniesienie NIK w 1976 roku pod nadzór Rady Ministrów i znaczne ograniczenie jej kompetencji było w istocie gwałtem na zasadach ustrojowych państwa. A stało się tak z woli właściwie jednego człowieka — ówczesnego premiera Jaroszewicza, po to, by zneutralizować istotną systemową przeszkodę (jak się wtedy wydawało) dla woluntarystycznej polityki gospodarczej grupy eks-premiera, menadżerów koncentrujących się wokół Komisji Planowania, która wówczas wyrastała na coś w rodzaju superrządu.

Niejedyny to, chociaż najbardziej spektakularny, przypadek wpływu woluntaryzmu ekonomicznego i politycznego na stabilność naszych praw i trwałość rozwiązań ustrojowych.

Ale też niejedyne to źródło braku szacunku dla trwałości praw. Cały zawiły kompleks przyczyn składa się na to, że nie traktujemy praw naszego państwa z należnym im szacunkiem. Zapewne jedną z ważniejszych przyczyn tego stanu jest niechlujstwo legislacyjne — pośpiech w stanowieniu praw, niedostateczne przygotowanie nie tylko samych projektów, ale i społecznych (głównie, niestety, materialnych) warunków ich realizacji. Wyliczanie „nietrafionych" praw byłoby zajęciem długotrwałym — wystarczy wspomnieć o ostatniej, szczególnie interesującej z wielu względów wpadce ustawodawczej, jaką była ustawa o wychowaniu w trzeźwości. Niektóre jej przepisy uchylono już po kilkunastu miesiącach obowiązywania, albowiem były, co tu ukrywać, nieodparcie komiczne (jak choćby powołanie nieszczęsnego „Ponalu", właśnie przed paroma dniami ostatecznie zlikwidowanego). W ten sposób pewnej erozji uległo zaufanie — i tak skądinąd niewielkie — do reszty przepisów tej ustawy; zmalała też obawa społeczna przed jej surowością, często przecież praktycznie niemożliwą do wyegzekwowania i — też tego nie wolno ukrywać — nagminnie sabotowaną...

A przecież mieliśmy znakomitą, ponoć w swoim czasie najlepszą w świecie, ustawę w tej materii — z 1958 roku. Tyle że jej postępowych rozwiązań nigdy nie realizowano konsekwentnie i w całości. Brakło jakoby środków (co chyba jest fałszem, zważywszy na pozycję dochodów z monopolu spirytusowego w budżecie), brakło też zapewne odpowiedzialności i wyobraźni.

Tak jest z wieloma doskonałymi w swym duchu i literze prawami w naszym kraju. Tu dochodzimy do kolejnej przyczyny braku poszanowania dla prawa. Jest nią tzw. fideizm prawniczy, czyli wiara w to, że stanowienie praw samo przez się wpłynie na naprawę stosunków społecznych w pożądanym kierunku. Nierównie więcej uwagi należy poświęcić porządnej egzekucji mądrych praw, ale tym już nie ma się kto w Polsce zająć — raz, że zajęcie to mało popłatne i nie przynoszące należytej satysfakcji, dwa, że atmosfera społeczna wokół kwestii przestrzegania praw jest u nas co najmniej dwuznaczna i wiele ma wspólnego ze znanym normatywem etyki Kalego. Nie ulega też wątpliwości, że rozdwojenie jaźni i odmienne kryteria obowiązują na styku między życiem publicznym a prywatnym...

Wśród wielu innych powodów braku poszanowania dla trwałości prawa w czołówce plasuje się także nader częste naruszanie zasady, iż prawo nie działa wstecz. W Polsce działało... A jeszcze nadmiar regulacji prawnych, zbyt wielka ilość tzw. delegacji w ustawach, sprzeczne z przepisami podstawowymi rozporządzenia wykonawcze, a całe tzw. prawo powielaczowe? A cały system prawnej regulacji sfery stosunków ekonomicznych i finansowych w gospodarce, bez względu na sektor — system, który obrósł równie wielkim jak on sam kontrsystemem obchodzenia prawa po to, by w ogóle mogła funkcjonować gospodarka? A wielopiętrowy, wyrażany przez liczne przepisy brak zaufania do obywatela, dający pierwszeństwo „podkładkom" (czyli efekt tzw. dyktatury księgowych — jakże celnie opisanej przez Aleksandra Bocheńskiego).

Nie ma co ukrywać — liczne przypadki nonszalancji w traktowaniu praw Rzeczypospolitej nie sprzyjały poszanowaniu dla ich trwałości.

7.

Trzeba jednak było oczekiwać — i właśnie z nią mamy do czynienia — poważnej społecznej reakcji na ową bezceremonialność. Tęsknota obywateli do stabilnych praw zogniskowała się właśnie teraz w pragnieniu obrony Konstytucji przed zmianami, których ewentualność zasygnalizowano w tezach do projektu reformy prawa wyborczego.

Mamy tu do czynienia niewątpliwie właśnie z dogmatycznym pojmowaniem trwałości prawa, a zwłaszcza Konstytucji. Właśnie z tego powodu, aczkolwiek osobiście jestem szczerze wzruszony i uszczęśliwiony tak powszechnie wyrażaną wolą obrony ustawy zasadniczej (co było w przeszłości nader rzadkie), mam poważne obawy, czy formuła ta jest właściwie rozumiana.

Niezmienialność i trwałość Konstytucji dla samej tylko zasady jest nieporozumieniem. Rozumieli to już twórcy Konstytucji 3 Maja:

„Zapobiegając z jednej strony gwałtownym i częstym odmianom konstytucji narodowej, z drugiej uznając potrzebę wydoskonalenia onej po doświadczeniu jej skutków, co do pomyślności publicznej, porę i czas rewizji i poprawy konstytucji, co lat dwadzieścia pięć naznaczamy (...)".

Był to mądry pomysł. Znawcy prawa konstytucyjnego zapewne wiedzą, czy dziś, gdzieś na świecie obowiązują ustawy zasadnicze, zawierające w swej treści podobną regułę rewizyjną. Wydaje się jednak, że rolę skutecznego regulatora tej kwestii wzięło na siebie życie po prostu, wymuszając dostosowywanie przepisów do zmieniającej się sytuacji społeczno-ekonomicznej — i to nie zawsze w drodze rewolucji.

Postulat kompleksowej rewizji naszej Konstytucji nie jest obcy w polskiej praktyce politycznej. Prawie rok temu przeprowadziłem rozmowę z posłem Zdzisławem Czeszejko-Sochackim („Odgłosy" nr 19 — 84.05.12.), który powiedział:

„(...) Konstytucja z 1952 roku w swej części programowej jest prawidłowa. Tu korekta jest zbędna. Natomiast strona normatywna naszej Konstytucji nie zawsze jest dopowiedziana do końca — zmiany w tym względzie wydają się być celowe. Nie należy jednak robić tego po kawałku i co chwila — trzeba dokładnie przemyśleć i zaprogramować zmiany, które miałyby charakter bardziej kompleksowy i mogłyby być dokonane jednorazowo. (..) Sądzę, że nowy Sejm po przyszłych wyborach rozważy tę sprawę".

Otóż to — nie dogmat, ale konieczność polityczna. Do tego poglądu przychylam się, gdyż jestem przeciwnikiem zmian pośpiesznych.

8.

Zastanówmy się jednak, jakiż to charakter miały zmiany proponowane w założeniach do projektu nowej ordynacji.

Otóż w większości dotyczyły one spraw zaiste drugo-, a nawet trzeciorzędnych. Można zatem mniemać, że były to swoiste balony próbne, mające zbadać gotowość opinii publicznej do zmian Konstytucji w ogóle. Ot, takie niewinne prowokacje intelektualne...

Bo czymże innym miałby być postulat przeprowadzenia wyborów w dwa dni (oczywisty nonsens techniczny), albo propozycja powiększenia składu Izby do 500 posłów?

Nie dziwię się przeto, że obywatele wyrazili swój sprzeciw wobec tak zaproponowanych zmian.

Tylko w jednym przypadku powołanie się na trwałość Konstytucji posłużyło jako argument, z którym nie mogę się zgodzić. Tą sprawą jest obniżenie granicy biernego prawa wyborczego do osiemnastu lat.

9.

Zasłaniając się zasadą trwałości Konstytucji, omijamy potrzebę merytorycznej dyskusji nad tą kwestią — jedyną z zaproponowanych, która naprawdę zasługuje na poważne rozpatrzenie. O co tu bowiem chodzi? Chodzi o zasadę odpowiedniości i jednolitości obywatelskich praw publicznych, najprościej wyrażającą się tak: jeśli wybieram, to mam prawo być wybranym.

Nie wszędzie jest to tak postrzegane — w większości znanych mi systemów wyborczych istnieje różnica wieku między czynnym a biernym prawem wyborczym, często większa niż nasze trzy lata. Można zatem sądzić, że pogląd o braku wśród ludzi młodych odpowiedzialności za sprawy publiczne, stosownej do zaszczytu powierzenia mandatu reprezentanta narodu, jest dość rozpowszechniony. Ale nie wszędzie — w Bułgarii, na Węgrzech, w NRD osiemnastolatki mogą być wybrane do parlamentu.

Niczego nie przesądzam, nie chcę też ujawniać własnego zdania, ale jestem pewien, że młodym obywatelom należy się przynajmniej rzeczowa dyskusja w tej kwestii. Zamiast zasłaniania się Konstytucją.

Użyte dotąd argumenty nie wytrzymują próby krytyki. Oto na przykład rozpowszechniony był pogląd, że skoro osiemnastolatek nie jest zdolny w myśl prawa do założenia rodziny, to tym bardziej nie jest zdolny do współudziału w rządzeniu państwem, do współodpowiedzialności za nie. Jest to argument fałszywy. Otóż zakaz zakładania rodziny jest względny: z ważnych społecznie powodów, każdorazowo odpowiedni sąd może zezwolić na zawarcie związku małżeńskiego mężczyźnie, który nie ukończył 21 lat. A poza tym warto pamiętać, że ten przepis kodeksu rodzinnego nie dotyczy pełnoletnich kobiet, czyli połowy (z grubsza biorąc) populacji osiemnastolatków — co więcej, prawo stanowi, że kobieta, która za zgodą sądu wstąpi w związek małżeński między 16 a 18 rokiem życia, „upełnoletnia się" — także w kwestii praw publicznych...

Zdolność do reprezentowania współobywateli nie jest funkcją wieku, tylko dojrzałości społecznej i politycznej. Można wprawdzie przyjąć, że istnieje między nimi pewna korelacja, lecz nie w sposób absolutny — a poza tym, cóż dla osiągnięcia owej pożądanej dojrzałości znaczy trzyletnia różnica? Sądzę, że niewiele.

Jest całkiem możliwe i prawdopodobne, że znajdzie się wielu osiemnastolatków płci obojga zdolnych do współrządzenia państwem, tak jak żyje sobie spokojnie bardzo wiele osobników czterdziestoletnich, którym — jak się niedawno wyraziłem — nie powierzyłbym odpowiedzialności za zagotowanie czajnika wody na herbatę. A jeśli już mowa o analogiach między rodziną a państwem, to należy chyba przyjąć, że z punktu widzenia jednostki kandydującej do spełniania ważnych ról społecznych na obu tych płaszczyznach, ciężar odpowiedzialności za rodzinę wcale nie jest mniejszy od ciężaru współrządzenia krajem i reprezentowania wyborców.

Sądzę że jeśli poważnie deklarujemy, iż mamy jako społeczeństwo wyraźną wolę zwiększenia udziału młodych obywateli w życiu publicznym (jak to czyni w swym stanowisku RK PRON: *„deklaruje, że udzieli swego wsparcia tym inicjatywom, które zmierzać będą do zapewnienia ludziom młodym, zdolnym decydować o sprawach całego kraju, większej reprezentacji w Sejmie"*), to musimy znaleźć w tej dyskusji inne, bardziej rzeczowe i poważne argumenty.

Poza tym problem tkwi nie w przepisie prawa, ale w regułach doboru kandydatów, ich prezentowaniu — a potem w samym akcie wyborczym. Bo prawo do bycia wybranym to nie wszystko — trzeba jeszcze zostać wybranym.

TOMASZ SAS

EUGENIUSZ IWANICKI

Jedyna w kraju

Czterdzieści lat temu, na wyzwolonym skrawku Polski, w Lublinie, dekretem z dnia 7.X.1944 r. powołano organa Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa. Trzon kadrowy stanowili członkowie PPR, radykalni ludowcy, aktywiści Związku Walki Młodych, robotnicy, chłopi oraz żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. Często jednostki MO i aparatu bezpieczeństwa formowały się samorzutnie w wyniku zaistniałych okoliczności, kiedy to oddziały Armii Ludowej i Batalionów Chłopskich przejmowały władzę w imieniu Rad Narodowych. Nie trzeba specjalnie przypominać, że były to lata pionierskie, lata, kiedy wszystko działo się po raz pierwszy, powstawało bez wzorców i nie miało żadnych tradycji. I ludzie tworzący owe jednostki mimo doświadczeń bojowych nie zawsze radzili sobie w zmienionych, specyficznych warunkach pierwszych dni wolności. Choć linia frontu znacznie przesunęła się na Zachód, na wyzwolonych terenach grasowały nadal uzbrojone oddziały Werhmachtu, zaroiło się od wszelkiego rodzaju band rodzimego podziemia. Po czarnej nocy okupacji należało wymęczonemu narodowi zapewnić spokój i bezpieczeństwo. Polska ziemia wchłonęła w siebie dość ludzkiej krwi, a popioły z pogorzelisk roznosił wiatr na pola i gościńce.

RODOWÓD

W końcu listopada i w połowie grudnia 1944 r. rozkazem Komendanta Głównego MO powołane zostały w Lublinie dwie szkoły, pierwsze placówki kształcące kadry, które miały w krótkim czasie podjąć trudne i złożone zadania zapewniające spokój i bezpieczeństwo na wyzwolonych i wyzwalanych terenach Polski. Były to: Szkoła Oficerów Polityczno-Wychowawczych przy Zarządzie Głównym Polityczno-Wychowawczym oraz Szkoła Oficerów Liniowych MO. Pierwsza została usytuowana w lokalu Zarządu Głównego na Krakowskim Przedmieściu 62, zaś druga — w barakach po byłym obozie jenieckim przy ulicy Lipowej, a na jej komendanta wyznaczono mjr Władysława Gołąbka, partyzanta, dowódcę oddziału BCh na Kielecczyźnie.

Baraki, na dobrą sprawę, nie nadawały się do niczego, a już najmniej na szkołę. Pierwszych 160 podchorążych, którzy zgłosili się na naukę czekała solidna praca. Nie oszczędzając się i nie czekając na pomoc przez dwa tygodnie pracowali nad adaptacją pomieszczeń na sale sypialne, w których później zresztą odbywały się zajęcia i wykłady, a prycze służyły za ławki.

Nie udało mi się dotrzeć do dokumentów z owego pierwszego kursu przeprowadzonego w Szkole Oficerów Liniowych MO, która to szkoła dała początek dzisiejszemu Ośrodkowi Doskonalenia Kadr Kierowniczych MSW w Łodzi. Natomiast dysponuję danymi dotyczącymi Szkoły Oficerów Polityczno-Wychowawczych. Otóż na pierwszy kurs trwający zaledwie miesiąc zgłosiło się 47 osób, na drugi, już dwumiesięczny — 193 osoby. Pierwsi słuchacze w większości rekrutowali się z oddziałów partyzanckich. I tak: z AL — 47 osób, z BCh — 19, z AK — 6, z RPPS — 3, z Francuskiego Ruchu Oporu — 3, z partyzantki radzieckiej — 3, z jugosłowiańskiej — 1.

Na początku 1944 r., kiedy front zbliżał się do Odry, obie szkoły przeniesiono do Łodzi, która ze względu na swoje centralne położenie i niewielki stopień zniszczenia pełniła nieoficjalną funkcję centralnego ośrodka administracyjnego kraju. Szkoła Oficerów Polityczno-Wychowawczych została umieszczona w pałacyku Scheiblera przy Piotrkowskiej 265, zaś Szkoła Oficerów Liniowych przy ul. Skorupki (obecnie ulica Stanisława), w budynku dzisiejszego Seminarium Duchownego.

Jak wspomniałem obecny Ośrodek Doskonalenia Kadr Kierowniczych swój rodowód wywodzi właśnie z tej szkoły, która w niedługim czasie uległa przeprofilowaniu, by stać się ostatecznie jedyną instytucją w kraju kształcącą wysoko kwalifikowane kadry specjalistyczne dla resortu MSW. W 1947 roku wygasł termin dzierżawny budynku przy ul. Skorupki i szkoła przeprowadziła się na ulicę Północną 38/40, gdzie mieści się do dziś.

Słuchacze byłej Szkoły Oficerów Liniowych, dziś częstokroć zajmujący wysokie stanowiska w resorcie (wielu z nich odeszło na emeryturę), zapisali piękną kartę w dziejach walki o władzę ludową i jej umacnianie. Działali w składach grup operacyjnych, walczących z reakcyjnym podziemiem, ochraniali Referendum Ludowe w 1947 r., pomagali przy wprowadzaniu w życie reformy rolnej, brali aktywny udział w żniwach. 25 z nich zginęło od kul skrytobójczych.

Żeby zakończyć okres historyczny, trzeba wspomnieć, że wkrótce po przeniesieniu obu wspomnianych szkół do Łodzi, w 1950 roku nastąpiło ich połączenie z czego powstał Centralny Kurs Przeszkolenia MO. Oczywiście pociągnęło to za sobą zmiany profilu nauczania. Teraz kształcono tu komendantów komend powiatowych, kierowników komisariatów, naczelników wydziałów komend wojewódzkich i powiatowych itp.

Zadania szkoły ciągle się zmieniały. Na pewnym etapie jej działalności rozpoczęto m. in. kształcenie specjalistyczne kadr techniki kryminalistycznej oraz doskonalenie kadry kierowniczej resortu spraw wewnętrznych. Dziś jest to jedyny w kraju ośrodek tego typu.

DZIEŃ DZISIEJSZY

Ośrodek Doskonalenia Kadr Kierowniczych MSW w Łodzi mieści się w dwóch budynkach: przy ul. Północnej i na Sienkiewicza kształcąc m.in. chorążych MO oraz ekspertów kryminalistyki.

Zwróciłem się z prośbą do ppłk EUGENIUSZA GÓRSKIEGO — naczelnika Wydziału Politycznego oraz ppłk. dr. JANA KURCZEWSKIEGO — naczelnika Wydziału Techniki Kryminalistycznej, by w paru zdaniach przedstawili mi profil nauczania w ich ośrodku. Z ich odpowiedzi wynotowałem co następuje: Oprócz szkolenia ogólnozawodowego na pierwszy stopień oficerski funkcjonariuszy MO prowadzi się tu kursy doskonalenia zawodowego dla kierowników określonych ogniw milicyjnych oraz szkolenie i doskonalenie specjalistyczne dla funkcjonariuszy MO i Wojskowej Służby Wewnętrznej w specjalności: techników kryminalistyki i ekspertów kryminalistyki. W tym ostatnim szkoleniu jest łódzki ośrodek jedyną szkołą resortową w kraju, która takie kursy prowadzi. W ramach pracy dodatkowej prowadzi się tu także szkolenie aplikantów Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi, a także ćwiczenia z kryminalistyki dla studentów Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. Jeśli zachodzi taka konieczność, pracownicy ośrodka są konsultantami specjalistycznymi w prowadzonych sprawach karnych WUSW w Łodzi. Dotyczy to szczególnie ekspertyz kryminalistycznych. Np. z zakresu daktyloskopii, mechanoskopii, odtwarzania wyglądu osób na podstawie zeznań świadków czyli odtwarzania tzw. portretów pamięciowych itp.

Tak więc Ośrodek Doskonalenia Kadr Kierowniczych to jedno wielkie laboratorium — szkoła. Tu szkoli się fachowców wysokiej klasy w zakresie fotografii kryminalistycznej (np. reprodukcji dokumentów, zdjęć makro- i mikrofotograficznych, fotografii w promieniach nadfioletowych i w podczerwieni itp.) oraz techniki kryminalistycznej tj. daktyloskopii (Polska jako pierwszy kraj wśród państw KDL wprowadziła tę specjalizację badawczą na użytek procesu karnego, a polegającą na tym, że na podstawie zapisu głosu ludzkiego można ustalić tożsamość osoby). To tu uczy się jak poznawać i zabezpieczać ślady kryminalistyczne na miejscach kradzieży z włamaniem (na terenie szkoły wybudowano nawet drewniane domki imitujące mieszkania, które służą jako materiały poglądowe), tu kręci się filmy dydaktyczne przy współudziale ekspertów Zakładu Kryminalistyki MSW itp.

Na dobrą sprawę monopol w kształceniu kadr techniki kryminalistycznej resortu spraw wewnętrznych datuje się od 1964 r. Od tego czasu wykształcono w Ośrodku Doskonalenia Kadr Kierowniczych 1.288 techników i 427 ekspertów kryminalistyki oraz przeszkolono w tych specjalnościach, w ramach kursów doskonalenia zawodowego 1.187 osób z jednostek terenowych MO.

Nie można, pisząc o szkole, pominąć kadry dydaktycznej, związanej z ośrodkiem od wielu lat, a prezentującej wysoki poziom wiedzy ogólnej, specjalistycznej i pedagogicznej. Wydziałem Techniki Kryminalistycznej kieruje wspomniany już ppłk dr JAN KURCZEWSKI, starszymi wykładowcami są ppłk mgr STANISŁAW CEGIELSKI, mjr mgr CZESŁAW BIEGAŃSKI, mjr mgr STANISŁAW OŚRÓDKA, mjr mgr STANISŁAW KUBIAK, wykładowcami kpt mgr ANDRZEJ OBER, kpt mgr ADAM CHOMICZEWSKI i kpt mgr inż. MAREK PRZYCHODNIAK. Wszyscy oni, poza wykształceniem wyższym, mają ukończone kursy specjalistyczne techników bądź ekspertów kryminalistyki. Ponadto siedmiu z nich ukończyło kursy pedagogiczne różnego stopnia, czterech posiada uprawnienia eksperta kryminalistyki, jeden stopień naukowy doktora nauk prawnych, jeden kontynuuje studia doktoranckie.

CO MOŻE BYĆ DOWODEM?

Zwiedzając sale wykładowe i laboratorium ośrodka nabiera się przekonania, że dowodem ludzkich czynności może być wszystko. Dla fachowca nie ma przestępstwa bez śladów, bez pozostawionych przez przestępcę dowodów jego działania. Oglądałem ciekawy casus świadczący o dociekliwości jednego z techników kryminalistyki. Zgłoszono mianowicie włamanie do garażu. Niestety, niczego u podejrzanego nie znaleziono. Zabezpieczono jedynie śrubokręt i dwa pręty z zagiętymi i rozpłaszczonymi końcami, które mogą służyć zarówno do wyciągania dużych gwoździ jak i do urywania kłódek. Technik, któremu zlecono zbadanie tych przedmiotów, wykrył na jednym z prętów milimikronowy odprysk. Była to czarna kropka trudno zauważalna dla oka. Powiększona kilkaset razy ujawniła pewną fakturę: pionowe, trochę faliste pasemka pokrywające jej powierzchnię. Teraz wzięto pod powiekszalnik kłódkę, która w trakcie jej odrywania przez sprawcę została solidnie pokiereszowana. Na jej uszkodzonej powierzchni, w miejscach, gdzie odłupano farbę, stwierdzono podobną — taką jak w znalezionej drobince — fakturę. Teraz technik z benedyktyńską cierpliwością zaczął dopasowywać do siebie owe dwa zdjęcia faktur, by w końcu znaleźć wspólne dla nich miejsce. Tak więc owa nic nie znacząca przy pobieżnym oglądaniu pręta drobinka pochodziła z urwanej z garażu kłódki. Po przedstawieniu dowodu sprawca przyznał się do winy.

Inny przykład: identyfikacja osoby na podstawie jego pisma ręcznego. Fachowcy twierdzą, że metoda ta była stosowana już w średniowieczu i przeprowadzono ją na podstawie metodyczno-porównawczej, tzn. porównywano kształt liter. Zajmowali się tym nauczyciele kaligrafii i pisarze dworscy. Ale była to metoda zawodna. Dziś jest to już cała nauka rozporządzająca nowoczesną techniką, matematyką, a nawet cybernetyką.

Ilustracją tej metody niech będą dwa przykłady. Oto pewna kobieta otrzymała następujący anonim: *„Słuchaj pani, Proszę zrobić tą bańkę dobrej gorzały. W najbliższym czasie zgłosimy się. A jeśli się odważysz iść na MO, to ja jako szef gangu wykonam na tobie wyrok zaoczny. Więcej nie będę pisał bo nie mam ochoty”*. W Wydziale Kryminalistyki, dokąd trafił anonim, rozpoczęła się żmudna praca. Wykonano setki porównań (autentyczność pisma, stopień wyrobienia pisma, jego czytelność, ogólny obraz, sposób rozmieszczenia poszczególnych znaków graficznych, przerwy między wierszami, nachylenie pisma, ogólny rozmiar liter, ich szerokość, wysokość, wzajemne proporcje, kąty utworzone przez poszczególne elementy liter, system cieniowania liter, początek linii litery i jej zakończenie itd., itp.). A potem te same czynności z materiałem porównawczym czyli dziesiątki ekspertyz, czasem setki, by w końcu wyłowić w tej powodzi autora nadesłanego anonimu.

Drugi przykład: kobieta otrzymuje anonim następującej treści: *„Posłuchaj kurwo opóść to mieszkanie bo jak nie on to ja cię wykończę”*. A więc groźba i to poważna. Maszyna dochodzeniowa rusza natychmiast. Bada się pismo osób pozostających w kręgu adresatki, a także samej adresatki. Żmudna to praca, długa. I oto sensacja! Okazuje się, że to właśnie ona napisała do siebie ów list.

Albo taki przykład: kobieta zgłosiła milicji, iż została zgwałcona. Podała personalia sprawcy i jego adres. Podejrzany wyparł się, twierdząc, że o niczym nie wie. Jeśli się go podejrzewa, to trzeba na to mieć dowody. No tak, ale takowych nie było. Specjaliści wiedzą jednak, że podczas kontaktu odzieży mikrowłókna przy pocieraniu się odzieży o siebie mogą przenieść się wzajemnie na siebie tj. z ofiary na sprawcę i ze sprawcy na ofiarę. Są to tzw. mikroślady kontaktowe.

W omawianym przypadku poddano badaniom marynarkę męską koloru czarnego oraz płaszcz damski koloru czerwonego. Po żmudnych badaniach ustalono, że na obu tych częściach odzieży są włókna obce tj. na płaszczu ofiary włókna z marynarki sprawcy, a na jego marynarce włókna z płaszcza ofiary. Podejrzany przyznał się do popełnienia gwałtu.

Inny przykład: Popełniono morderstwo. Był sprawca, ale nie było narzędzia zbrodni. Przy zabitej znaleziono jedynie rajstopy damskie, co sugerowało, że mogły być użyte jako narzędzie, przy pomocy którego dokonano zabójstwa. W tym przypadku zastosowano badania kompleksowe (medyczno-sądowe, mechanoskopijne i fizykochemiczne). A więc zbadano skórę na szyi zamordowanej i owe rajstopy. Ustalono ponad wszelką wątpliwość, że siatka obrazowa uzyskanego wzoru na szyi może pochodzić od damskich rajstop. W ten sposób zidentyfikowano „narzędzie” użyte do popełnienia przestępstwa.

I jeszcze jeden przykład dotyczący oszustwa polegającego na sprzedaniu przez Cygana sześciu obrączek złotych, które oddane przez nabywcę do jubilera, w celu ustalenia ich wartości, okazały się zwyczajnym tombakiem. Kiedy sprawa trafiła do milicji i kiedy milicjanci zjawili się w mieszkaniu Cygana, ten zaklinał się, iż nigdy w życiu żadnych obrączek nie produkował i nie sprzedawał. Jednakże w toku przeszukania znaleziono cechownik, z którego kształtu wynikało, że mógł być używany do oznakowania fałszywej biżuterii. Kiedy dokonano analizy materiału dowodowego w postaci w.w. obrączek i materiału porównawczego — wątpliwości zniknęły. Cygan przyznał się do seryjnej „produkcji” obrączek „z czystego złota”.

Przytoczone powyżej przykłady ekspertyz pozostają tu w ośrodku jako materiał szkoleniowy. Na tym materiale uczą się przyszli fachowcy. Uczą się, że w każdej sprawie, kiedy zostaje naruszone prawo, trzeba wykorzystać wszystkie możliwości badawcze i zabezpieczyć każdy, nawet najmniejszy ślad.

DO CZEGO ZOBOWIĄZUJE JUBILEUSZ

Z tym pytaniem zwróciłem się do komendanta Ośrodka Doskonalenia Kadr Kierowniczych MSW w Łodzi płk. mgr ZBIGNIEWA LITWINA.

— Przede wszystkim do pracy, do pracy na rzecz Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Przecież cała nasza dotychczasowa działalność to wysiłek zmierzający do zapewnienia ładu i spokoju jej obywatelom.

Najbliższe perspektywy ośrodka określa decyzja kierownictwa resortu spraw wewnętrznych, która obok dotychczasowych funkcji: dydaktycznej, wychowawczej, organizacyjnej, specjalistycznej — formułuje nowe funkcje, takie, jak: naukowo-badawcza, wydawnicza, informacji naukowej i doradcza. Realizacja tych funkcji wymagać będzie zmiany struktury organizacyjnej ośrodka, reorientacji kwalifikacji części kadry dydaktycznej i pracowników ośrodka, unowocześnienia infrastruktury dydaktycznej oraz dostosowania do współczesnych wymogów bazy socjalno-bytowej i rekreacyjno-wypoczynkowej.

— *Jak zamierzacie to wszystko osiągnąć?*

— Osiągnięcie zakładanych celów możliwe będzie dzięki pełnemu zaangażowaniu wszystkich funkcjonariuszy ośrodka, kierownictwa polityczno-służbowego każdego szczebla. Przecież dokonaliśmy rzeczy, które na początku drogi rozwojowej szkoły wydawały się wręcz nieosiągalne. Posiadamy perspektywy rozwojowe. Możemy liczyć na poparcie i pomoc władz, społeczeństwa i najbliższych. Będę więc wyrazicielem wszystkich pracowników szkoły, kiedy powiem, że zobowiązujemy się nie ustawać w dalszych wysiłkach na rzecz rozwoju i właściwego funkcjonowania ośrodka, resortu i ojczyzny.

ze str. 1

fleks, ni to obawy przed natarczywą ciekawością obcego człowieka, ni to wyzwania rzuconego tej ciekawości. I jakaś przekorna manifestacja własnego „ja", które znalazło się za marginesem normalności. Później niejednokrotnie zapędzi mnie w kozi róg, lecz będzie się starał nie okazywać własnej satysfakcji. Mnie zaś mija paraliżująca świadomość rozmowy z kimś ze schizofrenicznej listy, odtąd będę nań patrzył jak na jakiś rzadki ludzki okaz i nawet „przez palce" potraktuję jego brewerie myślowe.

Biorę na kolana tłustego, ciężkiego kocura, portier milknie zajęty pisaniem. Pietnaście stron zwartego druku wręczył mi bez zbytnich ceregieli to cały życiorys, nie numerowane strony są jak rzeka, która się płynie. Od czasu do czasu rzuca z ukosa spojrzenia sprawdza, czy wszystko jest w porządku, a może liczy na coś

Śmierć centaurów

więcej, kto wie? Ten życiorys powinien mnie zaskoczyć udowodnić, że margines, na którym się znalazł, nie ma istotnego znaczenia, poniekąd jest zbiorowym wymysłem, choroba także jest wymysłem, „żółte papiery" — nieporozumieniem. To jest jego prywatna wojna o uznanie go normalnym, o wejście w świat ludzi zwykłych, mimo swojej niezwykłości.

Dwanaście lat temu karetka pogotowia przekracza bramę szpitala w Radomiu-Krychnowicach. Człowiek, którego przywieziono znajduje się na krawędzi życia. Interweniowała rodzina, która dotychczas biernie przyglądała się eksperymentowi, któremu poddał się inteligentny, sceptycznie nastawiony do życia absolwent elitarnej szkoły średniej. Dużo wcześniej wykazywał nadmierną skłonność do filozofowania, mierzenia wszystkiego własną miarą, to jednakże nie jest jeszcze powodem do niepokoju, jest w granicach normy.

Gorzej było z ukończeniem szkoły. Nie potrafił znaleźć się w jakimś przygotowanym przez społeczeństwo układzie, choć miliony ludzi nie ma z tym problemu. Żył na uboczu, z biegiem czasu dystans ten zaczął przybierać rozmiary przepaści. Wpadł w uduchowiony stan i począł naśladować egzystencje średniowiecznych eremitów. Przeszedł na ścisły wegetarianizm, z czasem jedynym jego pożywieniem stały się jabłka. Rodzina zachowywała jeszcze resztki tolerancji kres wszystkiemu położył dopiero dzień, w którym z powodu długotrwałego osłabienia organizmu stracił przytomność. Zadzwoniono po karetkę pogotowia.

Po tamtej stronie kroplówkami przerwano jego asceze. Czuł się upokorzony. Na początek zaaplikowano mu kurację fenactilową, 36 zastrzyków, dwa razy dziennie.

Trzeciego dnia wezwany został na rozpoznanie diagnostyczne. Psycholog, który prowadził wywiad zapytał, czy jest mu wiadome, gdzie się znajduje. Wiedział, gdyż przy wjeździe karetki pogotowia zdołał odczytać nazwę szpitala. Pytał dalej o przyczyne znalezienia się w owym miejscu. Wyjaśnił najobszerniej jak mógł, nie kryjąc swoich poglądów

— „... *Nie należę do tych ludzi, co przechodzą do porządku dziennego nad ważnymi z ogólnonaukowego punktu widzenia kwestiami z powodu zwykłego skomplikowania. Siedziałem nad tymi zagadnieniami dotąd, aż nie stworzyłem jasnej i prostej teorii funkcjonowania narządu wzroku... Teoria ta dotyczyła zasady widzenia barw. W największym skrócie przyjmuje ona falową zasadę widzenia barw, zawierająca m.in. ten aspekt, że do oka wpada negatyw barwny obrazu, czyli obraz przedstawiony widmem świetlnym pozbawionym barwy odpowiadającej barwie oglądanego przedmiotu. Brakująca barwę uzyskuje się przez wytłumienie negatywowego obrazu pełnym widmem świetlnym. Odkryłem też niejednakowy dla gatunków rytm gaszenia receptorów wzroku, co powoduje różnice w odczuciu upływu czasu miedzy gatunkami, a więc biologiczną względność upływu czasu. Odkrycie te były dla mnie szokujące no bo jeśli oko jest tylko wykształconą w drodze ewolucji światłoczułą plamką, zasklenionym szklistą galaretowatą soczewką — fotooptycznym dołkiem, to z materialistycznego punktu widzenia wszystko się zgadza. Lecz jeśli do oka wpada negatyw obrazu pozbawiony barwy odpowiadającej ostatecznie widzianej barwie, jeśli ten negatyw jest odwracany w przemyślny sposób — prosty i genialny, jeśli dla świata żywego czas upływa w różnym tempie, to nie mogłem tego uznać za normalne, samoistne działanie...*"

Psycholog, który wiele widział i niemało słyszał, skwitował to krótko: — Już dawno powinien pan się tu znaleźć!

Dni szpitalne płynęły monotonnie. Swoją misję zapoznawania z boskim światłem roztoczył na pacjentów. W dalszym ciągu nie krył się ze swoimi poglądami te zaś skrzętnie były notowane przez pielęgniarki w dziennikach obserwacji. Pobyt w szpitalu uprzykrzył mu się bardzo, toteż usiłował przekonać rodziców, którzy często go odwiedzali, że nie ma to wszystko sensu, a jego miejsce jest w domu. Lekarze sugerowali jednak że dalsze leczenie jest konieczne, rodzice zas przystali na to.

Postanowił zatem uciec, okazało się, że nie nastręcza to zbytnich kłopotów. Razem z nim przeskoczyło parkan dwóch młodych narkomanów.

Po kilku dniach pobytu w domu, na skutek perswazji rodziców znalazł się w szpitalu ponownie. Tym razem czekała go sroga niespodzianka. Za karę powędrował na oddział przypadków ciężkich. Poddano go intensywnej kuracji tabletkowej. Jednakże kiedy tylko mógł, pozbywał się owych tabletek, co zresztą zaobserwował u większości pacjentów.

Po dwóch tygodniach uznano że kuracja tabletkowa niewiele w jego przypadku dała. Lekarze zdecydowali się sięgnąć po środek ostateczny, jakim jest terapia wstrząsowa.

— „*Wobec niektórych pacjentów stosowano wstrząsy elektryczne w specjalnym gabinecie, do którego na dłużej nigdy nie udało mi się zajrzeć, wystarczająco jednak, by temu urządzeniu dobrze się przyjrzeć. Nigdy nie udało mi się zobaczyć momentu, kiedy wprowadzano tam pacjentów, chociaż byłem tym zainteresowany. Natomiast wielokrotnie oglądałem pacjentów stamtąd wywożonych na łóżkach z kółkami, leżących na wznak, w nieprzytomnym stanie*".

Jemu i dwóm narkomanom zaoszczędzono jednakże elektrowstrząsów, poddając ich kuracji insulinowej. Polega ona na tym, że przywiązanemu do łóżka pacjentowi wstrzykuje się porcję insuliny, która obniża poziom cukru we krwi, powodując tzw. śpiączkę insulinową. Po ustalonym czasie przywraca się choremu przytomność, wlewając lejkiem i wężykiem wprowadzonym przez otwór nosowy rozpuszczony w wodzie cukier.

Porcja insuliny, jaką zaaplikowano mu pierwszy raz była niewielka. Nie stracił przytomności, tylko leżał, cierpiąc ogromnie. Miał wrażenie, jak gdyby od środka ktoś walił w jego mózg pięciokilogramowym młotem.

Na drugi dzień znowu dawka insuliny, odpowiednio zwiększona. Tym razem kolejno on i dwaj narkomani tracą przytomność, ciągle mając uczucie wewnętrznych uderzeń w głowę.

Trzeci seans wstrząsowy powoduje u niego tak silną konwulsję, że personel ma kłopoty z przywróceniem go do życia. Kuracja zostaje wstrzymana. Rodzice, od których zgody zależy dalsze kontynuowanie zabiegów, nie są już przekonani o takiej konieczności, na własną prośbę wypisują go ze szpitala.

Swój trzymiesięczny pobyt w szpitalu kwituje następująco:

— „*Jakkolwiek nie były to najradośniejsze chwile w moim życiu, nie brakowało im momentów humorystycznych. Zabawna była dla mnie łatwo wyczuwalna irytacja personelu lekarskiego, który w mojej osobie miał skomplikowany przypadek pacjenta potrafiącego logicznie myśleć i ogólnie zachowującego się normalnie, ale który ubzdurał sobie nierealny, wyidealizowany świat teoryjek z Bogiem w roli głównej i który podporządkował swoje życie takim ułudom. Byłem pewien, że żadnymi środkami farmakologicznymi ani wstrząsowymi nie są w stanie lekarze psychiatrzy zmienić mojego myślenia. Do zabawniejszych momentów zaliczam też pewnego rodzaju psucie szyków lekarzom, a raczej pomaganie pacjentom na początku ich pobytu w szpitalu. Z każdym nowym pacjentem przeprowadzałem swój prywatny wywiad prosząc go, aby mi powiedział, dlaczego tam się znalazł. Uzyskiwałem rozne odpowiedzi, często o kłopotach i zmartwieniach. Każdemu usiłnie radziłem, by lekarzowi podczas wywiadu nie mówić prawdy o tych troskach, lecz że się wypiło o jednego za dużo i widocznie trochę się narozrabiało. Moja działalność powodowała, że wielu pacjentów od razu przechodziło na lżejszy odcinek i to bez kuracji. Kazałem im przy tym zająć się czymś i dbać o swój wygląd. Po kilku dniach niektórym udawało się szpital opuścić, a ja byłem zadowolony, że oszczędziłem ludziom cierpień i upokorzeń*".

W ciągu dwóch i pół roku po opuszczeniu szpitala jego życie ulega istotnym przeobrażeniom. Zawiera związek małżeński, z którego rodzi się dziecko, córka, podejmuje pracę w firmie, która wysyła go po pewnym czasie na dwumiesięczny kontrakt do Szwecji, a później ponownie na cztery miesiące. dzięki temu może ustabilizować się materialnie. Na świat przychodzi drugie dziecko, także córka. Rezygnuje z kolejnego tym razem dwuletniego kontraktu, by zająć się wychowaniem dzieci. Gdzieś po drodze zanikają „teoryjki z Panem Bogiem w roli głównej". Bierze się za prywatny biznes (objazdowy rożen), pochłaniają go jednak książki, wiedza, ewolucjonizm we własnym wydaniu. Ma czasami wrażenie, że dochodzi do pewnych prawd sam, niezależnie od tego, że kiedyś to już zrobiono. Ale ma też świadomość własnej wyjątkowości i swoich skromnych możliwości w naprawie tego świata...

W niebieskich tekturowych okładkach powoli gromadzą się projekty, niektóre przypominają monstra, sztuczne twory niepokojącej wyobraźni, innym na pozór nic nie brakuje, a przecież widać, że unoszą się nad ziemią. Świata nie da się naprawić jakąkolwiek wyobraźnią, jego jednak rażą ewidentne niedostatki tej rzeczywistości, toteż projektów będzie przybywać — tajemnica Trójkąta Bermudzkiego spocznie obok nowego modelu łodzi wiosłowej...

Nie dla projektów jednakże zrezygnował z objazdowego rożna i znalazł przystań na peryferiach miasta, w bazie samochodowej, gdzie z czasem przestała ludzi dziwić długa broda, włosy sięgające ramion i pokątne pisanie za drewnianą balustrada, w pomieszczeniu w którym odbijają się kolejne dni, jeden podobny do drugiego i przewijają się ludzie tak samo podobni.

Tutaj powstaje książka, co będzie solą wiedzy, nowym drogowskazem w pozbawionym idei świecie, taka, w której materializm z idealizmem nie będą się gryzły jak pies z kotem, a ewolucjonizm poda rękę teorii o stworzeniu świata w ciągu siedmiu dni...

Pytam, czy znane mu jest nazwisko Teilharda de Chardin, lecz tym razem trafiłem w pustkę. Terra incognita! Może kiedyś wbije w nią swój sztandar, nie wiedząc, że od dawna powiewa tam czyjś inny?

Czarnego kota puszczam na podłogę, pies nieznacznie porusza uchem, zobojętniały, apatyczny. Portier otwiera drzwi, stoi na progu, gładząc brodę delikatną ręką. Ściskam pod pachą rozdział o centaurach. — Nieźle pan rozpracował ten mit — mówię, by sprawić mu przyjemność. Uśmiecha się niewyraźnie i odwraca głowę w stronę stojących w przenikliwym, sztucznym świetle samochodów.

Ta baza, to miało być niezłe życie, dalszy jego ciąg, lecz już myśli o tym, żeby je zmienić. Najlepiej jest wtedy, gdy wyrusza na samotne eskapady pod namiot i gwiazdy. Walt Whitman powiedział: — „Chciałbym żyć wśród zwierząt..." Lecz jemu przyszło żyć wśród ludzi. Chociaż od pobytu w szpitalu minęło 12 lat i zrobił wiele, żeby to za sobą zatrzeć, ucieczka od swojego wyolbrzymionego „ja" nie jest możliwa. Zwyczajne życie nie jest dla schizofreników, dotykają ich kosmiczne wymiary, przetacza się przez nich wszechświat.

Nie pytam już, o nic, mijam bramę, a kiedy na ulicy odwracam głowę, widzę, że człowiek stojący na progu budyneczku nie rusza się stamtąd. Tkwi nieruchomo.

WŁADYSŁAW MALKA

Małolaty pod bronią

ze str. 1

„Spójni", tankietki z warszawskiej spółdzielni „Centrum", czy ciężkiego karabinu — „dzieła" Spółdzielni Inwalidów „Wabis". Wiedzą bowiem, że zabawki takie więcej czynią szkody w psychice dziecka, niźli dostarczają mu radości.

Niestety, zabawek militarnych pojawia się coraz więcej. Trafiają nawet do kiosków „Ruchu" co pozwala sądzić, że nadaje się im charakter artykułu podręcznego. Tak oto znaleźliśmy się w sytuacji, kiedy ekspansja zabawek militarnych przekroczyła granice zdrowego rozsądku.

Ilekroć dotyka się tematu zabawek militarnych, ich zwolennicy, których nie brak, pytają: no dobrze, ale co właściwie jest zabawką militarną? Czy można podać jej definicję? I trudno choć częściowo nie przyznać im racji, gdyż nie ma chyba w pełni zadowalającej definicji zabawki militarnej, a więc takiej, która nie budziłaby żadnych wątpliwości.

Swego czasu w Ośrodku Badawczo-Rozwojowym Krajowego Związku Spółdzielni Zabawkarskich zaproponowano, aby za militarne uznać: „zabawki przedstawiające żołnierzy, sprzęt wojskowy lub przedmioty i postacie używane do prowadzenia wojny lub walki w różnych okresach historycznych". Definicja ta w zasadzie odpowiada potocznemu rozumieniu pojęcia zabawki militarnej, ale pozostawia też szerokie pole do rozmaitych interpretacji. Można się bowiem zastanawiać, czy na przykład indiański pióropusz jest zabawką militarną, czy też nie. Albo zwykły samochód ciężarowy — czyż nie może stanowić sprzętu wojskowego? A zatem...

A zatem nie tyle w definicji należy szukać rozstrzygnięcia czy zabawki militarne są szkodliwe, czy nie — ale w wynikach badań naukowych, które odpowiadałyby na pytanie, jaki wpływ może wywierać dana zabawka na dziecko. Takich zaś badań — na odpowiednio wysokim poziomie — w Polsce się nie prowadzi. A szkoda, gdyż mogłyby one dużo nam powiedzieć o tym, co dzieje się w psychice dziecka pod wpływem kontaktu z takimi czy innymi zabawkami. Czy jest to wpływ pozytywny, czy wprost przeciwnie.

Wbrew pozorom nie jest to wcale aż taka błaha sprawa. Nie przekonuje też argument, że dotąd obywaliśmy się bez tego i jakoś to było.

Współżycie społeczne w naszym wcale nie najlepszym świecie z roku na rok staje się coraz trudniejsze. Pojawiają się również zjawiska społeczne, z którymi przedtem nie mieliśmy do czynienia, a które w przyszłości mogą zaważyć na obrazie polskiego społeczeństwa. Już A. F. Modrzewski powiedział przecież, że takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie.

Występując przeciwko zabawkom militarnym mamy pełną świadomość, że zbytnim uproszczeniem byłoby stwierdzenie, iż są one generalnie szkodliwe. Znamienny jest tu przytaczany często przykład modelu samolotu bojowego z drugiej wojny światowej, który samemu należy złożyć z części, niekiedy samemu także pomalować. Czyż nie rozwija to zdolności manualnych, nie wpływa na zainteresowanie techniką, najnowszą historią? No i zasadnicze pytanie: czy taki model do składania jest zabawką militarną, czy nie?

Jak widać problem nie jest prosty. Mimo to, wydaje nam się, iż bez większego ryzyka popełnienia błędu powiedzieć można, że zdecydowana większość zabawek militarnych wywiera niekorzystny wpływ na psychikę dziecka. Podkreślamy — dziecka, a nie kilkunastoletniego chłopca, który pasjonuje się modelarstwem, trochę już zna historię i na ogół potrafi odróżnić co dobre, a co złe. Małe dziecko — przyjmijmy umownie: do 7—8 roku życia — nie zajmuje się modelarstwem, za to chętnie bierze do ręki plastykowy karabin, pistolet, czy czołg kupiony mu przez rodziców, którzy jakże często nawet nie zastanawiają się nad tym, czym ich pociecha bawić się powinna, chcąc mieć przede wszystkim tak zwany święty spokój. Dlatego nie o wszystkie zabawki militarne nam chodzi, ale o te przeznaczone dla najmłodszych dzieci, nieświadomych jeszcze czym jest śmierć, morderstwo, wojna. Jesteśmy przeciwko zabawkom, które kierują uwagę dziecka na stosowanie przemocy, pozbawianie kogoś życia, okaleczanie — które wyzwalają agresję! Takich zabawek nie powinniśmy dawać dzieciom do ręki — przynajmniej do czasu, kiedy nauczymy je że wojna nie ma nic wspólnego z zabawą, a odebranie komuś życia jest czymś równie strasznym jak własna śmierć.

Podstawowe cechy charakteru człowieka kształtują się w pierwszych latach po urodzeniu. To bardzo ważny okres: dziecko uczy się, naśladuje nas dorosłych, poznaje świat od tej strony, którą my mu pokażemy. I nie bez znaczenia jest, aby najpierw zetknęło się ono z tym, co sami uważamy za dobre. Czego nauczymy dziecko, dając mu do zabawy karabin, pistolet, czołg, samochód pancerny?

Idąc dalej tym torem rozumowania, można by domagać się wprowadzenia zakazu produkcji zabawek militarnych i to — na wszelki wypadek — wszystkich. Ten sposób myślenia nie jest wszak czymś obcym w naszym kraju. Przeciwnie, iluż to rzeczy zabraniano nam już tysiącami przepisów powołujących się na bliżej nie określony ogólnospołeczny interes, wolę większości, czy różne wyimaginowane konieczności, by przekonać się po pewnym czasie, że działania te nie tylko nie przyniosły oczekiwanego rezultatu, ale nawet wzmogły jeszcze zjawiska, z którymi chciano walczyć. Przykładami można sypać jak z rękawa. Nie będziemy więc sugerować żadnych zakazów. Uważamy natomiast, że należy większą uwagę zwrócić na problem zabawek militarnych, zająć się nim kompleksowo i prowadzić takie działania, które pozwoliłyby stopniowo eliminować je z naszych domów a może nawet sklepów.

Zabawki militarne mają swoją długą i bogatą tradycję. Towarzyszą nam od setek, może nawet tysięcy lat. I tym prawdopodobnie należy tłumaczyć, że wciąż się je produkuje, ba — że produkuje się ich coraz więcej i wciąż znajdują one nabywców. Sądzimy jednak, że nie jest to najlepsza tradycja i należy się jej przeciwstawiać tak, jak przeciwstawiamy się tradycji nadużywania alkoholu, rozwiązywania konfliktów społecznych i politycznych przy użyciu siły, itp.

Można mieć uzasadnione pretensje do producentów zabawek, że nieustannie zalewają rynek militariami, które nie rozwijają wyobraźni dziecka (a jeżeli już, to raczej w niepożądanym kierunku), są nieestetyczne i niedbale na ogół wykonane. Można mieć pretensje do handlu, który te koszmarki i narzędzia do zabijania oferuje w sklepach, kioskach oraz na kiermaszach. Ale można też i trzeba mieć pretensje do tych rodziców, którzy bezmyślnie i bezkrytycznie kupują swoim dzieciom owe zabawki z takim samym spokojem jak lalkę, misia, czy elektryczną kolejkę. Powiedzmy sobie szczerze: nikt nas przecież nie zmusza do kupowania zabawek militarnych. Jeżeli je kupujemy, to z własnej woli. Sami po cichu wkładamy do dziecięcej rączki karabin i każemy dziecku bawić się w wojnę, choć głośno opowiadamy się za pokojem, rozbrojeniem i miłowaniem bliźniego, jak siebie samego...

Mamy też pretensje do naukowców i ludzi decydujących o stanie nauki polskiej, że dotąd nie zajęli się poważnie problemem zabawek militarnych. Że nie prowadzi się badań nad ich oddziaływaniem na psychikę dziecka i cały proces wychowania, a wyników takich badań nie podaje się do publicznej wiadomości, nie komentuje się w środkach masowego przekazu. Że nie ostrzega się tak producentów, jak i potencjalnych nabywców, jakie zagrożenia może nieść ze sobą zabawka militarna. Że od lat problem ten spowity jest milczeniem.

Przy okazji warto też zadać sobie pytanie, dlaczego dzieci bawią się w wojnę? Skąd czerpią przykłady i wzory takich zabaw? Nie wymyśliły ich przecież same!

W „Medalionach" Z. Nałkowskiej znajdujemy wstrząsającą scenę zabawy w palenie Żydów. Rozumiemy jej tragizm, gdyż tamte dzieci były dziećmi wojny. Ale te urodzone w latach pięćdziesiątych i później — skąd ją znają? Z opowiadań dziadków i rodziców, z książek i gazet, kina, radia, a przede wszystkim z telewizji. I doprawdy trudno się dziwić twierdzeniu prezesa jednej ze spółdzielni zabawkarskich produkującej militaria, który powiedział, że czymże są jego zabawki militarne w porównaniu z tą falą okrucieństwa i filmów wojennych zalewających naszą telewizję.

Istnienie wojska — przynajmniej na razie — jest konieczne. Trudno też wyobrazić sobie naukę historii bez opisu bitew, morderstw i wojen. Podobnie — film i literaturę. I na to zgoda. Można natomiast wyobrazić sobie program telewizyjny, który do godziny 19.30, tj. do czasu zaśnięcia najmłodszych widzów, pozbawiony będzie audycji przedstawiających sceny brutalne, wojnę. Tymczasem jest akurat odwrotnie: nawet w niektórych audycjach adresowanych do dzieci pokazuje się okrucieństwa wojny bez żadnych osłonek. W zamierzeniach autorów ma to rzecz jasna wywołać pozytywny efekt wychowawczy: uczyć historii, przekonywać, że wojna jest czymś strasznym. Niestety, często skutek jest całkiem inny, co widać chociażby po każdej kolejnej emisji serialu „Czterej pancerni i pies", kiedy to nawet pięciolatki biegają po podwórkach z karabinami i bawią się — w co? — oczywiście w wojnę. Tę samą wojnę, którą widziały w filmie do siebie przecież adresowanym. Wątpliwe by takie filmy działały na przedszkolaki budująco, by rzeczywiście wyrabiały w nich świadomość, czym jest naprawdę wojna i wszelka przemoc. A jeżeli mylimy się, to proponujemy zrobienie porno-filmu dla dzieci, który ostrzegałby przed chorobami wenerycznymi, filmu o alkoholikach, ostrzegającego przed plagą pijaństwa, etc., etc. Kto wie, może właśnie wtedy lepiej wychowamy młode pokolenie — tak jak obecnie staramy się wychowywać dzieci w duchu pokoju, wkładając im do ręki karabin.

Oczywiście zabawki militarne i potężna dawka okrucieństwa na małym ekranie nie dotyczą jedynie Polski. Można by rzec, że w innych krajach jest jeszcze gorzej, gdyż np. w Republice Federalnej Niemiec sprzedaje się czołgi ozdobione swastyką, a w Stanach Zjednoczonych programy telewizyjne od samego rana wprost ociekają krwią. Nas interesuje jednak nasz kraj i nasze dzieci. Najpierw zróbmy porządek na własnym podwórku, a dopiero potem wytykajmy innym ich błędy.

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

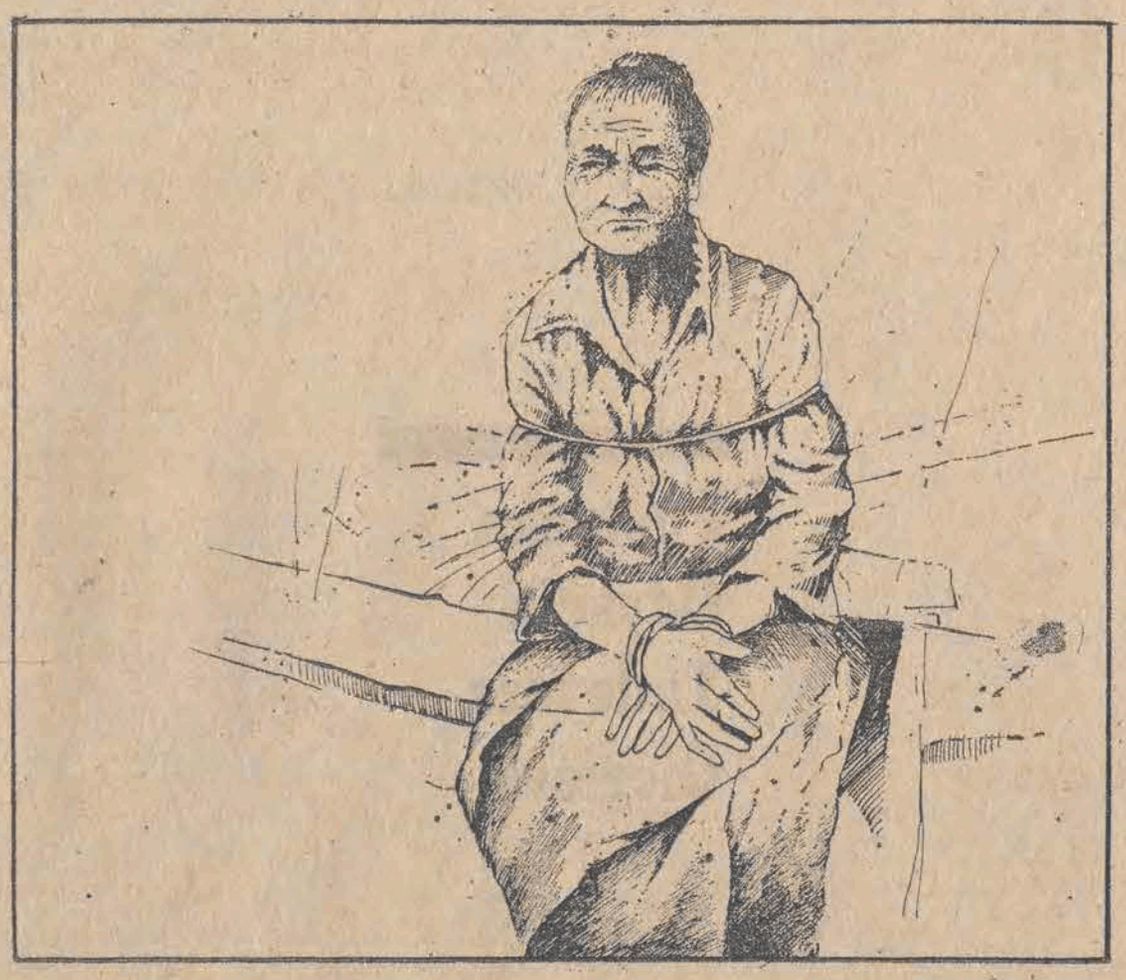

Rys. Janusz Szymański-Glanc

(2)

Polowanie na babcie

RYSZARD BINKOWSKI

Niejaki Jan Rzepa należał do osobników ambitnych i wielce kochliwych. Był osiemnastoletnim kawalerem bez zawodu, niepracującym, ale za to ośmioletnim fakultetem na studiach wieczorowych. Jako inteligent miał gest i honor, tylko pieniędzy mu zawsze brakowało. Jeszcze w wieku nieletnim obrabował do spółki z kolesiami pewien schron ze skórzanymi kurtkami. Pech chciał, że z tego schronu nie było wyjścia i wszyscy wpadli. W miłości też nie miał szczęścia.

Aliści ostatnio Jan poznał, był siedemnastoletnią uczennicę szkoły zawodowej. Dziewczę pochodziło ze wsi, na imię miało Lola i mieszkało w internacie. Imponował jej szpaner z miasta, toteż wieczorem wyskakiwała przez okno z sypialni i przerabiała z Rzepą zadany materiał przeważnie z anatomii i fizjologii. Jasio był tak rozkochany, że z tej miłości rozbił na ulicy gablotę reklamową, skąd skradł dwie koszule, spodenki, skarpetki i bezrękawnik. Skarpetki i bezrękawnik pasowały jak ulał na Lolę.

Jednakże piękna Lola wymagała większych dowodów wdzięczności. Rzepa był człowiekiem ofiarnym, toteż nic dziwnego, że przez cały tydzień stał za handlarza w hali na „Górniaku". Sprzedawał z rękawa dostarczone przez hurtownika zegarki elektroniczne i srebrne naszyjniki. Wyrobił się na dwieście procent, to znaczy zagarnął na czysto dolę w wysokości sześciu tysięcy, a dodatkowo sprawił Loli mały prezent w postaci elektronika marki Quartz Panatex.

Na tym jednak dochody Rzepy urwały się, niestety. Chadzał więc pod Dom Handlowy z nadzieją, że uda mu się coś uskubnąć albo zahandlować przy pośrednictwie. Towarzyszył mu kolega Józef Kruk dwudziestosześcioletni kawaler, z zawodu monter instalacji budowlanych specjalizujący się w kradzieżach i włamaniach. Siedział już za grupowe obrabianie kiosków i kradzieże rowerów. Potem się zredukował i zaczął pracować w prywatnej firmie jako pomocnik murarza. Ale on był na to za delikatny, a czasy były za ciężkie. Ponieważ u majstra nie odbijało się karty, więc wagarował bez opamiętania.

Dziesiątego lipca Rzepa z Krukiem spotkali przed Domem Handlowym zasmuconego Roberta, który po sromocie doznanej w czasie próbnego skoku na domek babci Agaty długo nie mógł dojść do siebie. Nękało go dokuczliwe pragnienie rehabilitacji oraz marzenie o wakacyjnym biwaku. Pragnąc wykazać się odwagą i bystrością umysłu, a także zaimponować starszym kumplom, napomknął enigmatycznie, iż szykuje pewien niezły skok. Przyciśnięty do muru, zdradził im cały plan, lecz nie chciał nadać obiektu. Oświadczył, że zdradzi adres, jeśli dostanie trzy czwarte łupu, a jego udział ograniczy się do naciśnięcia dzwonka. Miał wszystko wyjaśnić nazajutrz, ale pod warunkiem, iż koledzy podpiszą zobowiązanie, że wezmą udział w skoku i odpalą mu te trzy czwarte działki.

Nie przyszedł jednak na umówione spotkanie, bo jak zwykle stchórzył. Kruk strasznie się wnerwił.

— Podpadł mi szczeniak, oj podpadł! Ale kit mu w mogiłę! Sami to machniemy.

— He, jakim cudem?

— A takim, bracie, że ja jestem stary tropiciel śladów.

7.

Trzynastego lipca Lola przyjechała do miasta, by odebrać zarobione na praktyce pieniądze w wysokości dwóch tysięcy złotych. Nie wiedziała, co z nimi zrobić bo na szmatki za mało, a na wakacje też trzeba coś odłożyć. Obejrzała sobie Lola wystawy sklepów i już zmierzała do autobusu, gdy nagle spotkała na ulicy kochanka swego, Jana Rzepę, oraz kolegę jego, Ziutka Kruka. Ucieszyła się do tego stopnia, że natychmiast dała swemu Romeo trzy stówy, a on kupił za nie w melinie butelkę wina typu bełt.

Poszli do parku i wypili pod palec. Lola poczuła się tak rozanielona, że chciała im dać całą siebie i wszystka forsę na bełt, ale Kruk oświadczył rzeczowo:

— Nie maleńka, nie będziemy cię dmuchać w duecie. Kiedy indziej pobaluiemy. Jakbyś miała jakąś kumpelkę ze chcicą, to mogę się nią zająć.

— Fajnie! Jest Baśka z mojej klasy!

— No widzisz! Spotkamy się na trawce i fiknemy parę koziołków.

— Chłopaki, to się dobrze składa! — wrzasnęła z radości Lola. — Bo, wiecie, u nas jest jutro zabawa.

— Gdzie?

— W Dłutowie! Jasiu, przyjedziesz? Babcia by cię poznała i w ogóle...

— W porządku, będziemy koło szóstej. Ale na zapowiedzi niech babcia jeszcze nie niesie.

Odprowadzili Lolę na dworzec, gdyż przed trzynasta miała autobus do Dłutowa. Zanim doszli na miejsce, Ziutek rzucił półgłosem:

— To jest właśnie ten obiekt...

— Na pewno?

— Pingpongista trzy razy stał tu na lipku.

— Ach, tak — mruknął Rzepa. — Myślę, bracie, że ktoś ma z tym domkiem przegrane.

Wsadzili Lolę do autobusu, pomachali jej na pożegnanie i przymierzyli się próbnie do wskazanego przez Kruka drewnianego obiektu. Zrezygnowali jednak ze względu na własną bezpieczeństwo. Ruch był za duży.

8.

Babcia Agata wyszła na podwórko, aby przerzucić schnącą na sznurze bieliznę. Przewracając majtki bez falbanek usłyszała dzwonek. Podeszła na palcach do furtki, zapuściła żurawia w szparę pełniącą rolę naturalnego judasza. Na ulicy stał młody człowiek w wieku około dwudziestu lat. Babcia zlustrowała go uważnie od stóp do głów. Wzrost około metr osiemdziesiąt, włosy ciemnobląd średniej długości. Miał na sobie szare spodnie i białą koszulę, z krótkimi rękawami. Czerwony nadruk z przodu koszuli przedstawiał natchnione oblicze kudłatego brodacza. Nie był to jednak Chrystus.

Kobieta odemknęła drzwi z zamka i uchyliła na pół szerokości. Gość uśmiechnął się pogodnie.

— Dzień dobry, jestem Siwak. Czy tu mieszka szewc Ambroziak? — zapytał.

— Ależ skąd, proszę pana! Ja nie znam takiego...

— O rany! Mówiono mi, że mieszka na tej ulicy.

— Możliwe. Pewnie jakiś nowy...

— Aha, sprowadził się przed tygodniem.

— Proszę spytać gdzieś dalej, z drugiego końca.

— Psiakrew! Właśnie stamtąd idę. Myślałem, że to tutaj.

— Niestety, pomyłka, proszę pana.

— Przepraszam za najście. Dziękuję i do widzenia.

Mężczyzna odszedł w stronę głównej ulicy, po czym skręcił w kierunku szkoły. Agata przesunęła zasuwkę w furtce, przewróciła bieliznę na sznurze, co zajęło jej około trzech minut, i wróciła do domu. Kiedy weszła do kuchni, zza drzwi wyskoczył jakiś mężczyzna, chwycił ją od tyłu za szyję i powalił na wersalkę. Był to wesoły bandyta, gdyż uśmiechnąwszy się satanicznie, zaczął ją dusić.

— Puść mnie, dobry człowieku — wykrztusiła głosem hrabiny gwałconej przez fornala. — Puść mnie, a ja cię ozłocę, wydam całą moją krwawicę...

Napastnik uśmiechnął się jeszcze czulej. Przytrzymał babcię jedną ręką za gardło, drugą zaś zdjął jej z palca złotą obrączkę. Następnie ściągnął ze starczej szyi złoty łańcuszek z wizerunkiem Matki Boskiej.

— No dobra, puszczę! — warknął. — A ty ładuj mnie w kabze złoteńko i zielone.

Babcia chciała powiedzieć, że więcej nie ma, lecz zamiast tego pisnęła tak przeraźliwie, że bandycie zatrzeszczały bębenki. Ze zdenerwowania zakrył jej usta dłonią i tak przycisnął, że babci pękła szczęka z ubezpieczalni. Agata omdlała, bo pomyślała, że rabuś strzelił jej w czaszkę ze spluwy bez tłumika. Potem otworzyła jednak oczy, gdyż do kuchni ktoś wszedł. Był to ten sam facet, co pytał o szewca.

— Co się tak grzebiesz?! — wrzasnął dusiciel.

— Dzieci się plątają po boisku...

— Trza było piłkę im wykopać na ulicę!

— Nie mogłem trafić do dziury w płocie. A ty już załatwiłeś?

— Hrabiowski sekut, nie mogę sobie z nią poradzić. Idzie w zaparte.

— Kłamie starucha!

— Panowie — jęknęła — ja nie mam nic rodowego! Państwo mnie zniszczyło, bolszewizm pognębił, a teraz okradają dzieci i wnuk...

— Akurat! Sami znajdziemy. A ciebie wyciszymy na knebel i sznur.

— Panowie, możecie szukać. Nie ma ani złota, ani dolarów, ani gotówki za auto. A tu przyjdzie zaraz ktoś, kto ma klucz od furtki...

— Ha, tym bardziej trzeba wiązać!

— Ależ ja to, co miałam, wyprzedałam. A resztę dałam w komis wychowankowi...

— Ale buja! Nie pokaże, stare pudło!

Dusiciel chwycił ścierkę i gdy babcia wypluwała pękniętą szczękę, zrobił jej narkozę na knebel, po czym związali jej ręce i nogi. Zanim jednak straciła przytomność, zdążyła się przyjrzeć staruszką gościowi. Mógł mieć około trzydziestki. Twarz pociągła, włosy blond, lekko falujące, bez baczków, grzywka opadająca na czoło. Miał na sobie koszulę koloru kakao z kieszeniami na przodzie, brązowe spodnie i sportowe obuwie.

Działali szybko i sprawnie, bo wiedzieli, gdzie szukać. Przenieśli babcię na werandę, żeby im nie przeszkadzała i miała czym oddychać. Mniej więcej po kwadransie ocknęła się. Leżała na wersalce w kuchni.

Wszystkie drzwi były pootwierane, mogła więc ocenić rozmiary zniszczeń. Sceneria przedstawiała bitewne pole zostawione przez brygadę remontową trzeźwego ROM. Podłoga zerwana do połowy, stół porąbany, rozbita szafa we wnęce, zdeptana, podarta bielizna i odzież.

Babcia czekała miłosierdzia. Modliła się nawet, żeby komuś nawalił pęcherz, żeby ktoś wlazł przez płot do ogródka. Ona wiedziała, co złodzieje mogli zabrać. Nie były to rzeczy, których szukali, ponieważ babcia okazała się przezorna.

9.

Jeden z podróżnych, który chciał jechać autobusem do Radomska, napił się piwa i cisnęło go w dołku. Na ulicznym dworcu nie było kibla, w nogawkę nie wypadało, toteż sforsował płot i zaczął spokojny odlew, gdy nagle przerwało mu jęczenie w domku. Lejoch zajrzał przez okno, zobaczył związanego trupa na wersalce i zamiast babcię uwolnić, zwiał przez płot i zadzwonił anonimowo z automatu na milicję.

Milicjanci dokonali skrupulatnych oględzin. Oprócz babci na wersalce w kuchni leżały gumowe rękawiczki. W pokoju na fotelu — czarne skórkowe rękawiczki z futrówki. Zabezpieczono czarny wazon, bo mogły być na nim linie papilarne, gdyby przestępcy zdjęli rękawiczki podczas pracy.

Dziesięć metrów od płotka na rabatkach trzy ślady obuwia. Nie należały do dzieci szkolnych: 31 cm długości, obcas długi na 10 cm i szeroki na 4 cm. Wykonano odlewy gipsowe i zdjęcia. Ponadto zabezpieczono kawałki białego sznurka ze sztucznego włókna, którym związano babcię, a także niedopałki papierosów z filtrem oraz krótki łom zwany łapką. Dziurę w płocie również zabezpieczono.

Najwięcej śladów znajdowało się na babci. Doznała wybroczyn krwawych i otarcia naskórka na szyi, podbiegnięć krwawych i otarć śluzówki warg, otarcia skóry na rękach i nogach oraz sińca na prawym przedramieniu.

Nie było natomiast żadnego śladu bogactwa babci Agaty. Zresztą ona nawet nie wspominała przy milicji na temat swego majątku. Opisała natomiast dość dokładnie rozbójników, chociaż nie znała ich przedtem. Nie potrafiła też powiedzieć, kto mógł zorganizować napad.

Według wyjaśnień Agaty zginęły następujące fanty: złota obrączka wartości 24 tys. zł, łańcuszek ze złotym medalikiem za 30 tys., złota bransoletka (10 gram) warta 70 tys. zł. Spod bielizny w szafie rabusie wzięli cztery czekolady, z kredensu, 3 tys. gotówki, a z plecionej kasetki z drobiazgami jedną talię kart. Zostawili portfelik z bilonem o wartości 300 zł.

Milicjanci patrolowali trasy wylotowe, dworzec PKP, bary, restauracje i kawiarnie. W końcu znaleźli dwóch świadków, którzy w parę minut po napadzie widzieli na boisku szkolnym dwóch osobników. Mogli to być przerośnięci uczniowie, bo strasznie bluźnili. Rysopisy zgadzały się z podanymi przez babcię.

Inny funkcjonariusz wziął w obroty Marka, który był już notowany za ucieczki z domu i nocne biwaki na stadionie. Chłopak miał alibi. Ale postraszony poprawczakiem w Ignacewie wyznał, iż planował z kolegami polowanie na babcię, ale im nie wyszło. Wobec tego milicjant przepytał kolegów. Tchórzliwy Robert natychmiast popuścił i uwolnił się od winy. Oświadczył, iż bogactwo Agaty zmusiło go do chełpienia się i szpanowania przed Rzepą i Krukiem. Ale nie powiedział im, gdzie konkretnie ten sezam błyszczy. Oni przychodzili trzy razy, namawiali, żeby poszedł z nimi na rozbój, ale, on, Robert, ma taki charakter, że nie poprosił o łaskę i wszystkiego się wyparł.

Niestety, Rzepy i Kruka nie było w mieście.

10.

Rabusiów nie można było znaleźć, ponieważ od chaty babci do postoju taxi było tylko dwieście metrów. Zaraz po napadzie wsiedli do taksówki i pojechali do baru na peryferiach. Zjedli suty obiad, zapili dwiema flaszkami wina, a na deser wrąbali skradzione czekolady, żeby zniszczyć lepkie dowody rzeczowe. Następnie poszli do Cyganów, którzy siedzieli na podwórzu czynszowej kamienicy i gadali o polityce wyznaniowej wobec bezrobotnych. Cyganie obejrzeli okazane sobie precjoza i nie kupili ponieważ mieli akurat pod ręką świeży transport z Jugosławii przetopiony w patelnie oksydowane.

Znajoma paserka ps. „Owieczko" też tego nie chciała. Ale kierując się uczuciem pchnęła chłopców do wdowy Balickiej, byłej przewijaczki na emeryturze. Balicka miała oprócz pięciu klas fakultet uniwerku życiowego i potrafiła liczyć. Rozbójnicy za precjoza o wartości 120 tys. zł zażądali od niej 30 tys. Wdowa na to, że weźmie za dwie dychy. Targ targiem i wyszło oczko. Razem z trzema tysiącami z kredensu było więc dwadzieścia cztery do równego podziału.

Rzepa z Krukiem pojechali taxi do Dłutowa. Około osiemnastej spotkali Lolę z Baśką. Ponieważ ubaw zaczynał się o dwudziestej, poszli do gospody. Rzepa zamówił ozorki, bigos, flaczki, wieprzowinę hodowlaną na zlewkach i dwie flaszki czerwonego wina. Rachunek mu zwisał. Po konsumpcji oświadczył:

— A teraz, kurwa, ja się chcę. Lolita bawić z twoim bratem i z babcią.

— Matko święta! Wystąpisz jako narzeczony? — rzuciła zachwycona Lolita.

— A jak! Jedziemy na wiochę!

Ponieważ mieli wracać w pięcioro, więc ruszyli na wieś, jak pany, dwiema taksówkami, każdy kurs pół badyla. Wrócili z tym bratem i Rzepa wybulił pięć stów na bilety. Dziewczyny były wprost wniebowzięte, a chamstwo pełne podziwu. Bo Kruk chciał koniecznie przerobić skrzynkę wina. Zdążyli jednak wypić tylko sześć flaszek i Rzepie zmienił się charakter.

— Lola — załkał — ja cię kocham, a ty robisz mostek z panem od gimnastyki! A z polskiego masz haka, bo ci szpagat nie wyszedł, o — o!

— Ależ kocham cię, Jasiu! Dumna żem i taka wierna, jak suka kapitana Szarika!

Aaa, to masz ode mnie pięć patyków na przechowanie — rzekł Jasio i wepchnął jej forsę pod majtki. — Jak cię kto posunie, to będzie ślad!

Zatańczyli, ktoś nadepnął Rzepie na odcisk i Rzepa się wnerwił.

— Nie podobają mi się te mordy! Ja muszę zmienić plener!

— Tak jest! — poparł go rozochocony Kruk. — Nam trzeba do kultury, bliżej miasta!

No i pojechali dwiema taxi na drugi koniec województwa łódzkiego, do Kurowic. Województwo jak znaczek pocztowy na mapie, ale Kruk uiścił za kurs wielkopański dwa i pół tysiąca. I zaczął się bal na całego. Rzepa wyjął z majtek Loli swój zastaw i stanęła skrzynka bełtu. Wesoło było jak cholera, ponieważ Kruk chciał zrobić striptiz dla członków OSP. Taki numer nie spodobał się kółku różańcowemu i z tego protestu wynikło mordobicie.

A milicja tylko na to czekała, bo ona nie w ciemię bita, jak opowiadają w głupich dowcipach. Otóż funkcjonariusze szybko obskoczyli znanych paserów i trafili na notowaną „Owieczko". Była ona zazdrosna o emerytkę Balicką, toteż z miejsca ją wsypała. Balicka oddała skradzione mienie i opisała handlarzy. Wyglądali tak, jak widziani przez dwóch świadków na boisku szkolnym, czyli jak notowani Kruk z Rzepą.

Milicjanci sprawdzając, gdzie odbywają się strażackie bale, dodzwonili się m.in. do Kurowic i dowiedzieli się przy okazji, że dochodzi tam do ekscesów. Gdy radiowóz na syrenie stanął przed remizą, chłopcy nie mieli już pieniędzy. Kruk tańczył w samych majtkach na stole. Kiedy milicjanci go zdejmowali, z nogawki wysypała mu się talia babcinych kart. Agata je poznała, ponieważ były znaczone. Szachrowała stawiając sobie pasjansa i zawsze wychodził jej wielki majątek oraz wygrana na loterii. A ponieważ jabłko niedaleko pada od jabłoni, w głowie wnuka Marka ten majątek babci rozmnożył się jak króliki w australijskim buszu. Ale tak naprawdę to trochę tego szmalu jednak było, tylko, że pod podłogą w komórce.

Wasyl Kocznow

W dalekiej północnej wiosce

Zatrzymało mnie zdziwienie
Skąd w tej wiosce
polski przydrożny świątek?
nie śmiałem go o to zapytać
Ukląkłem przed nim
tak nisko
jak pozwoliła na to ziemia
i przyjąłem błogosławieństwo
A on odszedł
swym własnym krokiem
jakby unosił się nad ziemią
Ciało miał
lżejsze
niż ptak
Odszedł na południe
gdzie ze zmierzchu
wyłaniało się widmo gór
Może to były Tatry
Patrzyłem jak znikał
podobny do ptaka
w samotnym niebie
I Ziemia odezwała się
do moich uszu i oczu
Czas spieszył
nic się nie zmieniło
I zmieniło się wszystko

Los

Po co ten próg
który stale wznosisz przede mną
A jednak
zasłania mnie
przed czterema stronami świata
kiedy jestem skazany
na pięć aktów dramatu
Wciąż trzymasz wysoko to samo niebo
bez jednej kropli burzy
Wciąż zapalasz tę samą gwiazdę
by obojętnością mnie zranić

Kiedy ciemność zostawisz we mnie
wola twoja się spełni

Przyjaciel

Odszedłeś daleko
piaskiem zasłoniwszy twarz
z której
lata
deszcze i wiatry
zetrzeć nie mogły
negatywu blizn
tamtego ognia
który
rozpostarł kiedyś
nad tobą
swe okrutne gałęzie

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Poetycka Odyseja Tadeusza Gicgiera

Od 1948 roku, a więc od momentu, kiedy w głośnej antologii młodych poetów łódzkich „Różnie idąc" pojawił się 21-letni student Wydziału Humanistycznego — Tadeusz Gicgier, upłynęło wiele czasu. Wystarczająco dużo, aby poeta stał się jedną z najbardziej znanych i popularnych postaci literackich Łodzi i jednocześnie zbyt mało, aby z ową popularnością wyszedł poza jej granice. Któż bowiem z łodzian, interesujących się życiem kulturalnym swojego miasta, nie zna tego dziennikarza, satyryka, czy wreszcie prozaika i liryka w jednej osobie, by nie wspomnieć o innych dziedzinach jego artystycznych zainteresowań? Potwierdza to również obecność Gicgiera, w dyskusyjnej skądinąd, edycji polskiej wersji „Who is Who".

Z drugiej jednak strony poważnie niepokoi fakt absencji poety w licznych antologiach, w których twórczość „łódzkiego barda" nie znalazła po prostu swojej reprezentacji.

Zamiast tego ukoronowaniem prawie czterdziestoletniej drogi artystycznej poety i swego rodzaju rekompensatą stała się pierwsza edycja wyboru jego wierszy, pierwszy płód nowej serii wydawniczej Wydawnictwa Łódzkiego, książka pod wiele znaczącym tytułem „Przypowieść o podróży". Nie bez powodu podkreślam tu rolę tytułu. W świetle refleksji nad twórczością Gicgiera jego zadanie jest niebagatelne, pełni funkcję dodatkowego znaku literackiego, służącego do odczytania i interpretacji zawartych wewnątrz utworów, pozwala dostrzec w szerszym planie nieskomplikowane intencje autora.

Książka Gicgiera jest przeglądem twórczości i życia, penetracją jego poezji w dynamicznym ujęciu, a zarazem zapisem z rzeczywistości i bezsilnych prób przeciwstawiania się przemijaniu, odchodzeniu ludzi i krajobrazów.

W 1957 roku ukazał się pierwszy tomik poezji Gicgiera pt. „Garść ziemi", reprezentowany w wyborze kilkunastoma utworami. Spotkał się z niejednoznacznym przyjęciem krytyki. Recenzenci wytykali jego autorowi m.in. małą poetycką kondycję psychiczną. Rzeczywiście, utwory pochodzące z „Garści ziemi", zbudowane w oparciu o drobne wzruszenia (z wyjątkiem otwierających wybór „Śladów" oraz fragment „Opowieści o zmarłej matce"), dalekie są od stanów twórczego rozdarcia, a prostota i posługiwanie się konkretem do dziś nie zjednują mu krytyki. Jeśli jednak spojrzeć na te wiersze przez pryzmat czasu i pamięci, pełniących często „implicite" rolę bohaterów, można je odczytać inaczej, bez pomówień o banał i porozaizm. Poeta, któremu dzieciństwo zabrała okupacja, a powojenna młodość wśród materialnych i moralnych ruin, przyniosła bagaż uciążliwych doświadczeń, mógł się ich pozbyć albo od nich uciec. Część swoich przemyśleń wyekspilikował („Ślady", „Widzenie"), od większości jednak pragnął się uwolnić, zanurzając się w katarktycznych obrazach przyrody i miłości („Erotyk leśny"), w nostalgii, z bolesną, ale akceptowaną świadomością zmian („Powrót"), czy wreszcie w poczuciu ciągłości istnienia („Garść ziemi").

Lata sześćdziesiąte przyniosły dwa nowe dokonania poetyckie Gicgiera, odgrywające niebagatelną rolę w jego dorobku artystycznym. Mam tu na myśli tomiki: „Wyjmij mnie z czasu" oraz „Zimowy owoc", oba bogato prezentowane na kartach omawianego wyboru.

Książka „Wyjmij mnie z czasu" ukazała się w 1961 roku i jest do dziś świadectwem psychologicznej prawdy, klinicznym opisem stanów alienacji poety, stojącego u progu życiowej cezury:

Więc nic się nie stało, nic nie dokonało,
choć przekroczyłem właśnie półmetka połowę.
(Oczekiwanie)

Natrętna świadomość efemeryczności świata, a w szczególności, jego najsłabszego ogniwa — człowieka, musiała wreszcie przynieść zwrot w wierne pokłady pamięci, niezawodny indeks zapomnianych („Stypa"). Dewaluacja życiowej siły, tkwiącej w umiejętności oczekiwania, sprawiła woltę w świat małych problemów i małych radości („Wróć mi zwyczajny urok życia"). Jednocześnie poeta inaczej zaczyna patrzeć na przyrodę, ukazując jej dynamiczne oblicze („Obłoki", „Żywioły"), a owa apologia ruchu, przemieszczania znajduje wyraz w, pojawiającym się coraz częściej, motywie podróży („Z okna wagonu").

Lekarstwem na stan bezsiły, ponurej inercji, kapryśnej przyjaciółki każdego człowieka, jest niewątpliwie „Zimowy owoc". Zamiast daremnie rewaloryzować nie istniejące krajobrazy, Gicgier kreuje własne, umiejętnie zawierając w nich samego siebie. Niezmienności rzeczy dopatruje się teraz nie w statycznym obrazie świata, ale w nieuchronnym porządku jego cyklicznych zmian. W poczuciu konstruktywnej mocy słowa stara się chronić i utrwalać to, co jego zdaniem jest tego warte. Wiele wierszy buduje, posługując się przewrotnym zestawieniem przeciwieństw („Antytezy"), o wyraźnie barokowej proweniencji. Silnie zepizowana liryka posiada jeszcze dzisiaj świeży ładunek ekspresji („Zimowy owoc").

W 1971 roku ukazała się „Ziemia Białostocka", jeden z wdzięczniejszych w lekturze tomików Tadeusza Gicgiera. Wiersze wybrane z tego zbioru tchną ciepłem i, nieraz bliskim ckliwości, liryzmem, choć poza sentymentalną refleksją nie przynoszą głębokich doznań literackich. Nie wolno jednak zapomnieć, że właśnie ta książka, przemilczana, jakby przez krytykę, zyskał sobie autor olbrzymią sympatię i wdzięczność za, wytykane często, drobne wzruszenia.

Wydana w 1977 roku „Pamięć genetyczna", jest najobszerniej prezentowanym w wyborze tomikiem Gicgiera. Nic dziwnego, ze względów objętościowych książka zajmuje pierwsze miejsce pośród omawianych dotychczas edycji jego poezji. W świetle analizy artystycznej jest natomiast bardzo nierówna. Obok wierszy dobrych pojawiają się często słabsze, z wyraźnymi piętnami publicystyki. Obok chwytów literackich spotykamy zwyczajne maniery. Cały zestaw „Poematów prozą", niewątpliwie ciekawy, jako zjawisko w twórczości Gicgiera, posiada dość skromny ładunek liryzmu.

Nasza wspólna podróż przez poezję Tadeusza Gicgiera, kończy się jednak optymistycznie. Zestaw wierszy nowych „Przypowieść o podróży" przywraca nam ponownie bardzo dobrego przenikliwego poetę. Osadzony silnie w literackiej tradycji, poruszający się swobodnie po neoklasycznych konwencjach, celnie operujący dystychem, strofą czterowersową, tudzież innymi, mocno zrytmizowanymi mutacjami wiersza Gicgier, umiejętnie wykorzystuje zarazem zdobycze awangardy. W przeciwieństwie do wcześniejszych, często nieudanych konstrukcji wolnych i białych, swoimi najnowszymi dokonaniami potwierdza, że predylekcja do tradycyjnych form ma charakter wyboru, a nie znamiona konieczności.

PIOTR ŁUSZCZYKIEWICZ

Tadeusz Gicgier, „Przypowieść o podróży", Wydawnictwo Łódzkie, Łódź, 1984.

Kanonier Dolas powrócił

Powiadali, że film zniszczy literaturę, bo ciągle ekranizuje się jakieś powieści. Ludzie odzwyczają się od czytania książek, bo będą tylko do kina chodzili. Ale film literatury nie zniszczył. Ostrzegali więc, że telewizja zniszczy literaturę. Ale nie zniszczyła. Ludzie telewizję oglądają i po księgarniach biegają, aby dobrą książkę kupić. Tylko, że dobrych książek jakoś mało. Ledwie się pokaże i już ślad po niej nie zostaje żaden. Chyba, że ktoś się na targ wybierze i po spekulacyjnej cenie kupi. Tak więc ani film, ani telewizja literaturze nie zaszkodziły. Przeciwnie — pomogły. Poza tym i film i telewizja literaturą nieustannie się żywią.

Tak sobie rozmyślałem, gdy brałem do ręki książkę Kazimierza Sławińskiego „Przygody kanoniera Dolasa" wydaną niedawno przez Wydawnictwo Łódzkie. To właśnie na motywach tej książki Zbigniew Chmielewski nakręcił przezabawny film pt. „Jak rozpętałem drugą wojnę światową". Brałem do ręki tę książkę i myślałem, czy po filmie — który mi się bardzo podobał — spodoba mi się i książka? Uczucia miałem mieszane, ale przemogłem się i zacząłem czytać. I nie żałuję.

Przy lekturze książki Kazimierza Sławińskiego zrozumiałem, co to znaczy „na motywach". Bo film i książka stanowią zupełnie odrębne dzieła, które mają coś wspólnego, ale to „coś" jest dość mgliste i trudne do określenia.

Niby wspólny jest bohater. Owszem — kanonier Dolas. Tylko w filmie jest to cwaniak z urodzenia i charakteru, a w książce jest to doktor historii sztuki, w okularach w złotej oprawce, który jest obojętny na wszystko, co się wokół niego dzieje. Poddaje się biernie losowi i jakoś wychodzi obronną ręką z najcięższych opresji. Kanonier Adolf Dolas, rodem z Katowic, ma przecież swego prototypa.

„Otrzymałem przydział do 18 baterii — wspomina czasy przedwojenne Kazimierz Sławiński. — Wśród starszych rekrutów znajdował się doktor historii sztuki, wysoki, lekko garbiący się, wiecznie gubiący okulary w złotej oprawce. Zwracał na siebie uwagę absolutną obojętnością wobec wszystkiego, co go otaczało".

Nazywał się Adolf Dolas i on też stał się prototypem kanoniera Adolfa Dolasa, który pół świata zjeździł za sprawą innego Adolfa. Była więc wojna we wrześniu 1939 roku, obóz jeniecki w Niemczech, Jugosławia, torpeda na Morzu Śródziemnym, służba w Legii Cudzoziemskiej, zdobycie polowego burdelu armii włoskiej, służba w charakterze pielęgniarza na włoskim statku szpitalnym, skok ze spadochronem — ale w Niemczech, a nie w Polsce — był front wschodni i partyzantka w Polsce. Ten „szlak bojowy" kanoniera Dolasa jest podobny w książce i filmie. Bohater — nie! Dolas z książki i Dolas z filmu są to dwaj różni ludzie.

Zbigniew Chmielewski wziął sytuacje z książki, miejsca akcji, pomysły i stworzył z tego zupełnie nowe dzieło. Nie jest to więc ekranizacja powieści Kazimierza Sławińskiego. I bardzo dobrze. Można zatem spokojnie sięgnąć po tę książkę, bez obawy, że będzie to lektura wtórna, przypominająca tylko film. Nic podobnego. Czyta się dziś (drugie wydanie) „Przygody kanoniera Dolasa", jako coś zupełnego innego, bez natrętnych odniesień do filmu. Zresztą filmu już dawno nie ma na ekranach, a i od jego telewizyjnej projekcji też sporo czasu minęło.

Powieść Kazmierza Sławińskiego ma charakter satyryczny, stąd dopuszczalne są wszelkie przerysowania. Ale i one mają swoje granice. W jednym wypadku autor je nieco przekracza. Doktor historii, kanonier Adolf Dolas zostaje w pułku zapisany przez przygłupiego pisarczyka jako „robotnik rolny". Zostaje ordynansem pułkownika. Biorą go tam za analfabetę i córka pułkownika uczy go czytać i pisać. Jest to zabawne. Wreszcie pułkownik przyłapuje go na czytaniu książki po francusku i wszystko się wydaje. Miało to być śmieszne, ale nie jest. Spróbowałem wyobrazić sobie pułkownikowego pucybuta, niepiśmiennego fornala w... okularach w złotej oprawce. I jakość nie mogę... Nawet najgłupszy przedwojenny pułkownik musiałby dojść do wniosku, że coś tutaj nie pasuje. Ale to w końcu drobiazg. Książka jest znakomita i wszystkim miłośnikom filmu Zbigniewa Chmielewskiego polecam ją z całym spokojem, że się nie zawiodą. Przyjemnej lektury!

ZENON POROWATY

Z półki recenzenta

POLEM — LASEM

To już trzecie wydanie znanej i czytanej powieści — relacji z walk Batalionów Chłopskich w lasach kieleckich. Autor — dowódca oddziału partyzanckiego BCh — LSB noszący pseudonim „Szczytniak" — w swojej książce nie tylko przedstawia dzieje oddziałów BCh i walk stoczonych z okupantem, ale opowiada o dramatycznych losach partyzantki w Kieleckiem, o ofierze z krwi i życia.

Książka została bogato zilustrowana archiwalnymi fotografiami.

Mirosław Młudzik „Szczytniak": Polem — lasem. LSW. 1984. Str. 488. Cena 260 zł.

RELIGIA I JA

Trzej autorzy — o nazwiskach znanych w świecie: Tadeusz Kotarbiński, Leopold Infeld i Bertrand Russell — mówią o religii, jej wpływie na rozwój społeczeństw, a także o swoim stosunku do niej. Wszyscy trzej wychowani w rodzinach religijnych, dość szybko odeszli od wiary, oddając pierwszeństwo rozumowi. Bertrand Russell tak to określił:

„Dobrze urządzony świat potrzebuje wiedzy, dobroci i odwagi. Nie potrzeba mu żalów i westchnień za przeszłością ani zakuwania w kajdany swobodnej inteligencji za pomocą słów wyrzeczonych niegdyś przez ignorantów."

T. Kotarbiński, L. Infeld, B. Russell: Religia i ja. KiW 1984. Str. 78. Cena 35 zł.

MODERNISTA ZE SŁOWACJI

Jan Hrusovsky jest uważany w Słowacji za klasyka modernizmu. Sp. Wyd. „Czytelnik" zaprezentowała nam właśnie wybór opowiadań tego autora w książce noszącej tytuł „Sprawa podporucznika Seeborna".

Dziewięć opowiadań, to przede wszystkim dzieje losów człowieczych zarówno w czasie I wojny światowej jak i później, już podczas powojennej stabilizacji. Łączy te opowiadania jedno: tragizm życia ludzkiego i niespodziewane a nagłe jego zakończenie.

Przekład Cecylii Dmochowskiej.

Jan Hrusovsky: Sprawa podporucznika Seeborna. Czyt. 1984. Str. 224. Cena 100 zł.

WSPOMNIENIA WITTLINA

Ta książka już narobiła sporo szumu. A to z uwagi na sposób w jaki Wittlin potraktował ludzi o znanych nazwiskach. Tych nazwisk w książce jest sporo i Wittlin poprzypinał im pokaźne łatki.

Jerzego Wittlina znamy z serii vademeców, książek może i zabawnych, ale w sumie o locie niezbyt wysokim. „Pójdź ze mną", jest dziennikiem z lat 1980—1981, ale dziennikiem swoistym, raczej gawędziarską opowieścią o tym, kto jest kto w Warszawie, choć zawiera próby oceny wydarzeń posierpniowych roku 1980.

Jerzy Wittlin: Pójdź ze mną. Wyd. Lit. 1985. Str. 412. Cena 210 zł.

PODRÓŻE DO PIEKIEŁ

Najkrócej można by powiedzieć o tej książce, że jest to opowieść o szamanach zamieszkujących syberyjską tajgę, azjatyckie stepy, amerykańską północ i podzwrotnikową dżunglę.

Należy wszakże powiedzieć, że zawarte na kartach tej książki najrozmaitsze szamańskie zaklinania, rytuały, tańce i modlitwy są autentyczne. Nie ma tu nic z sensacji, mimo to opisy wędrówek szamańskich do krainy umarłych, czy zbiorowe halucynacje Indian Kolumbijskich wywierają na czytającym mocne wrażenie.

Jerzy Sławomir Wasilewski: Podróże do piekieł. LSW 1985. Str. 238. Cena 180 zł.

U NAS NA STARÓWCE

Warszawa zawsze będzie stanowić temat dla pisarzy, a tym bardziej Warszawa z lat 1939—1944. Zbigniew Wróblewski nie po raz pierwszy sięga do wątku powstania warszawskiego. W swojej najnowszej książce „U nas na Starówce" na przykładzie dwóch rodów opowiada o tragicznych i bohaterskich dziejach Starego Miasta, które to dzieje miały niebawem zakończyć się totalną zagładą. Akcja powieści zostaje przerwana tuż przed godziną „W". Co było powodem — wiemy z najnowszej historii naszej stolicy.

Zbigniew Wróblewski: U nas na Starówce. MON 1984. Str. 352. Cena 150 zł.

E. IW.

Wilczarnia

Uwagi o psychologicznej prozie Anny Bojarskiej rozpocznę od przypomnienia słów, jakie zanotował w „Doli człowieczej" André Malraux: „Ale ja, czym jestem ja dla siebie... Jakąś afirmacją absolutną, afirmacją obłąkańczą: intensywnością większą niż wszystko poza tym". Właśnie intensywność osobowości ludzkiej staje się przewodnim motywem wielowątkowej powieści pod tytułem „Ja". Autorka posłużyła się pomysłem tyleż prostym co ryzykownym: opisała mieszkanie, które utożsamiła z osobą. Wszyscy lokatorzy mieszkania stanowią niejako cząstki tej samej osoby. Ich losy układają się w los wspólny — charakterystyczny dla statusu Europejczyka drugiej połowy lat siedemdziesiątych. Symboliczne to mieszkanie, więc i lokatorzy urastają do rangi symbolu. W przeludnionym locum toczy się dziwna walka, lokatorzy uosobiający różne cechy i dążności człowieka wiodą zacięty pojedynek o prymat. Każda z tych osób żyje własnym rytmem, odznacza się bogatym i kontrowersyjnym życiem wewnętrznym, nie może więc być mowy — jak można by początkowo przypuszczać — o uproszczonej ilustracji jakiegoś oderwanego pojęcia z zakresu psychologii. W ten sposób udało się autorce uniknąć schematyzmu, niebezpiecznie tkwiącego w pomyśle organizującym powieściowe tworzywo. Każda z postaci zaludniających utwór Anny Bojarskiej jest skomplikowana i wypełniona kompleksami, nic zatem dziwnego, że wspólne mieszkanie niejednokrotnie kojarzyć się musi z domem wariatów (skojarzenie to ułatwia zresztą brak klamek we wnętrzu jednego z pomieszczeń).

Kim są mieszkańcy współczesnej masowej wyobraźni? Oto cierpiący na przerost ambicji oraz na manię samobójczą pisarz Maks Keller. Obok niego liberalizujący dziennikarz Knut Seifert, uwikłany zwykle w dwuznaczne raczej przedsięwzięcia. Następnie pokonujący skutecznie i bezwzględnie kolejne szczeble kariery młody zdolny polityk Sebastian Faber. Jest protestancki pastor Burdock, jedyny, który w tym gronie posiada sumienie. Są także kobiety: Gudrun Ensslin — terrorystka, nienasycona erotycznie piosenkarka Janis Joplin, reprezentująca czysty biologizm Christina, bezskutecznie polująca na męża Adela, zgwałcona dwunastolatka Edyta oraz intelektualna prostytutka — Kurwy z Mensy. Wreszcie tuzin lokatorów przelotnych choć nieprzypadkowych.

Ich poglądy, dysputy, zamiary, dążenia ilustrują przede wszystkim tezę o sprzeczności natury człowieczej. Harmider panuje tu nie mniejszy niż w słynnym mieszkaniu numer pięćdziesiąt przy ulicy Sadowej. Tyle tylko, że nie dostrzegamy działania mocy nadprzyrodzonych. Maestro Woland ze swoją świtą poczułby się tu z pewnością zbyteczny, podobnie jak beznosy morderca Gestasa czy okrutny piąty procurator Judei, eques Romanus, Ponciusz Piłat. Na niepokoje, konwulsje i ekstazy współczesnego świata taka miara okazałaby się niewystarczająca.

Wspólne mieszkanie zamieszkują istoty do tego stopnia odmienne i zróżnicowane, że bez przerwy okazują sobie wrogość. Tak objawia się bogactwo natury ludzkiej — jak chcą jedni, tak objawia się jej niedoskonałość —jak utrzymują inni. Stanowisko Bojarskiej zda się wypośrodkowane. Do obu powyższych elementów dodaje ona kolejny, przypominający po trosze wymowę „Jądra ciemności" Josepha Conrada: oto świat jest pułapką, do której ludzkość dostała się przez przypadek wprawdzie, lecz nigdy już nie zdoła się z niej wyzwolić. Wszelkie próby muszą skończyć się niepowodzeniem, trudno bowiem znaleźć istotę równie zadziwiającą jak człowiek: przebiegłą, zakłamaną, zachłanną, nienasyconą i sterującą ku samozagładzie. Ta ostatnia przejawia się zwłaszcza w nieskuteczności sztuki polityki jako działań zmierzających do eliminacji konfliktów i zagrożeń, bez względu zresztą na skalę. Idealnym wręcz wyrazem samounicestwiających skłonności ludzkich okazuje się terroryzm — bękart polityki. Stąd całe fragmenty powieści Anny Bojarskiej inspirowane są dziejami najsłynniejszego bodaj ugrupowania terrorystycznego ostatnich lat — Rote Armee Fraktion, aż po zagadkową śmierć liderów RAF w więzieniu w Stammheim. Stykamy się z nieskrywaną fascynacją osobowością Ulrike Meinhof. Przede wszystkim zaś z wyeksponowaniem problematyki moralnej: czy terrorystów, działających w imię najszczytniejszych nawet zasad, uznać można za sumienie świata? Czy gwałt i okrucieństwo to dominujące cechy współczesności?

Bohaterowie tej powieści to ludzie owładnięci szaleństwem, zżerani przez przemożną potrzebę dominacji nad innymi. Jak u Bernanosa: „Pycha, zazdrość, gniew, nawet rozpusta, siedem grzechów głównych tworzyło chór, wyjąc z bólu. Powiedziałbyś, stado wilków polarnych nafta i płonących". Każdy tu płonie, jak nie z nienawiści, to ze strachu. Znane powiedzenie: piekło to inni, nie znajduje w powieści Anny Bojarskiej zastosowania. Piekło to JA.

Istotnym problemem staje się tu dylemat: czy rzeczywistość należy traktować serio czy też z przymrużeniem oka? Wybór nie należy do łatwych, choć zdaje się nie posiadać praktycznego znaczenia, skoro obie postawy wiodą wprost ku absurdowi. Rzeczywistość przedstawiona wcześniej czy później ujawnia swe absurdalne, pełne sprzeczności i zaskakujących niespodzianek, oblicze. Nie ma w niej nic trwałego. Trwa ustawiczna żonglerka pojęć, poglądów i wartości. Mieszkańcy wspólnoty czują się coraz bardziej zagubieni i obcy. Wreszcie dociera do nich „czym jest świat. Społeczeństwo. Jakie prawa tym rządzą. Karanie niewinnych. Karanie skrzywdzonych za doznaną krzywdę. Sprawa bezbronności społecznej, która jest tym samym, co niesprawiedliwość społeczna". Z gorzkiej tej wiedzy nie wypływają jednak konkretne obronne przedsięwzięcia. Zbyt głęboko zakorzeniły się podziały aby można było uchronić wspólnotę mieszkańców. Jej faktyczny rozpad już się dokonał. Na placu boju pozostał jedynie pastor Burdock — samotny wyrzut sumienia.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Anna Bojarska: „Ja", Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984, s. 419, nakład 10.000 plus 283 egz., cena zł 190.

Eurythmics: rock „szalonych naukowców"

Czy skacząca po stole ryba może mieć coś wspólnego z muzyką? Okazuje się, że może. Podobnie jak dzwonek, pękająca butelka, pędzący pociąg, a więc wszystko to, co wydaje jakikolwiek dźwięk, który można nagrać, a następnie, wykorzystując zdobycze elektroniki, dowolnie przetworzyć. „Gdyby ktoś zobaczył nas w studiu — mówi Dave Stewart — mógłby pomyśleć, że jesteśmy szalonymi naukowcami. Jednak efektem naszej pracy są muzyczne przeboje".

Duet Eurythmics tworzą Annie Lennox i Dave Stewart. Z muzyką rockową zetknęli się podczas występów w brytyjskiej grupie The Tourists, która wykonywała utwory zbliżone klimatem do nagrań The Birds, The Who i innych zespołów popularnych w latach sześćdziesiątych. Wychowali się jednak na klasyce. Annie Lennox, córka pracownika stoczni w Aberdeen (Szkocja), muzyczną edukację rozpoczęła w wieku 7 lat od nauki gry na flecie. W szkole średniej uczęszczała na lekcje śpiewu, a wiedzę z zakresu teorii muzyki zdobyła podczas studiów w Royal Academy of Music. Po pewnym czasie doszła jednak do wniosku, że nie chce zarabiać na życie grą w orkiestrze symfonicznej. Oczarowana wykonawcami związanymi z amerykańską firmą płytową Motown Record Corp., porzuciła flet i postanowiła zostać piosenkarką. Pracowała przez pewien czas w księgarni, a następnie w restauracji jako kelnerka. Tu poznała muzyka z Sunderland (Anglia), który pewnego dnia przyszedł na obiad. Dave Stewart też nie od razu zainteresował się rockiem. Po krótkiej przygodzie z muzyką ludową i bluesem, podjął pracę w orkiestrze kameralnej, w której grał na lutni. W grupie The Tourists Lennox i Stewart również nie mogli w pełni zrealizować swoich muzycznych planów. Dlatego też, gdy w 1980 roku, po dwóch latach działalności, zespół rozwiązał się, odetchnęli z ulgą.

W RFN nagrali kilka utworów w konwencji muzyki „hard rock", wykorzystując brzmienie syntezatorów. „Chcieliśmy połączyć nasze ulubione style z różnych epok — powiedział Dave Stewart-Motown, muzykę klasyczną, ludowe pieśni z Afryki, niemieckie elektroniczne disco". Pierwsza płyta nie zachwyciła jednak słuchaczy. Co ważniejsze, sprzedaż nie przyniosła spodziewanych zysków. Eurythmics zamknęli się wówczas w domowym studiu, gdzie, posługując się amatorskim magnetofonem z 8 kanałami zapisu, zarejestrowali kilkanaście nowych piosenek. Nie mieli pieniędzy na zakup kosztownego sprzętu, a więc musieli ograniczyć tym razem eksperymenty z dźwiękiem. Starali się jednak, przy pomocy dostępnych środków, wzbogacić brzmienie. Tak powstał drugi album zatytułowany „Sweet Dreams Are Made Of This". Jak podaje dziennik International Herald Tribune koszt produkcji nie przekroczył 6.000 dolarów. Dla porównania, na nagranie utworu „Relax", wykonywanego przez grupę Frankie Goes To Hollywood, producent Trevor Horn wydał 33.000 dolarów. I wreszcie udało się. Longplay oraz wydane po nim single (m.in. z piosenką „Love Is a Stranger" znaną z telewizyjnej Wideoteki) stały się światowymi przebojami. Recenzent pisma „Rolling Stone" napisał: „Eurythmics stosują elektronikę z polotem i werwą. Podczas gdy współczesne syntezatorowe boogie rzadko wybiega poza ramy tanecznego Muzaka, „Sweet Dreams" jest prawdziwą przygodą".

Już w szkole średniej zauważono, że jest utalentowaną wokalistką. Dziś jej ciepły, jednocześnie pełen ekspresji, głos zachwyca miliony melomanów. Ma 30 lat, krótko ostrzyżone włosy, nosi zazwyczaj męskie marynarki i spodnie. Na scenie jej twarz pokrywa barwny makijaż lub maska. Czasami przybiera postać punka, czasami do złudzenia przypomina Elvisa Presleya. Mimo tej maskarady, pozostaje zawsze fascynującą, niepowtarzalną Annie Lennox.

Dave Stewart, który jest dwa lata starszy od swojej partnerki, komponuje i zajmuje się oprawą instrumentalną nagrań duetu. „Gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się — mówi Lennox — miałam ochotę tworzyć, śpiewać i produkować płyty, ale nie wiedziałam jak się do tego zabrać. Dave mnie wszystkiego nauczył". Jego ulubionym miejscem pracy jest studio, w którym powstają przeboje Eurythmics. Tu, wykorzystując możliwości, jakie stwarza syntezator, mikser i wielośladowy magnetofon, przelewa na taśmę swoje muzyczne wizje. Nagrywa przeróżne dziwne dźwięki, aby uzupełnić nimi brzmienie instrumentów. Stara się tak dobrać „komponenty", żeby efekt był intrygujący i jednocześnie przyjemny dla ucha.

Międzynarodową sławę duetu ugruntował, wydany w listopadzie 1983 roku, album „Touch". Dużym powodzeniem cieszyły się też single z piosenkami „Who's That Girl" i „Here Comes The Rain Again", dzięki którym Lennox dostała się do grona najpopularniejszych wokalistek muzyki pop. Eurythmics odnoszą też sukcesy za Oceanem, podobnie jak Culture Club, Duran Duran i inne młode zespoły z Wielkiej Brytanii. W lipcu 1983 roku aż 18 singli grup brytyjskich znalazło się wśród najlepiej sprzedawanych płyt w USA. Podobną sytuację zanotowano 19 lipca 1965 roku, kiedy to na amerykańskiej liście „Top 40" znalazły się m.in. piosenki „Ticket To Ride" (The Beatles), „For Your Love" (The Yardbirds), „Satisfaction" (The Rolling Stones) oraz „Catch the Wind" (Donovan). I tak jak wówczas muzycznej „inwazji" przewodzili The Beatles, w 1983 roku Amerykę zachwycił zwłaszcza duet Eurythmics. Ostatnio inni wykonawcy z Wielkiej Brytanii odnoszą sukcesy w USA, jednak pozycja Annie Lennox i Dave'a Stewarta na tamtejszym rynku jest nadal mocna.

Większość nagrań Eurythmics powstaje w ich londyńskim studiu, które mieści się w starym kościele. Są tam urządzenia video, komputery, magnetofony. Stewart porównuje je do słynnej „fabryki" Andy'ego Warhola. Zimowe miesiące muzycy spędzili jednak w Paryżu, gdzie pracowali nad nowymi piosenkami. Podobno chcieli uciec od brytyjskich list przebojów i odetchnąć innym powietrzem. Może wkrótce doczekamy się kolejnego longplaya. Tymczasem w dalszym ciągu popularne są utwory z wydanej w ubiegłym roku płyty „1984" nagranej z myślą o filmie fabularnym pod tym samym tytułem. Warto dodać, że obraz „1984" był ostatnim, w którym w jednej z głównych ról wystąpił Richard Burton. Producent zaproponował grupie Eurythmics nagranie materiału muzycznego na ścieżkę dźwiękową, gdyż koszty filmu okazały się wyższe niż przewidywano, a zysk ze sprzedaży longplaya firmowanego przez popularny brytyjski duet mógłby częściowo pokryć dodatkowe wydatki. Film zyskał uznanie krytyków i publiczności, a Lennox i Stewart wpisali na listę swoich osiągnięć kolejny udany krążek.

Zdaniem tych, którzy widzieli koncert Eurythmics, prawdziwy popis swoich możliwości duet daje na estradzie. Korzysta wówczas z pomocy innych muzyków, a Stewart rezygnuje z gry na syntezatorach na rzecz gitary. Postacią pierwszoplanową jest oczywiście Annie Lennox, urzekająca widzów wspaniałym głosem i umiejętnościami aktorskimi.

Kilka miesięcy temu rozeszła się wiadomość, że Eurythmics mają wystąpić w Polsce. Od tego czasu widocznie ich plany uległy zmianie. Wielbicielom talentu Brytyjczyków muszą na razie wystarczyć płyty i video clipsy. Nie należy jednak tracić nadziei. Był już Elton John, była słynna grupa Nazareth. Możliwe, że wśród kolejnych naszych gości znajdzie się również duet Eurythmics.

GRZEGORZ WALENDA

Annie Lennox

Kronika kulturalna

ŁÓDŹ godnie uczciła **100 rocznicę urodzin Stanisława I. Witkiewicza.** Staraniem Towarzystwa Kultury Teatralnej, oddziału łódzkiego ZLP i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Ludwika Waryńskiego odbyła się sesja popularnonaukowa poświęcona pisarzowi. Wygłoszone zostały dwa referaty. **Dr Lech Sokół** z Instytutu Sztuki PAN w Warszawie mówił o aktualności sztuki Witkacego, zaś **doc. dr hab. Janusz Degler** z Uniwersytetu Wrocławskiego o inscenizacjach utworów dramatycznych Witkacego. Program uzupełniła prelekcja filmu **„Hamadrja"** realizowanego w WFO przez reżysera **Jacka Schmidta.** Sesja cieszyła się tak dużym powodzeniem u publiczności, że sala biblioteki okazała się zbyt mała by pomieścić chętnych. W tej sytuacji organizatorzy myślą o powtórzeniu imprezy.

24 i 25 MARCA Akademia Muzyczna w Łodzi obchodziła 40-lecie istnienia uczelni. Z tej okazji odbyły się dwa koncerty. W sali Państwowej Filharmonii galowy koncert muzyki polskiej w wykonaniu orkiestry symfonicznej Akademii Muzycznej w Łodzi. Dyrygował **Zdzisław Szostak,** jako solista wystąpił **Tomasz Bartosiak** (skrzypce). W auli Akademii Muzycznej w Łodzi koncert kameralny. Wystąpili: **Maria Szczucka** — sopran, **Tomasz Bartosiak, Monika Urbaniak** — skrzypce, **Jolanta Bartosiak** — altówka, **Piotr Sobczak** — wiolonczela i **Piotr Markowicz** — fortepian.

1 KWIETNIA w gmachu Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi otwarta została Ogólnopolska Wystawa Wyrobów Rzemiosła Artystycznego.

W BIURZE Wystaw Artystycznych od 3 kwietnia czynna jest wystawa fotografii **Mieczysława Hilarego Cieślaka** pt. „Barwy morza".

15 KWIETNIA w DK „Rondo" w Galerii „Sztuka" otwarto wystawę malarstwa **Zdzisława Łyczkowskiego.** Wystawa czynna będzie do końca miesiąca.

HARCERSKI Dom Kultury i Techniki (ul. Wrześnieńska 64) organizuje 20 kwietnia o godz. 18.00 **Festiwal Piosenki Różnej BUCE '85.** Impreza ma charakter otwarty i wszyscy chętni mogą się do niej zgłaszać tuż przed jej rozpoczęciem.

DZIELNICOWY Dom Kultury Łódź-Bałuty organizuje od 17 do 21 kwietnia Przegląd Filmów Szwedzkich. W ciągu pięciu dni wyświetlonych zostanie dziesięć filmów. Projekcje odbywać się będą w sali widowiskowej FTiAT „Elta".

W TELEWIZYJNYM Festiwalu Widowisk Lalkowych, który odbył się niedawno w I programie Telewizji Polskiej, **PTL „Arlekin"** zdobył szereg nagród za przedstawienie **„Kota w butach"** w adaptacji **H. Januszewskiej.** Spektakl ten uzyskał wspólnie z warszawskim Teatrem Lalki i Aktora „Baj" — **I nagrodę.** Wysokie nagrody przypadły reżyserowi widowiska **Wojciechowi Wieczorkiewiczowi,** autorce scenografii **Leokadii Serafinowicz** i kompozytorowi **Maciejowi Małeckiemu.** Nagrody aktorskie zdobyli: **Zdzisław Wilczek** i **Mieczysław Gryglas.**

AKTORZY PTL „Arlekin" **Joanna Stasiewicz, Małgorzata i Waldemar Wolańscy** wzięli udział w VI Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu, zorganizowanej przez Wrocławski Ośrodek Kultury, wrocławski Związek Polskich Autorów i Kompozytorów ZAKR, pod patronatem Ministerstwa Kultury i Sztuki. Aktorzy ci w przeglądzie uzyskali — **I nagrodę.**

ZESPÓŁ teatru „Arlekin" został zaproszony w marcu do udziału w **XI Opolskich Konfrontacjach Teatralnych** — „Klasyka polska", gdzie obok teatrów dramatycznych przedstawił w cyklu imprez towarzyszących spektakl **W. Bogusławskiego „Lodoiska"** w reż. **Wojciecha Wieczorkiewicza,** sc. **Leokadii Serafinowicz** z muzyką **Józefa Rychlika.**

NA zaproszenie Wydziału Kultury Urzędu Miasta Łodzi, w dniach od 24 do 28 kwietnia w Dużej Sali Teatru Nowego odbędą się gościnne występy Teatru Narodowego z Warszawy, który rozpocznie swe prezentacje premiera sztuki **Pedra Calderona de la Barca** pt. **„Życie jest snem",** w reżyserii **Krystyny Skuszanki,** ze scenografią **Krystyny Kępińskiej,** z muzyką **Adama Wałacińskiego.** Ponadto Teatr Narodowy zaprezentuje łódzkiej publiczności głośne przedstawienie **„Lilli Wenedy" Juliusza Słowackiego,** w reżyserii **Krystyny Skuszanki,** ze scenografią **Władysława Wigury.** W spektaklach łódzcy widzowie będą mieli okazję obejrzeć tak znakomitych aktorów jak m.in. **Ewę Krasnodębską, Wieńczysława Glińskiego, Pawła Galię, Jerzego Turka, Józefa Nalberczaka, Witolda Pyrkosza** oraz **Józefa Skwarka.**

EWA PANKIEWICZ

Przed debiutem

Gdy na jednym z niedawnych, a tak ostatnio licznych spotkań przedstawicieli środowiska kultury zebrani studiować zaczęli pełną listę organizowanych w Łodzi imprez o ogólnopolskim i międzynarodowym charakterze, okazało się, iż każdego z uczestników tego spotkania znaczna część owych konkursów, prezentacji, przeglądów i festiwali zaskakuje już samym faktem swego istnienia, że plastycy nie słyszeli o niemałej ilości imprez muzycznych, muzycy — o niektórych z licznych w Łodzi festiwali filmowych, literaci — o kilku ważnych imprezach plastycznych. Opuszczaliśmy jednak to zebranie zarówno z głowami bolącymi od przybytku, jak i z drugiej strony — w powszechnym przekonaniu, iż mamy w naszym mieście również i takie imprezy, które skupionym na nich zainteresowaniem, zainteresowaniem rzeczywiście szerokim i żywym, satysfakcjonować mogą swoją u nas obecnością wszystkich łodzian. Ta grupa imprez powodów do szczególnego zadowolenia dostarczyć może tym, którzy nie bez racji podnoszą znaczący dla oblicza kulturalnego wielkiej aglomeracji problem braku tradycji. Oto bowiem na naszych oczach od kilku ostatnich lat, może rzeczywiście po raz pierwszy w całym czterdziestoleciu rodzą się tadycje... Jest wśród nich właśnie zarysowująca się tradycja Łodzi — stolicy młodego teatru, a raczej — by rzecz uściślić — Łodzi — stolicy najmłodszego aktorstwa; najmłodszego — bo znajdującego się na tym jedynym, niepowtarzalnym etapie, jakim jest próg dzielący adepta tej sztuki od profesjonalizmu; próg, którego przekroczenie otwiera „drogę przez labirynt zwany teatrem".

Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych wpisał się w pejzaż łódzkiej kultury z impetem właściwym młodości zdobywając w nim miejsce dla siebie tzw. wstępnym bojem i przydał życiu artystycznemu miasta tak niezbędnych i tak upragnionych kolorów. Prezentacja spektakli dyplomowych spełnia — powiedzmy to od razu — nie tylko te wszystkie cele, które przyświecały twórcom pomysłu dorocznych przeglądów, lecz także w znaczący sposób wzbogaca teatralną ofertę Łodzi, dając jej mieszkańcom wyjątkową zgoła okazję obejrzenia co roku kilku nowych spektakli, których żywot, z racji ich charakteru, jest tak niezwykle krótki, iż słowo „okazja" jest bez wątpienia najwłaściwsze.

Społeczne znaczenie teatru, znaczenie, którego ogrom wynika z faktu, iż tylko w teatrze nawiązuje się ta jedyna w swoim rodzaju nić osobistego, intymnego wręcz kontaktu, twórcy z odbiorcą będącym adresatem jego myśli i sugestii; świadomość roli, jaką w ważnym społecznie procesie kształtowania politycznego i moralnego oblicza narodu ma do spełnienia teatr; artystyczna, ideowa, edukacyjna i wychowawcza funkcja Melpomeny — wszystko to sprawia, iż nie jest nam obojętny problem przygotowania do zawodu aktora tych młodych ludzi, którzy zawód ten wybrali, którzy dziś jeszcze kształcą się w szkołach teatralnych, zaś jutro za ich sprawą kształtować się będzie nasza wrażliwość na piękno, a przede wszystkim szeroko rozumiana postawa wobec szeregu faktów i zjawisk artystycznych, społecznych i politycznych. Konfrontacja spektakli wieńczących skomplikowany proces dydaktyczny stała się już w pierwszej edycji przeglądu konkursem młodych aktorów. I tylko ich praca w tych spektaklach podlega ocenie „wysokiego jury". Dziś oczywisty jest już jednak także i ten fakt, że przegląd ten stał się również konfrontacją metod kształcenia, zdobyczy artystycznych, propozycji repertuarowych i inscenizatorskich. Bardzo wyraźnie ujawniają się w nim także formuły, w jakich widzą dyplomowe przedstawienia kierownictwa i kadry pedagogiczne poszczególnych szkół teatralnych.

Ta ostatnia kwestia ma zresztą wiele aspektów i przez swą złożoność wiąże się ze wszystkimi płaszczyznami wspomnianych, czy też raczej skonstatowanych tutaj rodzajów konfrontacji.

Z całą pewnością żaden ze sposobów traktowania czy też „widzenia" dyplomowych spektakli aktorskich nie jest „tym jedynym" i zakończony przed kilkoma dniami III Ogólnopolski Przegląd Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych po raz trzeci utwierdził nas w przekonaniu, że sposobów tych jest wiele. Piszącej te słowa najlepszym wydaje się taki, w którym celem reżysera — przyświecającym mu zarówno w momencie podejmowania decyzji repertuarowej, jak i w całym procesie pracy nad przedstawieniem — jest pokazanie aktorskiego narybku w takim dziele i takiej jego inscenizacji, które pozwolą młodzieży zaprezentować widzom cały zespół nabytych właśnie umiejętności. Nie wydaje mi się natomiast słuszne przygotowywanie takich przedstawień, które mimo dobrych chęci i najszczerszego zapału uzdolnionych przecież młodych ludzi, ujawnia tylko, jakich umiejętności nie posiedli oni jeszcze z tej prostej przyczyny, że dać je może jedynie związek wieku i doświadczenia, związek, który dopiero za kilka lub kilkanaście lat zaowocuje pełnią ludzkiej i zawodowej dojrzałości. Bardziej cenne wydaje mi się też w przypadku przedstawień dyplomowych adeptów sztuki aktorskiej pokazanie, jak radzą sobie z podstawowymi zadaniami aktorskimi i ułatwienie im prezentacji stopnia opanowania techniki aktorskiej w jej najbardziej oczywistych podstawach niż eksperymentatorskie kreowanie skomplikowanych intelektualnie i formalnie nowych modeli teatru, niż traktowanie przez choćby i największych reżyserów pracy ze studentami jako nadarzającej się okazji do wyartykułowania kolejnej własnej wypowiedzi twórczej.

Podstawowym problemem warsztatowym będącym — jak się zdaje — zagadnieniem w równym stopniu inscenizatorsko-reżyserskim, jak i aktorskim; kwestią, która dodatkowo w oczywisty sposób wpłynęła na charakter tegorocznego przeglądu tak, iż z imprezy w dwu poprzednich edycjach otwartej praktycznie dla wszystkich widzów, stał się on imprezą o niemal elitarnym, wąskośrodowiskowym charakterze; taką właśnie, głównie przecież warsztatową kwestią okazał się problem dosłownie rozumianych rozmiarów spektakli. Wszystkie uczestniczące w przeglądzie szkoły teatralne prosiły organizatorów o małe kameralne sale. Tylko na tak zwany pierwszy rzut oka wydaje się to zrozumiałe, jako, że żadna — prócz łódzkiej — ze szkół kształcących aktorów nie posiada własnej „normalnej" sceny teatralnej, a i łódzka uczelnia, choć uprzywilejowana prawem przygotowywania i eksploatacji swych spektakli w „normalnym" Teatrze Studyjnym, którego jest współgospodarzem — również narzekać może na parametry techniczne swojej sceny-laboratorium. Głębsze spojrzenie na ten problem każe niepokoić się faktem, iż sądząc z kształtu prezentowanych inscenizacji nasze szkoły teatralne kształcą, jak się zdaje, głównie aktorów filmowo-telewizyjnych. Owe „małe", „kameralne" inscenizacje sprawiają, iż na ogół, ale nie bez chwalebnych wyjątków podziwiać możemy jedynie dyskretną oszczędność gestu, delikatność mimiki i subtelną impresyjność, która ekspresyjności nie pozwala ujawnić się wcale, a także miękki szept „kamizelkowego" dialogowania, który głosu po prostu nie dopuszcza do głosu.

Na młodych aktorów czekają teatry o innych na ogół parametrach technicznych, teatry, w których gest będzie musiał być czytelny, także i dla tych widzów, którzy zasiądą w ostatnich rzędach drugiego balkonu, a wyraźnie, z nienaganną dykcją wyartykułowane słowo zabrzmieć musi dźwięcznie choćby i z tego powodu, by ów przyszły widz nie musiał — jak musiałam na paru spektaklach czynić to dzisiaj — pytać sąsiada, czy usłyszał ostatnie zdanie i o co w nim chodziło, bo logika scenicznych zdarzeń kazała przypuszczać, iż było ono ważne dla rozwoju mniej, czy bardziej tradycyjnie rozumianej akcji scenicznej. (Notabene na trzech bodaj, czy nawet czterech spektaklach w kilku takich momentach moi sąsiedzi pozostawali równie bezradni i zdani na własny domysł)

W ramach tegorocznego, III Przeglądu Ogólnopolskiego Spektakli Dyplomowych Szkół Teatralnych, który odbywał się w naszym mieście od 20 do 27 marca, a któremu towarzyszył organizowany pierwszy raz w Polsce Międzynarodowy Staż Młodej Krytyki Teatralnej, „wysokiemu jury" (tym razem także międzynarodowemu) w składzie: Michał Misiorny, John Elsom, Henryk Pawlak, Tomasz Raczek, Carlos Tindemans i Andrzej Żurowski oraz życzliwej temu przeglądowi publiczności zaprezentowano siedem spektakli wieńczących i dokumentujących proces nauczania zawodu aktorskiego w czterech ośrodkach dydaktycznych: łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera, warszawskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza, krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej im. Ludwika Solskiego i prężnej oraz ambitnej artystycznie filii tej ostatniej uczelni, którą ma ona we Wrocławiu.

Przegląd zainaugurował znany już łodzianom i nie tylko łodzianom, wysoko oceniony przez wszystkich oglądających go już widzów i krytyków dyplomowy spektakl Wydziału Aktorskiego łódzkiej uczelni „Syn marnotrawny" w opracowaniu literackim i reżyserii Adama Hanuszkiewicza. Przedstawienie to w swym scenicznym kształcie spełnia wszystkie wymogi stawiane spektaklom dyplomowym i profesjonalnemu teatrowi jednocześnie. Obserwując ten urzekający urodą wdzięczny bibelocik teatralny, łatwo zrekonstruować możemy proces podjęty przez Hanuszkiewicza, który nie będąc etatowym pracownikiem dydaktycznym szkoły okazał się znakomitym pedagogiem. Wziął Adam Hanuszkiewicz na ów szkolny warsztat mało znane lecz skrzące się prawdziwym pięknem polskiego słowa i pulsujące znakomitym rytmem świetnego wiersza dzieło Stanisława Trembeckiego, literacko opracował je dla powierzonej jego artystycznej pieczy młodzieży aktorskiej w sposób, który nie pozwoli jej wątpić w żywotność i rosnącą wartość tego dzieła, a zatem całej polskiej klasyki dramaturgicznej, reżysersko zaś tak, by błysnęły młode talenty, by studenci pokazali co potrafią satysfakcjonując prezentacją swych umiejętności zarówno swych pedagogów, jak i pierwszą swoją „prawdziwą" publiczność. Z przyjemnością oglądałam to przedstawienie i wszystkich jego wykonawców. Na szczególne wśród nich wyróżnienie zasłużyli: Elwira Hamerska, Ewa Telega, Zbigniew Zamachowski i Marek Cichucki.

Drugi z „łódzkich" dyplomów aktorskich wydał mi się znacznie mniej interesujący w realizacji. Przedwczesny nieco — jak na ten stopień wtajemniczenia w arkana sztuki aktorskiej na jakim znajduje się młodzież — wybór niezwykle trudnej pozycji, jaką jest „Platonow" Antoniego Czechowa ujawnił w ambitnej skądinąd i interesującej inscenizacji Macieja Prusa wszystkie niedostatki, ułomności i oczywiste, zrozumiałe braki warsztatowe studentów, o których w tym przedstawieniu to można powiedzieć jedynie, iż ze zmiennym powodzeniem grają „granie Czechowa". Błąd tego spektaklu tkwi w metodzie i sposobie potraktowania spektaklu dyplomowego, ale o tym pisałam już wyżej, więc nie będę się powtarzać.

Błąd zawłaszczenia przedsięwzięcia, jakim jest spektakl dyplomowy mający pokazać aktorską gotowość studentów, dla własnych indywidualnych i nader subiektywnych (choć istotnie mogących wnieść wiele nowego na polską scenę teatralną) celów artystycznych, błąd podporządkowania całej materii i wszystkich tworzyw spektaklu przemożnej chęci wyartykułowania przede wszystkim własnej wypowiedzi, błąd potraktowania dyplomu, jako nadarzającej się okazji do własnej samorealizacji artystycznej popełnił jak mi się zdaje Krystian Lupa, który studentów IV roku Wydziału Aktorskiego szkoły krakowskiej „wmontował" w swoją bardzo skądinąd interesującą teatralną wizję snów bohatera powieści Alfreda Kubina zatytułowanej „Po tamtej stronie". „Siedem snów w państwie snów", to spektakl trudny, ale frapujący, spektakl, który chwilami nuży, miejscami wręcz denerwuje, jest kompozycją niezbyt dokładnie zamkniętą, nie dopracowaną do końca, niekiedy niejasną, ale o niej, o tej kompozycji Lupy można mówić — nawet bardzo się spierając — bardzo wiele, o aktorskiej gotowości studentów, którzy konkretyzują na scenie tę reżyserską poszarpaną i chaotyczną wizję, nie da się powiedzieć niczego. Nie wiem czy „istnieją" w tym nie dość gotowym spektaklu w sposób właściwy, nie wiem czy „są" na scenie dobrze czy źle. Porównywanie ich pracy (wyraźnie wielkiej) z jakimkolwiek innym przedstawieniem tego przeglądu wobec rodzajowej i gatunkowej różnicy materii dramaturgicznej nie ma żadnego sensu. Niewiary w aktorskie umiejętności młodych krakowian nic nie usprawiedliwia. Pozostaje więc wiara i nadzieja. Te zaś są jak wiadomo irracjonalne. Przyznajmy jednak, że w tej materii, jaką jest sztuka aktorska irracjonalizm ma sens.

W przeciwieństwie do Krystiana Lupy Władysław Kowalski, pod którego kierunkiem przygotowali swe przedstawienie dyplomowe studenci Wydziału Aktorskiego szkoły warszawskiej, zrezygnował z wielkich ambicji reżyserskich, by w rzetelny sposób pokazać czego nauczyli się jego studenci. Przygotowana przez Kowalskiego inscenizacja „Widoku z mostu" Artura Millera jest spektaklem bardzo przeciętnym, nie aspirującym do pozycji i miana „wydarzenia sezonu", ale dającym młodzieży szansę pokazania co potrafi. A potrafi niemało, widać bowiem, iż jasno wyłożono jej tutaj charaktery bohaterów i ich wzajemne stosunki, zgłębiono poszczególne psychiki i rodzaje emocji, jasno sprecyzowano zadania sceniczne. Dobrze zanalizowany i opracowany materiał pozwolił studentom na stworzenie interesujących ról: Wojciechowi Paszkowskiemu roli Eddiego Carbone, Agnieszce Paszkowskiej — bardzo dobrej roli Beatrycze, Januszowi Józefowiczowi — roli Marka, Katarzynie Figurze — roli Kate, Maciejowi Godlewskiemu — roli Rodolfa.

Inaczej przeciętnym, bo na dodatek mniej rzetelnie przygotowanym reżysersko spektaklem szkoły krakowskiej była inscenizacja „Trzech sióstr" Antoniego Czechowa, przygotowana pod opieką pedagogiczną Jerzego Stuhra. Przedstawienie to, acz rozedrgane jakąś wyraźną nerwowością wykonawców pozostawiło mnie obojętną na problemy trzech sióstr i ich otoczenia. Nie skupiło też mojej uwagi na żadnej propozycji aktorskiej. Są autorzy, o których mówi się, iż „bronią się" sami. Jeśli grupka taka w ogóle istnieje, w co szczerze wątpię, to wiem, że Czechow nie należy do niej na pewno. Trzeba bardzo dużo umieć, by umieć go grać. Tak wiele nie uczy żadna szkoła, żadna bowiem nie daje, bo dać nie może minimalnego choćby doświadczenia.

Wrocławska filia krakowskiej uczelni przygotowała „Świętoszka" Moliera w reżyserii Andrzeja Makowieckiego. Spektakl to bardzo nierówny, choć niby nasycony pomysłami, z których „najmocniejszym" jest gilotyna spadająca na głowę Tartuffa będącego tu uosobieniem zła i obłudy, gilotyna, która dosadnym zdaniem inscenizatora spaść musi z wyroku historii na wszelkie zło i obłudę tego świata. Makowiecki zobaczył w dziele Moliera zapowiedź rewolucji, przed której karzącym mieczem nie umknie jak się zdaje także cała rodzina Orgona. W jego inscenizacji nie ma happy-endu, ale mimo tak wyraźnej próby usiłowania odczytania „Świętoszka" na nowo, nie ma też w tym spektaklu niczego twórczo nowego. Mimo pozorów spontaniczności, tej właśnie jest najmniej, dużo jest natomiast nieumiejętności podawania tekstu, współgrania z partnerem, budowania sytuacji scenicznej, pointowania jej, noszenia kostiumu itd.

Samą spontanicznością, wdziękiem młodości, urodą i scenicznym ogniem jest „Złe zachowanie" Andrzeja Strzeleckiego, które autor skomponował na podstawie musicalu Thomasa Fotsa Wallera „Ain't Misbehavin". Czternaścioro wykonawców tego wspaniałego spektaklu przez półtorej godziny pozostaje na scenie śpiewając, tańcząc, mówiąc nam sporo o sobie i o nas, nas i siebie bawiąc do łez (lub jeśli ktoś woli — do rozpuku, a czynią to wszystko ci młodzi ludzie tak znakomicie, że po skończonym spektaklu chciałoby się obejrzeć go natychmiast, jeszcze raz, drugi, trzeci...

Są znakomici wszyscy razem i każde z osobna. Tworzą grupę silną, zwartą i gotową do każdego zadania, każdy z członków tej grupy ma wyraźnie zarysowaną własną osobowość, którą podporządkowuje zespołowi w taki sposób, by ten będąc monolitycznym i organicznie spójnym nie przestał być wielobarwny, zaskakujący mnogością możliwości. Wieść głosi, że grupa ta dostała tylko dla siebie jedną z warszawskich scen, lecz nim obejmie ją w posiadanie — wyjeżdża na artystyczne tournée do kilku krajów Europy zachodniej z tym właśnie „Złym zachowaniem". Kochani, tak właśnie zachowujcie się dalej! Jak długo się da! Jak długo nie osiągną sukcesu ci, którzy mówić wam będą, iż wybrany przez was zawód jest zawodem konkurencyjnym, że indywidualność... Nie można niestety odmówić im racji, ale można bronić indywidualności grupy i strzec jej, i zrobić całkiem nowy młody teatr, wy pierwsi od wielu, wielu lat macie taką samą szansę, jaką kiedyś miała i wykorzystała inna grupa, której również dano teatr. A tym się tylko ta inna grupa od was różniła, że miała trudniejsze warunki startu, bagaż przeżyć, których wam oszczędził los i była grupą łódzką...

* * *

Jury przyznało *dwie nagrody główne:*

— nagrodę zespołową za przedstawienie dyplomowe IV roku Wydziału Aktorskiego PWST im. A. Zelwerowicza w Warszawie „ZŁE ZACHOWANIE" autorstwa i reżyserii Andrzeja Strzeleckiego z podkreśleniem walorów choreografii studenta Janusza Józefowicza,

— nagrodę aktorską za rolę Beatrycze w przedstawieniu PWST w Warszawie „Widok z mostu" Arthura Millera w reżyserii Władysława Kowalskiego.

Pięć równorzędnych nagród otrzymali Elwira Hamerska z PWSFTviT w Łodzi za rolę Anny Wojnicew w „PŁATONOWIE" w reżyserii Macieja Prusa oraz Zbigniew Zamachowski z tej samej uczelni za rolę Pianisty w „Synu Marnotrawnym" w reżyserii Adama Hanuszkiewicza, a także Janusz Józefowicz (PWST Warszawa) za rolę Marko w przedstawieniu „Widok z mostu" w reżyserii Władysława Kowalskiego, Katarzyna Gniewkowska (PWST Kraków) za rolę Iriny w „Trzech siostrach" w reżyserii Jerzego Stuhra i Paweł Kruszelnicki za role Tuzenbacha w tym samym przedstawieniu. Sześciomiesięczne stypendium twórcze prezydenta miasta Łodzi otrzymała Ewa Telega. Jury recenzentów łódzkich gazet przyznało nagrody za najlepszą rolę kobiecą i męską: Agnieszce Paszkowskiej z warszawskiej PWST — za rolę Beatrycze w „WIDOKU Z MOSTU" i Dziewczyny w „ZŁYM ZACHOWANIU", oraz Zbigniewowi Zamachowskiemu z łódzkiej PWSFTviT za rolę Pianisty w „Synu Marnotrawnym" i Doktora w „PŁATONOWIE". Uczestnicy Międzynarodowego Stażu Młodej Krytyki Teatralnej przyznali swoją nagrodę Marii Baryłkowskiej z PWST w Krakowie i Zbigniewowi Zamachowskiemu z PWSFTviT z Łodzi oraz studentom warszawskiej PWST grającym w spektaklu „ZŁE ZACHOWANIE".

Zanotowane na marginesach

Praktyka Zielonego Morza

Navigare necesse est — ja przepraszam za ten pretensjonalny początek, ale nic innego nie przychodzi do głowy komuś, dla kogo żeglowanie nie jest absolutnie żadną koniecznością, większą niż życie samo. Moje stosunki z morzem są bardziej niż ceremonialne i ograniczają się do własnoręcznego (i własnonożnego) wakacyjnego pływania w odległości kilkudziesięciu metrów (góra!) od linii brzegowej Bałtyku i paru zdecydowanie cieplejszych akwenów strefy śródziemnomorskiej. Zaś jedyny wyczyn żeglarski — i jednocześnie jeden z najgłupszych pomysłów w życiu — to przepłynięcie pod żaglem pożyczonej „omegi" od brzegu do brzegu paruhektarowego zalewu w Sielni Wielkiej koło miasta Końskie...

Nie rozumiem przeto zupełnie dlaczego mimo to nazwisko Vito Dumasa, Jacquesa-Yves le Toumelina, Leonida Teligi czy Kazimierza Jaworskiego, albo tego zwariowanego Henryka Jaskuły znacza dla mnie coś więcej niż proste konotacje biograficzne z jakiegoś „who's who". Dlaczego wywołują coś nieuchwytnego, trudnego do nazwania — tęsknotę może, żal za niespełnionym, pragnienie pogoni za horyzontem, chęć sprawdzenia się albo zazdrość... — nie mam pojęcia, ale i nie usiłuję tego czegoś w sobie zwalczać.

Jest nazwisko, które szczególnie mocno prowokuje ów niedefiniowalny stan duszy — ten facet nazywa się Krzysztof Baranowski. Może dlatego, że wychowałem się w kulcie profesjonalizmu, a kapitan Baranowski jest niezwykłym okazem zawodowca i perfekcjonisty w każdym calu — od kilu po top. Chyba za to go uwielbiam...

Wpadła mi niedawno w ręce niezwykła książka tego człowieka — „Praktyka oceaniczna". Nie wiem, dlaczego ją kupiłem, nie wybieram się przecież na ocean, a na pewno nie pod żaglami. Mimo to przeczytałem tę książkę niemal jednym tchem, wyjąwszy może rozdziałek o nawigacji, na której się zupełnie nie wyznaję. Zresztą od pierwszej lektury sięgałem po nią parę razy — teraz „Praktyka oceaniczna" leży pod ręką, czytam ją po kawałku, wybranym na chybił trafił, z powodów najzupełniej terapeutycznych. By choć na czas lektury znaleźć się w świecie, gdzie „Teoria Zielonego Morza" (zasada ucieczki lewym halsem przed sztormowym niżem w „Ryczących Czterdziestkach") może mieć decydujące znaczenie dla życia lub śmierci. Na pewno nic lepiej nie leczy chandry.

Poza tym w „Praktyce oceanicznej" jest wszystko — czy można jacht zbudować z betonu (można), jak przechowywać jajka (co parę dni obracać), co zrobić, gdy się płynie z niemowlakiem (wszystko pozamykać i założyć siatkę) albo ile trzeba znać węzłów (wystarczy osiem). A z tym wszystkim jest to znakomita lektura po prostu — od niejednej sensacyjnej powieści na pewno lepsza.

Jedną zaś refleksję kapitana Baranowskiego muszę przytoczyć, bo choć odnosi się do żeglugi w ciężkiej pogodzie, ma znaczenie uniwersalne, jakiego autor poradnika dla żeglarzy zapewne nie przewidywał...

„Wspomniane dotychczas techniki sztormowania dotyczą warunków, jakie spotyka się w określonych okolicach lub określonych porach roku. (...) Tak więc najpewniejszym sposobem przeżycia tych sztormów będzie omijanie okolic takich jak Ryczące Czterdziestki, Wyjące Pięćdziesiątki, (...). Niestety, nie wszystko da się dokładnie przewidzieć i ciężka pogoda może zdarzyć się wszędzie, łącznie z rodzimym Bałtykiem. Trzeba w związku z tym podkreślić, że żadna technika i żaden podręcznik nie gwarantuje przeżycia na morzu. Najpewniej jest pozostać w domu, choć i koło Przylądka Horn czasem świeci słońce".

Dziękuję Ci, kapitanie — chociaż nie wypływam na żaden ocean. Ale i nie pozostaję w domu.

TOMASZ SAS

Polemiki • Listy • Opinie

PAMIĘCI STANISŁAWA HEBANOWSKIEGO

Ważnym akcentem tegorocznego Dnia Teatru w Gdańsku było odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej wielce zasłużonemu dla kultury polskiej tłumaczowi, reżyserowi i krytykowi Stanisławowi Hebanowskiemu — długoletniemu kierownikowi artystycznemu Teatru „Wybrzeże".

Z inicjatywą uczczenia pamięci zmarłego przed dwoma laty artysty wystąpiło koło ZASP przy gdańskim teatrze. Tablica została umieszczona na foyer gdańskiego teatru, a sama uroczystość zgromadziła licznych przyjaciół i współpracowników Stanisława Hebanowskiego.

JACY BYLIŚMY, GDY BYLIŚMY STUDENTAMI?

Motto:

Co to takiego optymizm?
Ach — to błąd dowodzenia, że wszystko jest dobrze.
Kiedy nam się dzieje źle.

Wolter („Kandyd")

Z uwagą i niekłamanym zainteresowaniem przeczytałem artykuł J. Stanisława Knypla pt. „Student jaki jest..." (Odgłosy nr 12 z dn. 23 marca 1985 r.) i to co najmniej z dwóch powodów.

Po pierwsze — z czystej ciekawości, jacyż to naprawdę są współcześni żacy i czym się różnią od tych z mojego pokolenia, a więc sprzed lat piętnastu czy dwudziestu

Po drugie — sam jestem belfrem, wprawdzie na nieco niższym szczeblu niż akademicki, ale jednak i nierzadko zdarza mi się również „zasięgać języka" poprzez ankietowanie, oczywiście dobrowolne i anonimowe, przypisanych wychowawczej pieczy małolatów, a następnie analizować pewne punkty i wyciągać potrzebne do pracy wnioski. Mam też w zanadrzu stałą ankietę, którą zawsze na początku roku wypełniają uczniowie klasy, która ma po raz pierwszy ze mną zajęcia. Nie rozdzieram jednak szat, gdy odpowiedzi na pewne pytania są niemal identyczne od wielu lat.

Nadmieniam o tym fakcie nie bez kozery, gdyż pierwsze, co mnie uderzyło w przeczytanym artykule, to ciągłe bicie na alarm przez J.S. Knypla, czy ogłaszanie alertu, że poziom intelektualny niski, że światopogląd nie ten, że ogólna niewiedza, a już spojrzenie studentów na swoje przyszłe żyjcie, to już w ogóle pod psem.

Mimo że od dawien dawna nie jestem już studentem, a tylko tych był J.S. Knypl łaskaw zaprosić do dyskusji, to jednak jako absolwent wyższej uczelni, a także i wychowawca młodzieży, nie mogę pozostać obojętny na próby zgoła fałszywych uogólnień, gdyż moim zdaniem sytuacja nie jest wcale aż tak alarmująca. Jest po prostu normalna. Czy też idąc tokiem rozumowania J.S. Knypla uprościć zagadnienie i stwierdzić, że jest taka, na jaką wszyscy odpowiedzialni za nauczanie i wychowanie młodzieży zapracowaliśmy przez 40 lat Polski Ludowej.

Jestem w stanie jednym tchem wymienić przynajmniej pięć różnych modeli wychowania młodzieży po wojnie, kilka zmian programowych i strukturalnych w polskiej oświacie. Tylko po co? Przecież to i tak nie zmieni aktualnej sytuacji.

J.S. Knypl nadmienia w swoim artykule, że „szczupłość analizowanej grupy nie pozwala na czynienie jakichkolwiek uogólnień", ale jest to stwierdzenie dość przewrotne, gdyż już w następnym zdaniu możemy przeczytać: „niemniej wydaje się, że studenci mają dosyć mętne pojęcie o życiu i świecie w którym żyją i w którym przyjdzie im pracować". Pomijam już fakt, że to jednak jest uogólnienie i zapytuję wprost. Jacy studenci? Czy ta grupka „dyżurnych", która akurat w tym dniu musiała przyjść, aby się w ogóle tzw. wykład „kursowy" mógł odbyć? Mniemam, że J.S. Knypl jest nie tylko cenionym pracownikiem naukowym, ale także doświadczonym praktykiem w kontaktach ze studentami. Myślę, że co nieco pamięta i z własnych lat studenckich. Czy może wobec tego aż tak bardzo szokować fakt, że 80 proc. spośród 34 ankietowanych studentów wypowiedziało się za korektami programu z korzyścią dla siebie. Jestem w stanie w tym miejscu zaryzykować stwierdzenie, że na pytanie „Jakie korekty wprowadziłbyś do programu", podobnie jak respondenci J. S. Knypla, odpowiedziałoby 80 proc. ogółu studiujących w Polsce, także piętnaście i więcej lat temu. I nie ma co dramatyzować. Większość z nich będzie wspaniałymi ludźmi, cenionymi nauczycielami, szanowanymi naukowcami. Rozejrzyjmy się tylko dokładnie wokół siebie, a później uderzmy się w piersi i przypomnijmy sobie, jak to naprawdę z nami i naszymi kolegami z roku było.

Podobnie trudno zgodzić się z oburzeniem J.S. Knypla, że studenci „nic" bądź „niewiele" wiedzą o pracy przedstawicieli samorządu studenckiego do Senatu, Rady Wydziału i Rad Instytutów. Moim zdaniem ważniejsze w tym miejscu jest uzyskanie odpowiedzi, dlaczego tak się dzieje i skąd to nikłe zainteresowanie się bierze? Czy nie z któregoś tam modelu wychowania, który konsumpcyjnego stylu życia uczył?

Zastanowiło mnie również zdziwienie J.S. Knypla, że wyobrażenia studentów nt. roli absolwenta w społeczeństwie w perspektywie 30—40 lat są nikłe. A jakie mają być owe wyobrażenia? Przecież jest to pokolenie, które przeżyło i to nie z własnej winy, wstrząs roku 1980, 1981, żeby daleko nie szukać. Przecież ci młodzi ludzie, wbrew wszystkim zarzutom, które im się stawia, mają bijące serca, widzą codzienny znój swoich rodziców, są pełni obaw o jutro świata wstrząsanego eskalacją zbrojeń. Sięgam do notatek i co czytam w odpowiedziach na pytanie „Jak wyobrażam sobie życie w 2000 roku". W wypracowaniach z początków lat siedemdziesiątych przytłaczająca większość jest szalenie optymistyczna, tchnie radością, życiem, postępem dla dobra ludzkości. A co w pracach po roku 80? Owszem jest nutka optymizmu, bo to przecież jeszcze dzieci, ale nie brak też i wizji katastroficznych. Traktując więc temat wypracowania jako jeden z punktów ankiety, po skrupulatnym wyliczeniu procentów, można by zaryzykować uogólnienie, że dzieci mają również mgliste wyobrażenie o swojej roli i miejscu w perspektywie iluś tam lat.

W zakończeniu pragnę podkreślić, że w dwóch kwestiach zgadzam się w całej rozciągłości z J.S. Knyplem. Pierwsza z nich to ta, że ankietowani studenci faktycznie przesadzili i to zdrowo, jeżeli z wyliczeń wypadło, że średnio przez 5 semestrów wydali na podręczniki i materiały uzupełniające 6700 złotych. Przyznam szczerze, że kwota ta brzmi dla mnie wręcz humorystycznie, nawet przy obecnych cenach książek, gdy się przypomni, że student miał zawsze kłopoty finansowe (vide artykuł Iwony Sokół „Wyliczanka", w tym samym numerze) i nierzadko czynił karkołomne starania, aby konieczny podręcznik, np. pożyczyć, a każdy grosz ponad miał wówczas do spożytkowania na przyjemniejsze cele.

Cóż można w tej sprawie jeszcze dopowiedzieć? Chyba tylko to, ale podobnie jak studenci w ankiecie z przymrużeniem oka, że grupa ankietowanych, to jeszcze „dzieciuchy", a nie dorośli ludzie. Należy im się za to ostra reprymenda, no bo jakże inaczej, skoro programy chcą skracać, uczyć się tylko na „państwowy", elementarne gafy popełniają, o życiu niby mgliste pojęcie mają, ale schlebiać wykładowcy potrafią, żeby tylko egzamin był na cacy, ładnie to tak!?

Druga kwestia, której osobiście przyklasnąłem, to samokrytyka, którą J.S. Knypl (w imieniu własnym?, uczelni?) złożył w sprawie kształcenia, stwierdzając m.in.: „Duża część winy leży po stronie nauczycieli akademickich. Oni mogą i powinni kształtować nastroje wśród studentów, powinni uświadamiać im jedność wiedzy..." i dalej — „Z drugiej strony uczelnie też nie wiedzą, dla kogo konkretnie kształcą, po co i kogo kształcą".

Biorąc bardzo poważnie powyższe stwierdzenie mogę tylko dodać: Więcej optymizmu i dobrego samopoczucia w pracy z młodzieżą, bo nauczyciele to ponoć najliczniejsza grupa zawodowa polskiej inteligencji, ale jakoś nic dobrego z tego nie wynika.

STANISŁAW SOWIŃSKI

ZIEMIA I PISARZ

Dowiedziałem się, że grupa pisarzy związanych ze Zjednoczonym Stronnictwem Ludowym czyni starania, (a może te starania są już uwieńczone sukcesem), aby jednej ze szkół lub bibliotek, znajdujących się w Nisku nad Sanem, czy też najbliższej okolicy Niska, nadać imię zmarłego pod koniec ubiegłego roku Jana Marii Gisgesa. Sprawa jak najbardziej warta poparcia. Gisges zasłużył sobie na to.

Przypomnijmy w urzędowym choćby skrócie życiorys tego pisarza, który był bliski nie tylko ziemi rzeszowskiej, kieleckiej, warszawskiej, olsztyńskiej, ale często gościł i w Łodzi, jako współorganizator wielu imprez kulturalnych na terenie miasta i województwa. Należał także do autorów naszej oficyny wydawniczej. Urodził się 15 stycznia 1914 roku w Nisku. Szkołę średnią ukończył w Kielcach w 1934, następnie polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie okupacji przebywał na Kieleczczyźnie i w Warszawie. Brał udział w akcjach sabotażowych. Aresztowany przez gestapo, był w latach 1943—45 więźniem obozów: Brikenau, Buchenwald, Ohrdruf i Flossenburg.

Do kraju powrócił w 1945, pracował w urzędzie wojewódzkim w Kielcach. Był współorganizatorem tamtejszego Klubu Literackiego (dziś przekształconego w Oddział Literatów Polskich) oraz redaktorem naczelnym kieleckiego miesięcznika regionalnego „Cychry", na którego łamach debiutował w 1946 roku.

Właściwy jednak debiut powinien się liczyć od czasów gimnazjalnych. Drukował wtedy w piśmie szkolnym swoje wiersze. W 1949 roku rozpoczął pracę w Ministerstwie Kultury i Sztuki, a następnie objął funkcję sekretarza generalnego Związku Literatów Polskich. Z tamtego okresu zebrał dużo materiałów, które częściowo wykorzystał w książkach, jak na przykład w „Lamusie" (wyborze pism publicystycznych, wspomnień i esejów, Wydawnictwo Łódzkie, w roku 1971). Wielka szkoda, że nie zdążył jak zapowiadał w wywiadach, opublikować innych swoich wspomnień — był przecież przez długie lata najbliższym współpracownikiem Jarosława Iwaszkiewicza.

Z Gisgesem wymienialiśmy listy, karty świąteczne, książki. Zachowałem wiele cennych dla mnie dedykacji tego pisarza. Niektóre są rozbudowane i pogłębione refleksjami natury ogólniejszej. Ostatni list do Gisgesa napisałem, gdy leżałem w szpitalu w małym miasteczku na Kieleczczyźnie. Miasto nazywa się Busko-Zdrój. Mieści się tam sanatorium „Włókniarz", które odwiedzają łódzcy robotnicy. Był to okres budowania nowego Związku Literatów Polskich i Gisges należał do jego pierwszych założycieli. Ucieszyłem się czytając o tym w prasie i słysząc w radiu i telewizji jego nazwisko. List pisałem pod wpływem tak zwanego pierwszego impulsu. Wyraziłem w nim swoje uznanie dla Jana Marii, a i przy okazji przypomniałem, że znajduję się w mieście, które dało jednemu z największych naszych pisarzy Stefanowi Żeromskiemu wzór do postaci powieściowej doktora Judyma. Był tym wzorem doktor Stankiewicz, wielki społecznik, twórca sanatorium dla dzieci na Górce koło Buska, postać bardzo znana i ceniona. Jego brat był dyrektorem słynnej „Trójki", gimnazjum przy ulicy Sienkiewicza w Łodzi. Uczęszczali do niego między innymi i Marian Piechal i Józef Maciej Kononowicz. Dyrektor ma dzisiaj swój pomnik z kamienia, który stoi przed gmachem szkoły, doktor społecznik — jeszcze trwalszy, bo w literaturze.

Po wyjściu ze szpitala już nie pisałem do Gisgesa, zajęty odrabianiem różnych zaległości, a zresztą choroby mnie wciąż nie opuszczały. I potem przyszła ta straszna i nagła wiadomość, że Gisges umarł. Brakowało mu chyba około dwóch miesięcy do siedemdziesiątki.

Co pisał o Gisgesie krytyk Stefan Lichański (także, niestety przedwcześnie zmarły)? Że zaczynał od poezji, największe jednak powodzenie zyskał jako powieściopisarz. Zna on dobrze literaturę współczesną i umie się posługiwać rozmaitymi właściwymi jej technikami przedstawienia literackiego. W parze ze sprawnością warsztatową idzie rozległość zainteresowań autora. Toteż twórczość jego cechuje duże bogactwo tematyki i problematyki, obfitość wyraziście zróżnicowanych figur, żywa akcja, czego przykładem są takie powieści jak: „Pamięć serca", „Śmiech", „Spadek".

Podpisuję się pod tą ogólną oceną, bo bardzo cenię Gisgesa jako pisarza. Ale cenię wysoko także jego działalność społeczną i jako człowieka, który niejeden raz wyciągał pomocną rękę do kolegów znajdujących się w potrzebie. Ze wzruszeniem odczytuję w pismach Gisgera te miejsca, w których powraca do kraju lat dziecinnych i młodzieńczych. W książce „Moje prywatne minuty" (LSW, 1982) poświęca jeden z rozdziałów pt. „Domowe skarby" i mojej osobie. Pisze więc, że poznaliśmy się jeszcze w szkolnych latach, bodaj w 1933 roku, kiedy niewiele zapowiadało naszą literacką twórczość. Wspomina o naszych szkołach, o pismach, które wydawaliśmy i o kolegach. Kolegami Gisgesa byli: dzisiejszy profesor dr Olgierd Wojtasiewicz, sinolog i twórca teorii artystycznego przekładu, dr Julian Lewański z Instytutu Badań Literackich, znawca renesansu i teatru plebejskiego, oraz znacznie młodszy Krzysztof Kąkolewski, reportażysta, autor świetnych książek z dziedziny literatury faktu. Gisges wspomina także moich kolegów (pisałem o nich wiele razy), a więc Juliana Rogozińskiego, krytyka literackiego, tłumacza francuskiej klasyki, Adolfa Sowińskiego, poetę, eseistę i tłumacza literatury niemieckiej, Jana Aleksandra Króla, publicystę i redaktora powojennej „Wsi", powieściopisarza Wiesława Jażdżyńskiego i Józefa Ozgę-Michalskiego, tłumacza, poetę, prozaika, który w latach szkolnych drukował wiersze i gadki świętokrzyskie.

Gisges tak pisze o życiu młodzieży szkolnej w tamtych latach: „Mieliśmy wówczas swoje amatorskie teatry, orkiestry i modnych rewelersów, a koledzy, uzdolnieni plastycy, tematów do szkiców piórkiem, węglem czy pastelą — mnóstwo. Ziemia Świętokrzyska bowiem obfitowała i nadal obfituje w piękne zabytki architektoniczne, niezwykle cenne, urocze zakątki w Puszczy, stare drzewa i niezapomniane malownicze pejzaże."

W październiku 1979 roku odbyło się w Sandomierzu literackie sympozjum na temat „Wieś w tradycji i współczesności literackiej", któremu przewodniczył Jan Maria Gisges. W słowie otwierającym obrady zacytował piękne słowa Wilhelma Macha z listu skierowanego do Tadeusza Stawisza: „Kraj moich lat dziecinnych i chłopięcych żyje we mnie jako coś najgłębszego, w pewnym sensie ostatecznego, jak piękna, smutna, ale nieskończenie tkliwa muzyka, którą w sobie noszę, choć nikt jej nie słyszy, nikt o niej nie wie. Jak światło, barwy pełne łagodnego ciepła i pociechy. Wszystkie spotkane po świecie krajobrazy przymierzam do tamtych rodzinnych, wszystkie drogi mierzę mimowolnie miarami odliczonymi od domowego progu, a w snach — choć w dzień o tym nie myślę — wracają z najpełniejszą wyrazistością sceny, pejzaże, zakątki leśne, śródwiejskie dróżki i płoty, ludzie na jawie niepamiętni z tamtych czasów, z tamtych stron". „Wielu z nas jest tutaj na swojej ziemi rodzinnej — powiedział wtedy Gisges. — I to spotkanie z ziemią poetów Czernika, Jasieńskiego, Młodożeńca, Piętaka szczególnie przeżywamy". Niechże na tej ziemi zostanie także imię Jana Marii Gisgesa.

TADEUSZ PAPIER

KARA I CO DALEJ?

Coraz głośniejsza staje się obecnie dyskusja wokół modyfikacji przepisów prawa karnego sterującej zdecydowanie w kierunku zaostrzenia represji karnej za niektóre kategorie przestępstw. Zwiększenie ilości przestępstw przeciwko mieniu, przestępstw spekulacyjnych i innych stanowiących przedmiot proponowanych zmian, wzbudza ostry protest społeczny, rodzi uczucia, które można by określić jako chęć odwetu, dokonanego rzecz jasna, w obliczu i majestacie prawa. Oczywiście to zjawisko wymaga zastosowania sankcji karnych wobec sprawców, już nie tylko w aspekcie „kary" za przewinienie, ale również z punktu widzenia ukazania społeczeństwu, że istnieje sprawiedliwe ramię ochrony jego interesów, zdrowia, życia, mienia itp. Ostra represja karna jest narzędziem, z jednej strony umocnienia poczucia tego bezpieczeństwa w społeczeństwie, a z drugiej strony umocnienia autorytetu władzy ją stosującej. Tylko czy na pewno będzie to działanie skuteczne.

Nie jest tajemnicą dla nikogo, że gros przestępstw popełnianych obecnie (zwłaszcza przeciwko mieniu i spekulacja) jest spowodowane aktualną sytuacją rynkową, gospodarczą (...) w naszym kraju, że brak towarów w sklepach sprzyja zwiększaniu tak ilości jak i ciężaru gatunkowego, „jakości" przestępstw. Dopóki zatem nie uzdrowimy sytuacji na rynku, nie wyeliminujemy tego czynnika jako przyczyny choroby, pozostaje tylko terapia objawowa. Czy więc elementem tej terapii, skutecznej terapii może być zaostrzenie środków represyjnych, które, jak wiadomo, działają tylko retrospektywnie.

Wyrażenie negatywnej oceny określonego działania przestępnego może nastąpić w innej formie niż represja, np. perswazyjnie — w formie ustnej nagany. Nie będę nikogo przekonywała, że jest to forma skuteczna, bo nie jest i w najbliższej przyszłości być nie może, dopóki nie wykształcimy takich elementów samoregulujących zachowanie człowieka, że słowo zacznie znaczyć więcej niż pałka.

W ogóle wybór metod nacisku otoczenia na jednostkę w celu zmiany jej zachowania zależy od wielu czynników, a głównie od wagi skutków tak już zaistniałych jak i tych przewidywanych represjonowanego zachowania. Podejrzewam jednak, że obok represji, przesłaniem tych legislacyjnych przeobrażeń (która to już modyfikacja prawa karnego w tym właśnie kierunku?), celem nadrzędnym tego posunięcia ma być uzyskanie pozytywnej zmiany postaw przestępców, trwałych zmian.

Czy jednakże, stawiając na „karę", postawiliśmy na właściwy środek? Czy nie zapominamy, że kara działa właściwie tylko post factum i swój dezaprobujący charakter przejawia w stosunku do popełnionego już przestępstwa i nie wskazuje prawidłowego, a przynajmniej akceptowanego zachowania. Oczywiście, oddziałując represyjnie na jednego człowieka, nie oddziałuje się tylko na jego własne środowisko zewnętrzne, lecz także na innych ludzi, z którymi żyje i kształtuje różne formy życia społecznego, w tym także potencjalnych sprawców przestępstw. W tym sensie kara może również pełnić funkcję prewencyjną. Jednakże nie sądzę, aby zaostrzenie środków karnych wpłynęło rzeczywiście na zmianę postaw, zarówno przestępców „dokonanych" jak i potencjalnych. Funkcjonuje, wprawdzie w społeczeństwie opinia, że surowe kary odstraszają potencjalnych przestępców od aspołecznego zachowania, jednakże życie zweryfikowało ten pogląd, zaś praktyka stosowania prawa implikuje raczej zależność odwrotną. Obecne kary za przestępstwa kryminalne są również wysokie, a mimo to działalność przestępcza „kwitnie".

Surowe kary, stosowane przecież po czynie przestępnym, rodzą raczej agresję u skazanego i ta agresja może być konsekwencją obrony psychicznej wobec frustracji spowodowanej ukaraniem. Istnieje w psychologii pojęcie „identyfikacji z agresorem", gdy agresja jest skutkiem uruchomienia psychicznego mechanizmu obronnego. Nie twierdzę przez to, że w stosunku do przestępców należy być pobłażliwym czy obojętnym na ich aspołeczne zachowanie, niesprawiedliwym — w rozumieniu wymierzania kar nieadekwatnych do rodzaju przestępstwa, okoliczności, osoby sprawcy i stopnia społecznego niebezpieczeństwa czynu. Przeciwnie. Ale natura ludzka jest przekorna. U ludzi, którym grozi umiarkowana kara, wytwarza się niechęć do zakazanego działania, natomiast ludzie zagrożeni surową karą wykazują nawet niewielki wzrost pozytywnego (!) nastawienia wobec zabronionego postępowania. Tak więc surowe kary nie mają charakteru prewencyjnego.

Oddziaływanie na jednostkę, na jej pozytywne, akceptowane zachowanie przez surową represję karną jest działaniem doraźnym. Oznacza to, że jeśli człowiek zmienia swe działanie tylko pod wpływem pragnienia uniknięcia kary (strach przed karą), to ulegać otoczeniu stosującemu ten środek zastraszenia będzie tak długo, jak długo otoczenie to stosuje groźbę kary. Znacznie skuteczniej, bo długofalowo można wpływać na zmianę postawy, a przez to i konkretnego zachowania, przez wychowanie. Nie myślę tu o abstrakcyjnym procesie wychowania, ale o sytuacji, gdy człowiek utożsamia się ze swym wychowawcą, identyfikuje z wartościami i przekonaniami przez niego głoszonymi, gdy uda się wpoić pewne zasady, według których należy postępować i które pozwolą funkcjonować nieraz przez całe życie bez konfliktu z prawem.

W chwili obecnej nie jest to sprawa prosta. Wprawdzie większość przestępstw wzbudza społeczną odrazę, ale pożywką dla ich rozwoju jest także, obok wspomnianej sytuacji ekonomicznej, klimat społeczny. Niełatwo znaleźć powszechne, jednolite zasady postępowania, które byłyby jednoznacznie zaakceptowane przez wszystkie środowiska, a przecież właśnie teraz rozwarstwienie ludności jest znaczne. Różne grupy społeczne lansują różne wzorce postępowania, pewne kategorie przestępstw, a więc i przestępców są tolerowane, a nawet znajduje się uzasadnienie i usprawiedliwienie dla nich, aprobatę zyskuje każde egoistyczne działanie, wszelkie altruistyczne gesty są lekceważone...

Nie o wyliczenia jednak chodzi. Trudności trudnościami, ale konstruktywne działania podjąć trzeba natychmiast, chociaż mają przynieść efekty dopiero w dalekiej przyszłości. A działanie „na teraz" przez zaostrzenie represji niekoniecznie jest potrzebne.

BARBARA KEMPA

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

(2)

Myśliwcy nocni

W drugiej połowie 1942 roku nocne naloty Luftwaffe nad Anglię należały do rzadkości, toteż loty operacyjne 307 dywizjonu stawały się coraz bardziej monotonne. Zapuszczano się najdalej na środek kanału La Manche, a to z uwagi na niebezpieczeństwo przechwycenia przez Niemców tajnej aparatury radarowej, zainstalowanej na beaufighterach.

W nocy z 5/6 sierpnia załoga beaufightera: kpt. pil. Gerard Ranoszek i sierż. radionawig. Trzaskowski, zestrzeliła junkersa Ju-88. Za to niezwykłą przygodę przeżyła w nocy z 24/25 września załoga beaufightera, nr EW-R, która stoczyła walkę kołową z niemieckim bombowcem DO-217. Po dość ostrej obopólnej strzelaninie dornier został trafiony i zestrzelony, ale w tej samej chwili w beaufighterze zrobiło się ciemno. Pilot stracił widzialność do przodu. Okazało się, że to olej tryskający z silnika niemieckiego bombowca zabryzgał przednią szybę kabiny beaufightera. Pilot próbował zetrzeć olej rękawicą, ale bezskutecznie. Leciał więc niemal na oślep, orientując się tylko według instrumentów pokładowych, zdążał do macierzystej bazy. Sytuacja stawała się coraz groźniejsza, tym bardziej, że zaczął przerywać pracę jeden z silników. Załoga, będąc już nad własnym lotniskiem zastanawiała się, czy nie skakać ze spadochronami, lecz pilot chciał uratować samolot, na którym odniósł już kilka zwycięstw i mimo braku widzialności zdecydował się lądować. Koledzy na lotnisku z zapartym tchem obserwowali to lądowanie, ale udało się szczęśliwie. Oprócz mistrzowskiego opanowania pilotażu, kpt. pil. Ranoszkowi tym razem sprzyjało szczęście, bo specjaliści orzekli jednogłośnie, że w podobnej sytuacji istniała tylko jedna szansa na tysiąc, aby ujść z życiem.

W dywizjonie 307 zestrzelono na beaufighterach kilkanaście samolotów niemieckich, co przy trudnych warunkach walki nocnej było nie lada osiągnięciem. Niewiele dywizjonów myśliwców nocnych mogło się pochwalić podobnymi wynikami.

Dzięki wytrwałym zabiegom dowódcy dywizjonu, mjr pil. Michałowskiego, Lwowscy Puchacze otrzymali w grudniu samoloty typu De Havilland „Mosquito" NF Mk. II i byli pierwszą polską jednostką, posiadającą ten typ maszyn. Dwusilnikowy „Mosquito był jedynym samolotem brytyjskim — w minionej wojnie — o konstrukcji całkowicie drewnianej, dlatego nazywano go „drewnianym cudem". Wersja NF (Night Fighter — Myśliwiec Nocny) Mk. II, rozwijała prędkość do sześciuset kilometrów na godzinę, dysponując zasięgiem dwa i pół tysiąca kilometrów. Samolot uzbrojony w cztery działka dwudziestomilimetrowe i cztery karabiny maszynowe, umieszczone w przodzie maszyny. Dwuosobową załogę stanowili: pilot i nawigator.

Połowa grudnia 1942 r. i pierwsze tygodnie stycznia 1943 roku, upływały na przeszkalaniu załóg na „Mosquitach" oraz przygotowywaniu się do nowych zadań bojowych, jakimi były „intruderka" i „randżerka". Intruderka polegała na przechwytywaniu i niszczeniu samolotów nieprzyjacielskich nad ich własnymi lotniskami — przeważnie nad terytorium Francji, Belgii i Holandii. Natomiast nocne atakowanie niemieckich obiektów naziemnych nazywano randżerką. Operacje te wymagały solidnego przygotowania lotników do lotów dziennych i nocnych, na małych wysokościach oraz nawigacji bez środków radiolokacyjnych. Rozpoczął się intensywny trening, przebiegający pomyślnie, ku zadowoleniu Anglików z dowództwa, podziwiających wysoki stopień inteligencji i zdyscyplinowania polskich lotników, którzy w niespełna miesiąc potrafili opanować do perfekcji pilotaż i obsługę „Mosquitów", uchodzących, co prawda, za najbezpieczniejsze samoloty z dotychczas używanych, ale oprócz doskonałych walorów bojowych, miały opinię maszyn trudnych do opanowania w powietrzu.

14 stycznia 1943 r. dywizjon osiągnął pełną gotowość bojową, a pierwszy patrol nocny wykonała załoga „Mosquito" NF Mk. II nr DZ271, EW-R: kpt. pil. Gerard Ranoszek i ppor. nawig. Czesław Krawiecki, lecz do spotkania i pojedynku z nieprzyjacielem nie doszło, ponieważ w tym czasie Luftwaffe nie przejawiała aktywności. Załoga 307 dywizjonu, nie rezygnując z nocnego przechwytywania samolotów niemieckich nad Anglią, rozpoczęła działania intruderskie.

Demonstrując na mosquicie lądowanie na jednym silniku, zginął w niedzielę, 21 marca, najbardziej zasłużony dowódca 307 dywizjonu, mjr. pil. Jan Michałowski, którego śmierć wywarła piorunujące wrażenie na obserwujących to lądowanie lotnikach dywizjonu.

Po dwuletnim pobycie na lotnisku Exeter, w dniu 15 kwietnia przeniesiono dywizjon na oddalone nieco ponad dziewięć kilometrów od portu Swansea, lotnisko Fairwood Common. Dowództwo dywizjonu objął mjr. pil. Jerzy Orzechowski, uczestnik „Bitwy o Anglię" i były dowódca dywizjonów myśliwskich: 306 oraz 308. W dywizjonie Lwowskich Puchaczy sformowano też trzecią eskadrę „C", w której załogi szkoliły się w lotach intruderskich i randżerskich.

16 maja trzy załogi dywizjonu 307 poleciały do punktu zbornego, na lotnisko Castle Camp, skąd miały startować na intruderkę. Polacy spotkali tam już lotników brytyjskich, kanadyjskich, nowozelandzkich, australijskich i francuskich. Na odprawie poinformowano załogi mosquitów o lotniskach niemieckich, nad którymi mają latać, jak również przekazano dokładne dane o rozmieszczeniu niemieckiej artylerii przeciwlotniczej i reflektorów przy tych lotniskach, jak i na trasach dolotów do nich, które należy omijać oraz dane meteorologiczne i inne szczegóły, dotyczące tej akcji. Lotnicy zaskoczeni byli rozkazem niestrzelania do jakiegokolwiek samolotu nieprzyjacielskiego, gdyby nawet on pierwszy otworzył ogień. W przypadku konfliktu zalecano ucieczkę. Załogom z dywizjonu 307 przydzielono niemieckie lotnisko Gilze Ruen w Holandii. Zgodnie z rozkazem, każda załoga latała po kwadracie wokół lotniska, na wysokości około trzystu metrów i przez czterdzieści pięć minut straszyła Niemców, po czym przylatywała następna załoga, przejmując służbę nad nieprzyjacielskim samolotem, przez następne czterdzieści pięć minut. Żaden z niemieckich myśliwców nie wystartował, ani nie wylądował na jakby wymarłym lotnisku, opanowanym przez intruderów. Po tej akcji, dowództwo Bomber Command (Lotnictwa Bombowego RAF), dziękowało nocnym myśliwcom za pomoc, czego ci ostatni początkowo nie rozumieli i nie domyślali się, za co im dziękują z Bomber Command. Dopiero później dowiedzieli się, że tej nocy brytyjski 617 dywizjon specjalny poleciał nad Zagłębie Ruhry czterosilnikowymi lancasterami i pięciotonowymi bombami wysadził w powietrze olbrzymią tamę na rzekach Möhne i Eder, powodując zalanie wodą wielkich obszarów Zagłębia Ruhry i unieruchomienie na dłuższy czas licznych zakładów zbrojeniowych, elektrowni i stalowni położonych w tym regionie, dostarczających niemieckiemu przemysłowi czterdzieści procent stali, wyprodukowanej w całych Niemczech.

Tej samej nocy — 16 maja — pierwszą operację randżerską wykonała załoga „Mosquito" NF Mk.II z nr DZ239, której celem były zakłady przemysłowe w Karlsruhe. Podczas nalotu na zakłady, maszyna została trafiona pociskiem artyleryjskim w lewą gondolę silnika i powróciła na własne lotnisko, na jednym pracującym silniku. Dwie noce później, dywizjon „Puchaczy", w pełnym składzie dokonał nalotu na Półwysep Bretoński, w połowie drogi między Brestem a L'Orient.

Od czerwca zaangażowano dywizjon „Puchaczy" do lotów nad Zatokę Biskajską i obszar Oceanu Atlantyckiego. Klucz mosquitów pod dowództwem kpt. pil. Szablowskiego, zaatakował w dniu 14 czerwca zespół pięciu niemieckich okrętów podwodnych, znajdujących się na wynurzeniu w Zatoce Biskajskiej. Samoloty powracały na lotnisko silnie postrzelane, a mosquito dowódcy klucza odbył drogę powrotną — w tym około dziewięciuset kilometrów nad morzem — na jednym sprawnym silniku. Podczas lotu patrolowego 19 czerwca, zespół mosquitów z 307 dywizjonu i brytyjskiego 410 dywizjonu, zestrzelił trójsilnikową łódź latającą BV138, ze znakami: 1075 K1+MA. Dwa dni później, klucz polskich mosquitów z dywizjonu „Puchaczy", uszkodził dwa nieprzyjacielskie frachtowce.

7 sierpnia przeniesiono 307 dywizjon na lotnisko Predannack, położone jedenaście kilometrów na południowy-wschód od miejscowości Helston, w południowej Kornwalii. W tym samym miesiącu dywizjon otrzymał sześć samolotów w wersji myśliwsko-bombowej — „Mosquito" FB Mk.VI o wiele doskonalszych i szybszych, a ponieważ maszyny dywizjonu Lwowskich Puchaczy bomb nie zabierały, wykorzystywano udźwig maszyn, podwieszając zapasowe zbiorniki paliwa, znacznie przedłużające czas trwania lotu. Oprócz tych nowych samolotów, w dywizjonie latało jeszcze piętnaście maszyn „Mosquito" NF Mk.II. Dywizjon 307 wcielono do Coastal Command (Lotnictwa Obrony Wybrzeży), a załogi latały na patrolowanie Zatoki Biskajskiej i obszaru Atlantyku, zwalczając myśliwce dalekiego zasięgu z Luftwaffe: Me-110Bf, Ju-88 i FW-190, atakujące samoloty alianckie, prowadzące w tym rejonie walkę z hitlerowskimi łodziami podwodnymi.

Wspaniałego wyczynu, chyba niepowtarzalnego w lotnictwie alianckim, dokonał dywizjon „Puchaczy" 11 września. Najpierw na patrol aliancki wystartował klucz mosquitów, dowodzony przez mjr. pil. Jerzego Orzechowskiego, a półtorej godziny po nim, drugi klucz, pod dowództwem kpt. pil. Maksymiliana Lewandowskiego. Obydwa klucze mosquitów współpracowały ze stanowiskiem dowodzenia, znajdującym się w Zatoce Biskajskiej, na brytyjskim krążowniku „Sheffield". Mimo niepomyślnych warunków atmosferycznych i chmurnego nieba, pierwszy klucz został naprowadzony drogą radiową z krążownika, na sześć dwusilnikowych myśliwców Luftwaffe, messerschmittów Me-110 który Polacy zaatakowali w przestrzeni bezchmurnej. Walka rozgorzała w rejonie Big Pond. Samoloty niemieckie wyraźnie ulegały w walce polskim mosquitom. Jednego messerschmitta zestrzelił sierż. pil. Zbigniew Dunin-Rzuchowski. Mjr. pil. Jerzy Orzechowski zestrzelił również jedną maszynę niemiecką tego typu prawdopodobnie i trzy inne uszkodził, a por. pil. Jerzy Damsz zestrzelił prawdopodobnie jeden samolot nieprzyjacielski. Także drugi klucz mosquitów, naprowadzany z krążownika na sześć junkersów Ju-88, zaskoczył nieprzyjaciela, nawiązując z nim walkę. Mimo że Niemcy rozpaczliwie bronili się, ulegli lotnikom 307 dywizjonu. Kpt. pil. Lewandowski zestrzelił na pewno dwa samoloty niemieckie i jednego uszkodził. Następnego junkersa zestrzelił na pewno chor. pil. Ludwik Szempliński. W walce tej „Puchacze" zestrzelili pięć samolotów Luftwaffe na pewno, dwa prawdopodobnie i cztery uszkodzili, a więc zniszczyli jedenaście samolotów niemieckich, bez strat własnych. Według otrzymanych później informacji agenturalnych, z dwóch samolotów niemieckich prawdopodobnie zestrzelonych i czterech uszkodzonych, żaden nie powrócił do swojej bazy.

Nie upłynęły dwa tygodnie od tego brawurowego zwycięstwa, a już lotnicy 307 dywizjonu mogli się pochwalić kolejnym powodzeniem w walce. W rejonie Zatoki Biskajskiej stoczyła walkę powietrzną z ośmioma dwusilnikowymi myśliwcami niemieckimi, junkersami Ju-88, eskadra sześciu mosquitów, pod dowództwem por. pil. Jerzego Damsza. Por. pil. Jerzy Damsz zestrzelił na pewno jednego junkersa, a drugiego uszkodził. Zaś sierż. pil. Ludwik Steinke również zestrzelił jeden samolot niemiecki na pewno, jeden prawdopodobnie i jeden uszkodził, a sierż. pil. Kazimierz Jankowiak uszkodził jednego Ju-88. W tej walce zginęła jednak brytyjska załoga z 307 dywizjonu: sierż. pil. Lowndes i sierż. nawig. Cotten. Wówczas w dywizjonie Lwowskich Puchaczy latało kilka załóg brytyjskich lub mieszanych polsko-brytyjskich, ponieważ brak było lotników polskich, szczególnie nawigatorów.

9 listopada 1943 r. 307 dywizjon pożegnał Coastal Command i został przebazowany na lotnisko Drem, usytuowane w Szkocji i odległe około dwudziestu siedmiu kilometrów w kierunku północno-wschodnim od Edynburga. Długoletni dowódca eskadry „B", kpt. pil. Maksymilian Lewandowski przejął dowództwo dywizjonu i znów rozpoczęło się nocne patrolowanie rejonu miast: Edynburga i Glasgow oraz obszaru Morza Północnego. W tym czasie Niemcy wysyłali samoloty dalekiego zasięgu na rozpoznanie meteorologiczne w obszarze Islandii, obserwując również ruchy żeglugi alianckiej, na północnych szlakach atlantyckich. Kpt. pil. Lewandowski zaoroponował dowództwu 13 Grupy Myśliwskiej, której teraz podlegał dywizjon „Puchaczy", włączenie 307 dywizjonu do działań ofensywnych przeciw niemieckim samolotom zwiadowczym w rejonie Morza Północnego i odkomenderowanie co tydzień trzech załóg „Puchaczy", na lotnisko Sumburgh, usytuowane na jednej z wysp szetlandzkich. Brytyjczycy przystali na te propozycję i odtąd, co tydzień trzy samoloty dywizjonu Lwowskich Puchaczy, zmieniały posterunek na tym lotnisku, polując na samoloty Luftwaffe oraz patrolując akweny w pobliżu Islandii i Norwegii. Loty patrolowe wykonywano pojedynczymi maszynami, na wysokości około trzech i pół tysiąca metrów, a nieraz i wyżej, aby utrzymać stałą łączność ze stanowiskiem dowodzenia — znajdującym się także na jednej z wysp szetlandzkich — wyposażony w stację radiolokacyjną, wykrywającą cele powietrzne z dużych odległości.

Załogi dywizjonu „Puchaczy" operowały bardzo intensywnie. Załoga „Mosquito" NF Mk.II z nr HJ651: sierż. pil. Kazimierz Jaworski i por. naw. Henryk Ziółkowski, w nocy z 22/23 listopada stoczyła walkę powietrzną nad morzem — około stu dziewięćdziesięciu kilometrów na północny wschód od Szetlandów — z mało wówczas znanym samolotem niemieckim, heinklem He-177, posiadającym cztery silniki, umieszczone parami w dwóch gondolach i zewnętrznie wyglądającym na maszynę dwusilnikową. Wykorzystując przerwy między chmurami, pilot mosquita dopadł nieprzyjaciela i celnym ogniem broni pokładowej zestrzelił heinkla. Cztery dni po tej walce — 26 listopada — ppor. pil. Alfred Suskiewicz z mjr nawig Franciszkiem Kalinowskim, zostali naprowadzeni przez stanowisko dowodzenia, na lecącego nad Morzem Północnym — około trzysta dwadzieścia kilometrów od bazy — junkersa Ju-88A17, z torpedą pod skrzydłem. Mimo sprzyjających załodze niemieckiej chmur, junkers został zestrzelony do morza. Ostatnim samolotem Luftwaffe, zestrzelonym w 1943 roku, był junkers Ju-88D1, z nr 1310 8H+AH, należący do pułku 1(F)33 Junkers padł łupem załogi mosquita EW-R — por. pil. Jana Pacholczyka i ppor. nawig. Jerzego Trzaskowskiego.

Fatalne warunki atmosferyczne, panujące w grudniu nad Morzem Północnym i Atlantykiem nie pozwalały na loty obu stronom walczącym. Tymczasem dywizjon 307 przygotowywał się do przyjęcia samolotów „Mosquito" NF Mk.XII i Mk XIII, doskonalszych, niż dotychczas używane, osiągających prędkość do sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę oraz pułap do dwunastu tysięcy metrów i wyposażonych w najnowocześniejszą aparaturę radarową.

W połowie stycznia 1944 roku dostarczono pierwsze cztery samoloty „Mosquito" NF Mk XII. Dywizjon rozpoczął operacje „Outstep", polegające na prowadzeniu działań nękających na tyłach nieprzyjaciela, przede wszystkim w Norwegii, oraz patrolowaniu morza wokół tego kraju. Pierwsze osiągnięcia w tej akcji lotnicy 307 dywizjonu uzyskali w dniu 19 stycznia. Tego dnia cztery mosquity dokonały śmiałego lotu do południowej Norwegii. Dwa z nich zaatakowały bazę niemieckiego lotnictwa morskiego w Stavanger i mimo silnej obrony przeciwlotniczej nieprzyjaciela, załoga: por. pil. Roman Zwoliński wraz z por. nawig. Leonem Michalskim, zniszczyła na pewno jeden wodnosamolot pływakowy, Junkers Ju-34W i prawdopodobnie jedną trójsilnikową łódź latającą Blohm Voss BV 138. Natomiast druga załoga: st. sierż. pil: Jan Wisthal i st. sierż. nawig: Jan Woźny — zniszczyła na pewno jedną łódź latającą BV138 a drugą prawdopodobnie. Załogi ostrzelały również budynki i urządzenia bazy niemieckiej. Dwie inne załogi zaatakowały pociąg towarowy i żeglugę przybrzeżną.

W ostatniej dekadzie stycznia przezbrojono dywizjon „Puchaczy" w samoloty „Mosquito" NF Mk. XII i Mk. XIII, pozostawiając do pierwszej połowy marca sześć „Mosquitów" NF Mk. II. Przez pewien czas dywizjon posiadał sześć „Mosquito" NF Mk. II, tyleż maszyn w wersji Mk.XII oraz siedem maszyn „Mosquito" NF Mk XIII, ale sprzętem standardowym były samoloty w wersji Mk. XII.

Po czteromiesięcznym pobycie na lotnisku Drem, w pierwszych dniach marca przeniesiono 307 dywizjon na lotnisko Coleby Grange, w hrabstwie Lincoln i włączono jednostkę do 10 Grupy Myśliwskiej, z przeznaczeniem patrolowania wschodniego wybrzeża Anglii, między Londynem a Hull, nie zaprzestając operacji „Outstep". Już 19 marca załoga „Mosquito" NF Mk.XII, nr HK 119, EW-D; ppor. pil. Jan Brochocki i por. nawig. Henryk Ziółkowski, podczas patrolu nad morzem, zestrzeliła w rejonie Hull, koło miejscowości Hamber — heinkla He-177.

Na początku maja dywizjon znów zmienił miejsce postoju, przebazowując się na lotnisko Church Fenton, w hrabstwie York, skąd startował na intruderkę i randżerkę do Niemiec oraz niszczył cele niemieckie w Belgii, Holandii, Francji i Norwegii, jak również uczestniczył w osłonie dalekich wypraw bombowców alianckich. Przed desantem armii sprzymierzonych w Normandii — 6 czerwca 1944 roku — dywizjon „Puchaczy" latał na akcje intruderskie i randżerskie, a po inwazji aliantów na Normandię, patrolował nocami jej wybrzeża, osłaniając inwazyjne siły morskie i lądowe przed atakami nocnych myśliwców Luftwaffe.

Od 21 maja dywizjonem dowodził najaktywniejszy pilot jednostki — kpt. inż. pil. Gerard Ranoszek.

W grupie Wysp Północno-Fryzyjskich, przy południowo-zachodnim wybrzeżu Półwyspu Jutlandzkiego, jest niewielka wyspa Sylt, na której znajdowała się silnie strzeżona przez artylerię przeciwlotniczą, niemiecka stacja radiolokacyjna dalekiego zasięgu, kontrolująca ruch samolotów Luftwaffe, między Niemcami a Norwegią, w strefie przybrzeżnych akwenów Danii i Skagerraku. Anglicy postanowili zniszczyć ten obiekt, w jak najkrótszym czasie, lecz z uwagi na zaskoczenie, nalotu można było dokonać tylko jedną maszyną. Wybór padł na załogę 307 dywizjonu Lwowskich Puchaczy: por. pil. Jana Pacholczyka i por. nawig. Józefa Gaseckiego, która poleciała w nocy z 27/28 lipca 1944 r. na wykonanie tego trudnego i niebezpiecznego zadania. Sprzymierzeńcem załogi były chmury, a najtrudniejszą przeszkodą do pokonania — najcięższą niemiecką artyleria przeciwlotnicza, rozlokowana na wyspie Helgoland. Po niedługim locie w chmurach nieco przejaśniało, ale pilot wyczekał na nadchodzącą chmurę burzową, prowadząc samolot w ulewnym deszczu i burzy, dzięki którym mosquito niepostrzeżenie przeleciał nad Helgolandem i wkrótce znalazł się nad wyspą Sylt. Lecąc na małej wysokości, por. pil. Pacholczyk ostrzelał stację radarową na wyspie, po czym jeszcze raz nawrócił, powtarzając atak, ale musiał uciekać znad wyspy, ponieważ miejscowa artyleria przeciwlotnicza otworzyła tak silny ogień do mosquita, że zdawało się iż lada moment trafią w samolot. Pilot szczęśliwie wydostał się ze strefy ostrzału artyleryjskiego, ale niespodziewanie niebo rozpogodziło się, sprawiając niebezpieczeństwo przelotu nad Helgolandem, gdzie mosquito dostał się w tak silny i zmasowany ogień artyleryjski, że pilot dokonywał cudów w manewrowaniu maszyną, wykonując wszystkie dozwolone i niedozwolone ewolucje powietrzne, aby tylko wydostać się z artyleryjskiego huraganu, co się w końcu udało i załoga, pełna wrażeń z tego lotu, powróciła do bazy. Bohaterska załoga, jak i dywizjon 307 zostały wyróżnione przez dowództwo RAF, za brawurowy nalot i zniszczenie ważnego obiektu Luftwaffe.

Od lipca 1944 r. lotnictwo niemieckie rozpoczęło nową fazę operacji V-1. Latające bomby V-1 wystrzeliwano w locie spod skrzydła heinkli He-111, specjalnie przystosowanych do roli nosicieli. Heinkle należące do pułku III/KG3 rozlokowano na kilku lotniskach w Holandii i w Niemczech, a loty wykonywano wyłącznie podczas ciemnych, bezksiężycowych nocy. Do zwalczania heinkli z bombami V-1 zatrudniono kilka nocnych dywizjonów myśliwskich, w tym i dywizjon 307, który wszedł do akcji 12 września, wysyłając „Mosquito" NF Mk.XII, z nr HK231, EW-Q, którego załogę stanowili: st. sierż. pil. Franciszek Kott i chor. nawig. V. Kepak (Czech). Zadaniem załogi był nocny patrol lotniska Ardorf — bazy heinkli nosicieli V-1. Nad Morzem Północnym „Puchacze" przechwycili heinkla He-111 H22 z bombą V-1 pod skrzydłem. Celnym ogniem działek pokładowych zniszczono heinkla wraz z jego ładunkiem, lecz eksplozja była tak potężna że rozerwała mosquita, w którym zginęła załoga.

17 września pięć załóg uczestniczyło w osłonie desantu powietrznego pod Arnhem. Podczas tej akcji poległa jedna załoga.

W drugiej połowie października dywizjon otrzymał najnowocześniejsza wersję samolotów „Mosquito" NF Mk.XXX, osiągającą prędkość do sześciuset siedemdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę i wyposażoną oprócz radaru AI Mk.X, w radar nawigacyjny Gee. Pierwszy patrol na maszynie tej wersji wykonano 23 listopada, a trzy dni później zakończono loty na „Mosquito" NF Mk.XII.

Na początku grudnia dowódcą 307 dywizjonu został najmłodszy z dotychczasowych dowódców — dwudziestosiedmioletni kpt. pil. Stanisław Andrzejewski. Również w grudniu dywizjon „Puchaczy" powrócił do działań intruderskich nad obszarami zajętymi przez Niemców jak również latał na patrole, do końca marca 1945 r., broniąc Wysp Brytyjskich przed niemieckimi broniami odwetowymi: V-1 i V-2.

W styczniu 1945 roku dywizjon Lwowskich Puchaczy przeniesiono na lotnisko Castle Camp, w pobliżu Cambridge, skąd latał przede wszystkim w osłonie bombowców alianckich oraz na intruderkę i randżerkę nad terenami III Rzeszy. W nocy z 7/8 marca, załoga „Mosquito" NF Mk.XXX, z nr NT544, EW-B: por. pil. Czesław Tarkowski i por. nawig. K. Taylor (Anglik), podczas lotu intruderskiego nad Niemcami, zestrzeliła w walce powietrznej nad Bonn junkersa Ju-188. Było to ostatnie zwycięstwo w walce powietrznej dywizjonu „Puchaczy". Podczas wykonywania intruderki nad północnymi Niemcami, na lotniska usytuowane na Półwyspie Jutlandzkim, nocą z 24/25 kwietnia 1945 r., jedna załoga zniszczyła na płycie lotniska Husum fockewulfa FW-190 i uszkodziła drugą maszynę tego typu, a druga załoga na lotnisku we Flensburgu zniszczyła junkersa Ju-188, zamykając sukcesy dywizjonu 307 w minionej wojnie.

Bilans działalności bojowej 307 Dywizjonu Myśliwskiego Nocnego Lwowskich Puchaczy był imponujący. Załogi dywizjonu wykonały trzy tysiące osiemset siedemdziesiąt dziewięć lotów w ponad dziewięciu tysiącach godzin, zestrzeliwując trzydzieści i trzy czwarte samolotów niemieckich na pewno, siedem prawdopodobnie i siedemnaście uszkodziły. Poza tym załogi dywizjonu „Puchaczy" zniszczyły bądź uszkodziły na lądzie i na wodzie: liczne samoloty i wodnopłatowce, kilkadziesiąt lokomotyw, kilkanaście pociągów, w tym jeden z amunicją, duże ilości pojazdów mechanicznych, urządzenia lotniskowe i kolejowe, stacje radiolokacyjne, różne obiekty przemysłowe i inne.

Osiągając tak wspaniałe wyniki bojowe, poległo pięćdziesięciu czterech lotników. W lotach bojowych zginęło piętnaście załóg, a w lotach ćwiczebnych aż trzynaście załóg, z czego wynika, że przystosowanie się do walki nocnej jak i opanowanie nowoczesnego sprzętu nie należało do łatwych.

Unikalną pamiątką po polskim 307 dywizjonie w Anglii jest wystawiony w Muzeum RAF, w Hendon, samolot typu „Defiant" Mk. I, z nr N1671, ze znakami polskiego dywizjonu, odebrany do jednostki 16 września 1940 roku. Przed samolotem stoi tablica z opisem przebiegu służby tej maszyny w polskim dywizjonie „Puchaczy".

Jak bardzo mylili się dowódcy brytyjscy, sugerując na początku istnienia 307 Dywizjonu Myśliwskiego Nocnego Lwowskich Puchaczy, że Polacy nie nadają się na myśliwców nocnych i nie potrafią walczyć, a później podziwiali i zachwycali się poświęceniem i bohaterstwem polskich lotników z dywizjonu 307, którzy bojowymi osiągnięciami, krwią i życiem najlepszych, zapisali chlubną kartę historii walki za naszą i waszą wolność!

KONIEC

(18)

„W imieniu Boga?" – tajemnicza śmierć Jana Pawła I

Z każdym dniem pontyfikatu Jana Pawła I pogłębiała się przepaść między papieżem a zawodowymi obserwatorami watykańskimi, i to w takim stopniu, w jakim coraz serdeczniejsze stawały się stosunki między nowym papieżem a szeroką publicznością. Zdziwienie „świata fachowego" było zrozumiałe.

Mając do czynienia z dostojnikiem, który nie wywodził się z szeregów Kurii i rzekomo nie cieszył się międzynarodowym poważaniem, watykanolodzy doszli do wniosku, że mają do czynienia z pierwszym przykładem papieża nowego typu, z człowiekiem, którego wybrano świadomie w celu stworzenia przykładu redukcji pełni władzy papieskiej, pomniejszenia roli papieża. Nie ma prawie żadnych wątpliwości, że Luciani sam pojmował swoją rolę w takim właśnie ograniczonym sensie. Głównym problemem w tej wizji był człowiek jako taki. Osobowość Albino Lucianiego, jego nadzwyczajne zdolności duchowe i ludzkie szybko zapewniły nowemu papieżowi wysokie uznanie w oczach szerokiej publiczności — do tego, co miał do powiedzenia, przywiązywano większe znaczenie niż do wypowiedzi jego poprzednika. Publiczna reakcja na Lucianiego świadczyła jednoznacznie o silnej potrzebie przewartościowania roli papieża — czyli dokładnie o przeciwieństwie tego, do czego zmierzało wielu kardynałów. Im bardziej Luciani sam pomniejszał znaczenie swojej osoby, tym bardziej wzrastał szacunek, jakim darzyli go wierni.

Wielu, którzy znali Lucianiego tylko z jego okresu weneckiego, było bardzo głęboko zaskoczonych przemianą, jakiej dopatrywali się u tego człowieka. W Vittorio Veneto, Belluno i Canale nikt nie był jednak zaskoczony. To był prawdziwy Luciani. Prostota, poczucie humoru, podkreślenie roli katechizmu były szczególnymi cechami Albino Lucianiego.

Dwudziestego szóstego września Luciani mógł z zadowoleniem patrzeć na swój pierwszy miesiąc w nowej roli. Ruszył z miejsca doniosłe sprawy. Szczegółowe zajęcie się przez niego korupcją i niemoralnymi praktykami wewnątrz Kościoła wywołało strach u tych, których to dręczyło. Jego awersja do lubowania się Kurii w przepychu wywołała alarm wśród tradycjonalistów. Raz po raz odchodził od tekstów przygotowanych wystąpień i publicznie krytykował: „To za bardzo przypomina Kurię", lub „Jest to zbyt pełne namaszczenia".

Jego wypowiedzi i przemówienia z rzadka tylko transmitowano w dosłownym brzmieniu przez Radio Watykan lub cytowano w „OSSERVATORE ROMANO", ale inne środki masowego przekazu i publiczność, rejestrowały je i uważnie wysłuchiwały. Czyniąc aluzję do słów św. Grzegorza Luciani tak kiedyś skomentował swój wybór na papieża: „Cesarz chciał zrobić z małpy lwa". W Watykanie zamierały twarze, podczas gdy twarze publiczności promieniały uśmiechem. Tu była „małpa", która w ciągu pierwszego miesiąca swego pontyfikatu przemawiała do ludzi po łacinie, po włosku, francusku, angielsku, niemiecku i hiszpańsku — „i to jaka małpa", jak być może powiedziałby Winston Churchill.

Siódmego września Luciani przyjął na prywatnej audiencji swego przyjaciela, Vittore Branca — i to o ósmej rano. Już sam ten fakt był powodem marszczenia czoła w Kurii. Branca wyraził swój niepokój z powodu ciężaru urzędu papieskiego, Luciani odpowiedział:

„Tak, z pewnością jestem za mały do wielkich rzeczy. Mogę powtarzać tylko prawdę i apel Ewangelii; tak, jak czyniłem to w moim małym kościele u siebie w domu. Jest to tym, czego ludzie najbardziej potrzebują, a ja jestem przede wszystkim duszpasterzem. Różnica między księdzem parafialnym z Canale a mną polega tylko na liczbie wiernych, ale zadanie jest jednak to samo: przypomnienie Chrystusa i jego posłania".

Tego samego dnia papież przyjął wszystkich księży z Rzymu i mówił do nich o konieczności skupienia się i medytacji: jeżeli zastanowić się nad tym, jak mało czasu i okazji do medytowania ma nowy papież, takie napomnienie z jego ust brzmi szczególnie dobitnie (...).

Kiedy 20 września wypowiedział pamiętne zdanie, że błędem jest wierzenie, iż „Ubi Lenin ibi Jerusalem" („Tam gdzie jest Lenin, tam jest Jerozolima"), Kuria rozpowszechniła informację, iż papież dał wyraźnie do zrozumienia, że odrzuca „teologię wyzwolenia". Nie było to prawdą. Dalej zarówno Radio Watykan, jak i „OSSERVATORE ROMANO" zaniedbały odtworzenie ważnego zróżnicowania przez Lucianiego, że między Kościołem a zbawieniem religijnym z jednej strony oraz społeczeństwem a zbawieniem ludzkim z drugiej istnieje wprawdzie „pewna zgodność", ale my nie chcemy stworzyć żadnej całkowitej harmonii". (...)

Zmiany wisiały w powietrzu i w wiosce watykańskiej huczało od spekulacji. Za pewne uważano tylko tyle, że będą musieli odejść biskup Marcinkus i przynajmniej dwóch jego bliskich współpracowników, Mennini i Strobel. Umysły w Kurii jednak znacznie bardziej rozpalone były plotkami na temat dalszych przetasowań personalnych.

Kiedy 25 września bystrooki monsignore w przybywającym do apartamentów papieskich prywatnym gościu rozpoznał Lino Marconato, pełen wyczekiwania niepokój w wiosce watykańskiej osiągnął nowe apogeum. Marconato był jednym z dyrektorów Banco San Marco. Czyżby jego wizyta u papieża oznaczała, że znaleziono już nowego bankiera dla Kościoła?

W rzeczywistości papież chciał rozmawiać z bankierem z Wenecji w zupełnie prozaicznej sprawie. Luciani uczynił Banco San Marco oficjalnym bankiem diecezji weneckiej, kiedy zdenerwowany sprzedażą Banca Cattolica wymówił wszystkie znajdujące się w nim konta diecezji. Teraz, kiedy wiedział, że już nigdy nie wróci do Wenecji (chyba że tylko z wizytą) papież chciał zlikwidować swoje prywatne konta w Banco San Marco. Marconato zastał swego odchodzącego klienta w jak najlepszym zdrowiu. Rozmawiali wesoło o Wenecji, a Luciani upoważnił bankiera do przepisania na swego następcę w funkcji patriarchy pieniędzy, które pozostały na jego „urzędowym" koncie.

Był jeszcze ktoś, kto bezpośrednio i żywotnie interesował się tym, jakie kroki mógłby podjąć Luciani: Michele Sindona. Jego czteroletnia walka przeciw ekstradycji do Włoch zbliżała się we wrześniu 1978 r. do rozstrzygnięcia. W maju tego roku sędzia federalny podjął decyzję, że Sycylijczyka, który przekształcił się tymczasem w obywatela szwajcarskiego, należy przekazać do Mediolanu, by wypił piwo, które sam nawarzył. Sindonę skazano już zaocznie na trzy i pół roku pozbawienia wolności, ale zdawał on sobie doskonale sprawę z tego, że wyrok ten wyglądałby jak akt łaski, gdyby sądy włoskie jeszcze raz gruntownie zajęły się jego sprawą. W Stanach Zjednoczonych wprawdzie toczyło się przeciw niemu także dochodzenie, ale do tej pory nie wniesiono jeszcze żadnego oskarżenia. Z powodu różnych okoliczności aresztowano w związku z bankructwem banku Franklina wiele osób, ale nie rekina. We wrześniu 1978 r. największe niebezpieczeństwo groziło mu z Włoch.

Składająca się z milionów gildia adwokacka wymogła na sądzie ustępstwo, że nie można będzie dokonać jego ekstradycji, dopóki amerykańskie władze sądowe przekonywająco nie wykażą, iż przeciw Sindonie przedstawiono niepodważalne materiały obciążające, z powodu których miał stanąć przed sądem w Mediolanie.

Od tej pory prokuratorzy amerykańscy podjęli wszelkie możliwe wysiłki w celu zebrania tych materiałów obciążających Sindonę, natomiast, wspierany przez mafię i swych braci z loży P-2, zadał sobie tyle samo trudu, by materiały te uczynić niedostępnymi. W końcu września 1978 r. sytuacja Sindony była jednak ciągle jeszcze niebezpieczna, ponieważ wiele „problemów" nadal było nie rozwiązanych.

Pierwszym z nich była wypowiedź świadka o nazwisku Nicola Biase, złożona w postępowaniu o ekstradycję. Biase to były urzędnik Sindony i jego wypowiedź w oczach kliki Sycylijczyka była niebezpieczna. Szybko też zabrano się do „rozbrojenia" świadka. Całą sprawę omówiono z mafijną rodziną Gambino, a rezultatem tej narady był mały „kontrakt", niezbyt brutalny: Biase, jego rodzinę i adwokata postanowiono nastraszyć pogróżką śmierci. Jeżeli zrozumieliby tę informację i Biase wycofałby swoje zeznania, zaprzestano by na tym. Gdyby jednak okazał się oporny, wówczas, jak uzgodniono, rodzina Gambino i Sindona „przemyśleliby sytuację na nowo". Rezultat tych przemyśleń nie wróżył nic dobrego zdrowiu świadka Biase. Pierwszy niewinny „kontrakt" kategorii do tysiąca dolarów przekształcono w „kontrakt" wielkiego kalibru. Otrzymali go: Lugi Ronsisvalle i Bruce McDonald. Ronsisvalle był zawodowym mordercą.

Zlecono mu jeszcze inny „kontrakt": mafia poinformowała go, że Michele Sindona życzy sobie śmierci niejakiego Johna Kenneya, z zawodu zastępcy prokuratora dystryktu.

Nic nie charakteryzuje mentalności Michele Sindony tak dobitnie, jak jego zamiar zamordowania Johna Kenneya. Kenney był głównym oskarżycielem w procesie o ekstradycję, a więc człowiekiem prowadzącym na pierwszej linii frontu prawną walkę przeciw pozostaniu Sindony w Stanach Zjednoczonych — w imieniu i na polecenie swego rządu. Sindona kalkulował, że problem zostanie załatwiony, jeżeli uda się wyłączyć Kenneya.

Rząd USA zostałby w ten sposób ostrzeżony i wiedziałby, że on Michele Sindona nie pozwoli tak obchodzić się z sobą. Jeżeli będzie mądry, wstrzyma dochodzenie przeciw niemu, nie będzie go już więcej wzywał na denerwujące rozprawy w rządzie i skończy ze swoimi absurdalnymi próbami wydalenia go do Włoch. Sposób rozumowania, jaki się tu ujawnił, odpowiadał w 100 procentach światowemu wizerunkowi sycylijskiego mafisto. Jest to filozofia, która stale sprawdza się we Włoszech i jest istotną częścią składową „włoskiego rozwiązania": władze pozwalają się zastraszyć i są zastraszane. Sędzia śledczy, który obejmuje miejsce zamordowanego kolegi, będzie postępował z rozwagą. Sindona wierzył, że to, co funkcjonuje w Palermo, uda się również w Nowym Jorku.

Mimo że Luigi Ronsisvalle był zawodowym mordercą, nie chciał nic słyszeć o „kontrakcie" dotyczącym Kenneya. Oferowana premia w wysokości 100 000 dolarów była pociągająca, ale Ronsisvalle, który lepiej rozumiał ducha amerykańskiego niż Sindona wiedział, że najprawdopodobniej niewiele miałby z tych pieniędzy. Zamordowanie Kenneya wywołałoby poruszenie. Na polecenie rodziny Gambino Ronsisvalle udał się na poszukiwania kogoś, kto był wystarczająco beztroski, by wierzyć, że po zamordowaniu prokuratora amerykańskiego miałby realną szansę wyjścia z tego cało.

Sindona i jego doradcy zajęli się tymczasem następnym problemem: Carlo Bordonim, byłym wspólnikiem i bliskim przyjacielem Sindony. Przeciw Bordoniemu wniesiono już wiele oskarżeń w związku z bankructwem banku Franklina i Sindona był świadomy niebezpieczeństwa, że jego były partner w zamian za obietnice łagodnej kary mógłby zacząć „śpiewać". Uzgodniono zastosowanie również wobec Carlo Bordoniego procedury przewidzianej dla Nicola Biase, jego rodziny i adwokata.

Pozostałe problemy istniały dla Sindony we Włoszech, szczególnie w Watykanie. Gdyby upadł Marcinkus, pociągnąłby za sobą Calviego, gdyby upadł Calvi, pociągnąłby za sobą Sindonę. Na niczym spełzłaby nadzieja wygrania jednak czteroletniej walki przeciw ekstradycji.

Czyż człowiek, który wierzył w rozwiązania swoich problemów w USA przez zamordowanie prokuratora amerykańskiego nie mógłby wpaść na pomysł zlikwidowania poważnego niebezpieczeństwa grożącego mu z Włoch przez uśmiercenie papieża?

Sindona, Calvi, Marcinkus i kardynał Cody: każdy z nich miał 28 września 1978 roku wszelkie powody do liczenia się z najgorszym, jeżeli Albino Luciani zdecydowałby się na określenie przedsięwzięcia. Kolejnymi dwiema osobami, którym groziło bezpośrednie nieszczęście, byli Licio Gelli i Umberto Ortolani. W osobie Calviego utraciliby płatnika swej lozy. Do tych sześciu dołączył 28 września jeszcze siódmy, któremu zamierzenia Lucianiego napędziły strachu: kardynał Jean Villot, watykański sekretarz stanu.

Po lekkim śniadaniu z kawą, croissantem (rogalikiem) i bułeczką, Albino Luciani już przed ósmą siedział przy swoim biurku. Było wiele do zrobienia.

Pierwszym problemem, którym się zajął, była „OSSERVATORE ROMANO". W ciągu minionego miesiąca Luciani często miał powody do uskarżania się na tę gazetę. Nawet po zwycięskim zakończeniu pierwszej bitwy, w której chodziło o pluralism majestatis, który gazeta uporczywie stosowała w swoich relacjach zamiast używanego przez papieża, skromniejszego „ja", dzień w dzień przy lekturze „OSSERVATORE", papież napotykał rzeczy, które go drażniły. Tak więc na przykład gazeta bezmyślnie przedrukowała przygotowywane przez Kurię projekty wystąpień papieża, ignorując dokonywane przez niego osobiście poprawki i uzupełnienia. Innym gazetom czyniła ona nawet zarzuty, kiedy ich sprawozdawcy cytowali dosłownie papieża, zamiast przejmować odbity wcześniej tekst z „OSSERVATORE ROMANO". Teraz pojawił się nowy, bardzo ważny problem.

Niektórzy kardynałowie Kurii ku swemu przerażeniu stwierdzili, że krótko przed konklawe Albino Lucianiego zapytano o jego opinię w sprawie urodzin Louise Brown która stała się sławna jako „pierwsze dziecko z probówki". Wywiad na ten temat przeprowadzono z Lucianim na trzy dni przed zgonem papieża Pawła VI, ale z jego odpowiedziami szeroka opinia publiczna zapoznała się w artykule w „PROSPETTIVE DEL MONDO" dopiero po jego wyborze na papieża. Stanowczy konserwatyści w Kościele katolickim z rosnącym niezadowoleniem czytali, co ich obecny papież sądził o sztucznym zapłodnieniu.

W ostrożnych uwagach wstępnych Luciani zaznaczył najpierw wyraźnie, że reprezentuje swoją całkowicie prywatną opinię, i jak wielu innych czeka na poznanie „obowiązującej opinii nauki Kościoła", kiedy „skonsultuje się to z fachowcami". Teraz zaistniała sytuacja, w której „obowiązująca opinia Kościoła" w tej i wszystkich innych sprawach w bardzo istotnym stopniu wychodziła od samego Lucianiego.

Luciani wypowiadał się z ostrożnym entuzjazmem o narodzinach Louise Brown. Obawiał się jednak, że mogłyby teraz powstać „fabryki dzieci" — była to dobrze uzasadniona obawa, jeżeli się uwzględni, że obecnie w Kalifornii kobiety stoją w kolejce, by dać się zapłodnić nasieniem laureata Nagrody Nobla. W odnoszącej się do tego konkretnego wypadku uwadze Luciani oświadczył:

„Kierując się przykładem Boga, który życzy sobie życia ludzkiego i kocha je, chciałbym również przekazać nowo narodzonemu moje najlepsze życzenia. Jeśli chodzi o rodziców, to nie mam prawa ich potępiać; subiektywnie rzecz biorąc, być może uczynili coś miłego Bogu, jeśli w dobrym zamiarze i dobrej wierze zrobili to, na co się zdecydowali i o co prosili lekarzy".

Zwrócił potem uwagę na wcześniejszą proklamację Piusa XII, która być może uzasadniała niemożność pogodzenia sztucznego zapłodnienia z nauką Kościoła. Zaraz jednak przyznał, że każdy ma prawo sam decydować o sobie. W tym kontekście wyraził pogląd, który dotknął najgłębszych korzeni jego stanowiska wobec wielu problemów moralnych:

„Jeśli chodzi o sumienie każdej jednostki, to uważam również ja, że należy go zawsze słuchać, niezależnie od tego, czy coś rozkazuje, czy czegoś zabrania; każdy musi jednak zawsze dążyć do doskonalenia swojego sumienia".

Ci w Watykanie, którzy uważali, że najlepszą rzeczą dla sumienia katolika jest posłuszeństwo wobec Rzymu, zaczęli szemrać. Odbywały się potajemne spotkania. Ich uczestnicy byli zgodni co do tego, że Lucianiego trzeba pohamować. Mówili patetycznie o „zdradzeniu Pawła"; w tłumaczeniu z wysublimowanego, watykańskiego sposobu mówienia na zwykły język potoczny oznaczało to, że sposób bycia Lucianiego nie odpowiada im

Kiedy ludzie dowiedzieli się o ostrożnie nawiązanych kontaktach między watykańskim sekretarzem stanu a amerykańskim ministerstwem spraw zagranicznych, postanowili działać. Panikę tych, w których przekonaniu „Humanae Vitae" powinno pozostać ostatnim słowem Kościoła w tej sprawie, wzmogła jeszcze uzyskana wkrótce potem informacja, że papież obiecał audiencje delegacji parlamentarnej, zajmującej się sprawami kontroli urodzeń.

Na tytułowej stronie „OSSERVATORE ROMANO" ukazał się 27 września długi artykuł zatytułowany „Humanae Vitae a moralność katolicka". W artykule tym swój punkt szczytowy osiągnęła walka o to, by raz na zawsze przywiązać Lucianiego do stanowiska ogłoszonego przez jego poprzednika. Autorem był kardynał Luigi Ciappi, O.P. teolog watykański. Ciappi był osobistym teologiem Pawła VI i Piusa XII. Artykuł spod pióra tak wysokiego rangą autora musiał sprawić wrażenie autentycznej interpretacji polityki nowego papieża. Opublikowano go już wcześniej w „LATERANO" z okazji „święta" 10 rocznicy ogłoszenia „Humanae Vitae". Jego ponowne wydrukowanie było świadomą próbą zapobieżenia od samego początku wszelkim zamierzanym być może przez Albino Lucianiego zmianom stanowiska Kościoła wobec regulacji urodzeń. Artykuł był długą mową pochwalną na cześć „Humanae Vitae". Zawierał liczne cytaty Pawła VI, ale nie było w nim ani jednego słowa Lucianiego, z którego wynikałoby, że podzielał on poglądy Pawła lub Ciappiego. Przyczyna była prosta: Ciappi nie omówił wcześniej tego artykułu z Lucianim.

27 września kardynał rzeczywiście ciągle jeszcze czekał na swoją pierwszą audiencję prywatną u nowego papieża. Ten zwrócił uwagę na artykuł i wyrażone w nim poglądy dopiero 27 września w czasie lektury „OSSERVATORE ROMANO". Z rosnącym niezadowoleniem odwrócił gazetę, by na drugiej stronie przeczytać dalszy ciąg tekstu — był to, jak już powiedziano, bardzo długi artykuł. Na drugiej stronie papież odkrył jeszcze jeden artykuł, który najwyraźniej stanowił próbę podkopania jego pozycji przez Kurię. Ta dwuszpaltowa publikacja nosiła tytuł „Niebezpieczeństwo manipulacji przy tworzeniu życia" i była równoznaczna z jawnym, dogmatycznym potępieniem sztucznego zapłodnienia generalnie, a spłodzenia i narodzin „dziecka z probówki", Louise Brown w szczególności.

Również w tym artykule nie było żadnego odwołania się do urzędującego papieża. Kuria wiedziała przy tym dokładnie, że nawet jeżeli „OSSERVATORE ROMANO" zawsze określał się tylko jako organ półurzędowy, to takie artykuły opinia publiczna oceniała jako wyrażanie poglądów papieża. Walka została wypowiedziana.

Krótko po ósmej rankiem 28 września papież zatelefonował do swego sekretarza stanu, Villota i zażądał od niego wyjaśnienia, w jaki sposób i dlaczego doszło do opublikowania obu artykułów w „OSSERVATORE ROMANO". Potem zatelefonował do kardynała Feliciego w Padwie, który przebywał tam w celu uczestniczenia w capstrzyku religijnym. Luciani coraz bardziej przyzwyczajał się do korzystania z reakcji Feliciego jako sprawdzianów swoich idei. Zdawał sobie wprawdzie sprawę z tego, że między nim a Felicim istniały różnice poglądów w wielu sprawach, ale tak samo wiedział również, że Felici był człowiekiem wyrażającym swoją opinię otwarcie i szczerze. Wiedział też, że Felici orientował się w trudnym do przebycia gąszczu Kurii jak prawie nikt inny.

Luciani powiedział mu o swojej irytacji z powodu obu artykułów.

— Czy przypominasz sobie, że przed kilku dniami dałeś mi do zrozumienia, iż Kuria życzy sobie, abym pohamował mój naturalny entuzjazm?

— Była to tylko sugestia, Wasza Świątobliwość.

— Czy nie byłbyś tak uprzejmy, by w moim imieniu z podziękowaniem zwrócić komplement? Powiedz tej małej gazecie, niech pohamuje się w wypowiedziach na takie tematy. Redaktorzy naczelni — tak jak papieże — nie są niezastąpieni.

Uzgodnili, że po powrocie Feliciego z Padwy jeszcze raz spotkają się i Luciani zajął się następnym problemem ze swej listy, Kościołem w Holandii.

C.D.N.

Fragmenty książki Davida Yallopa „In God's Name"

W kręgu fantastyki

OLGA ŁARIONOWA

(1)

Gdzie królewskie łowy

Henryk wszedł po stopniach werandy. Typowa gościnna szopa, jakich z pewnością już kilka tysięcy ustawiono na wszystkich uzdrowiskowych planetach. Żadnej egzotyki, różnych tam bierwion, kominków i osmolonych antysanitarnych sufitów z zawieszonymi na belkach tuszami okopconych przedstawicieli miejscowej fauny. Cztery sypialnie, dwa pokoje gościnne, wewnętrzny basen. Minimum obliczone na czterech miłośników samotności. Jeszcze pomieszczenie dalekopisów i biblioteka. Z wideokasetami, rozumie się.

Wszedł do hallu. Z prawej strony do ściany przytwierdzona była długa wstęga syntetycznego pergaminu, na której wszystkimi kolorami tęczy i najróżniejszymi charakterami pisma zostało skreślone posłanie niegdysiejszych gości Pollioli do przyszłych:

NIE POLUJ!

Bodule bodą gołonogich!

PROSZĘ NIE URZĄDZAĆ SOBIE ŚMIETNIKA Z POMIESZCZENIA CHŁODNI.

Szukając heliobaterii zerknij do obu.

NIE POLUJ!

Żaby dostają bzika od Chopina — możecie sprawdzić...

Jaki bałwan rozregulował dalekopis?

NIE POLUJ!

Ostatni napis został wykonany kaligraficznym gotyckim pismem. Niezmywalnym liliowym flamastrem.

Pergamin ten przyciągał uwagę tylko pierwszego dnia, a i to na zaledwie kilka minut. Nie po raz pierwszy jechali na skierowanie firmy „Galacruise" i świadomi byli konieczności doprowadzania do porządku zaśmieconej lodówki i nieufnego traktowania nieprzegotowanej wody. Z bodulami natomiast nie mieli w ogóle zamiaru zawierać znajomości, tym bardziej że podczas wręczania skierowań uprzedzono ich, iż polowanie na Pollioli jest zabronione.

Starając się nie patrzeć w stronę pergaminu Henryk przeszedł do sypialni, ubrał się, założył buty. Co jeszcze? Manierka z wodą, indywidualny pakiet medyczny, krótkofalowy fon. No i rzecz najważniejsza, rinkompas, czyli po prostu „rinko". Wziął wszystko? Zresztą jeśli nawet nie wziął wszystkiego cała sprawa nie zajmie mu więcej niż pół godziny.

Na wszelki wypadek przeszedł do akumulatorowni i, nie zapalając światła, odnalazł na stelażu parę uniwersalnych ogniw elektrycznych pasujących do niewielkiego, dezintegratora. Teraz jest w pełni wyekwipowany.

Podszedł do drzwi wyjściowych, za którymi w głębokiej, migoczącej dali niewyraźnie drgały ziemskie gwiazdy, zmiótł ze złością z otworu drzwiowego tę gwiezdną, prawie nieważką błonkę i strząsając z dłoni wilgotne tające strzępki zszedł na łąkę, gdzie na poskręcanej trawie jeszcze różowiały plamy krwi. Przede wszystkim należało nastroić „rinko".

Kompas był niestandardowy: miast strzałki na osi siedziała główka Buratina z długim czerwonym nosem. Nos wyraźnie poruszał się — ze wszystkich stron dochodziły zapachy. Henryk położył „rinko" na różowej plamie i włączył system nastrajania. Bezlitosne słońce Pollioli, do zachodu którego pozostało jeszcze sto trzydzieści sześć ziemskich dni, dosłownie w oczach przekształcało różową kałużę w obłoczek słodkawego smrodu. Jak długo winno trwać nastrajanie? Trzy minuty.

Tylko trzy minuty. A ile upłynęło ich od chwili, gdy rozległ się odrażający wybuch ładunku?

Tego powiedzieć nie mógł. Coś stało się z jego wewnętrznym systemem odmierzania czasu, dzięki któremu wcześniej mógł się obchodzić bez zegarka — temporalna orientacja była u niego rozwinięta doskonale, błąd nie przekraczał dwóch minut.

A teraz coś się zepsuło.

Czy winne temu było palące, nie mające końca południe Pollioli trwające siedem ziemskich dni, południe, przed gorącem którego można było ukryć się tylko we wnętrzu domku, gdzie z zadaną regularnością umowy ziemski ranek ustępował miejsca umownej ziemskiej nocy i tak dalej? A może to co wydarzyło się wczoraj?

Chociaż podczas tego umownego ziemskiego dnia, który można byłoby określić jako „umowny wieczór" nic się nie wydarzyło. Przed obiadem Gerda poszła się kąpać, a Eristawi powlókł się za nią. Henryk natomiast, utwierdziwszy się w przekonaniu, iż ta ostatnia okoliczność wcale go nie denerwuje, polazł do dalekopisu i z braku innego zajęcia wytłukł rozogniskowany przez kogoś ekran. Odkrył świeży punkt, rozwinął, no i okazało się, iż to depesza z podległej mu Kapelli. Obawy, lamenty. Od czasu kiedy opuścił swą firmę na Kapelli, na tej nieustabilizowanej, eksplodującej planecie ciągle coś się nie kleiło. Gdyby nie wyjątkowo cenne koncentraty tamtejszego paleoplanktonu, jakimś cudem leczące chorobę popromienną w dowolnym jej stadium, wszelkie prace na Kapelli należałoby bezwarunkowo zamknąć. Ale dopóki tego planktonu nie nauczono się syntetyzować, Henryk zmuszony był cackać się z nią.

Przebiegł oczyma rozwiniętą depeszę i nagle ze zdziwieniem zauważył, że nie pojął istoty informacji. Coś przeszkadzało. To właśnie przytrafiało mu się tam, na Kapelli. Nagle całe ciało przekształcało się w niespokojny odbiornik usiłujący odebrać sygnał alarmowy. Wiedział, że coś takiego ma miejsce w przypadku zwierząt — psów, węży, koni. W takich przypadkach jego ręka, nie czekając na sygnał alarmowy, zawczasu uruchamiała syrenę i ludzie rzuciwszy wszystko skakali na awaryjne grawiplatformy i unosili się na wysokość kilkudziesięciu metrów nad powierzchnię, która już zaczynała pęcznieć niczym nie wyrośnięte ciasto, pluć bryłami lepkiej zielonej gliny, opadać do otchłani piekielnych, w bezdenne przepaście. W takich warunkach, rozumie się, budować można było tylko na grawitacyjnych poduszkach, a to przecież takie monotonne i nieciekawe zajęcie.

Na Ziemi ów niepokój ogarniał go dwukrotnie: w Neapolu przed trzęsieniem ziemi o sile czterech stopni i w Czarszandze o sile sześciu stopni. Od tej pory, podczas swych niedługich urlopów, wybierał się tylko na te planety, które były „tektonicznymi truposzami", takie właśnie jak Polliola. I nagle sygnał.

Cóż by to mogło znaczyć?

To, że trzeba się stąd zabierać, ot co.

Henryk uderzył kułakiem w wyłącznik — ekran zgasł. A niech to diabli, znów się coś rozreguluje. Ale to da się naprawić. Nie do naprawienia jest to, czego nie da się przewidzieć. Wyskoczył wtedy z pomieszczenia dalekopisów, przeskoczył stopnie werandy, pomknął po gorącej trawie. Do brzegu było sto pięćdziesiąt metrów, a on widział wyraźnie, iż na brzegu stoi Eri i patrzy w dół na jezioro. A więc nic się nie stało. Nie mogło się stać. Mimo to biegł nie wybierając drogi. Kiedy wyskoczył ze zbawczego cienia pod padające pionowo promienie słoneczne oblała go fala gorąca, jakby się znalazł w piecu hutniczym. W takich miejscach trawa zwijała się w trąbkę wystawiając na działanie promieni swój srebrzysty spód. Bieg po niej był katorgą.

Eristawi nie odwrócił się, kiedy Henryk stanął za nim ciężko dysząc. Ach ten wschodni spokój! Już pół godziny sterczy bez ruchu na tym urwisku w swojej chlamidzie i beduińskim zawoju — a pod fałdami odzieży wyraźnie rysują się kontury kieszonkowego dezintegratora średniego zasięgu. A przecież na Pollioli nic człowiekowi nie groziło. Gdyby było inaczej nie znajdowałaby się na liście planet wypoczynkowych. Jeśli nie liczyć śnieżnobiałych, niewiele mniejszych od człowieka żab, to jeziora i rzeki były całkowicie pozbawione życia. Mimo to głos dalekich przodków-koczowników nie pozwalał Eristawi ufać niewyraźnej, niepewnej wodzie i za każdym razem, kiedy Gerda zostawiwszy u jego stóp muślinowy płaszcz rzucała się ze stromego brzegu w dół, nie szedł w jej ślady. Mimo iż to było absolutnie niepotrzebne, stał na straży.

Henryk nie podzielał jego obaw i teraz z wrogością obserwował jego plecy w arawijskiej chlamidzie. I po co Gerda ciągnie wszędzie za sobą tego malarza? Wprawdzie raz na zawsze wytłumaczyła mężowi, że Eristawi to ten przyjaciel, który poświęci dla niej wszystko i nie zażąda niczego w zamian, ale przecież nie żądać niczego to też honor dla mężczyzny. Henryk raz jeszcze spojrzał na Eri, na muślinowy płaszcz ufnie rzucony u jego stóp, potem w dół. Gerda pluskała się przy samym brzegu, w cieniu gigantycznych łopianów. Dno w tym miejscu stromo opadało w dół i jak to ma zawsze miejsce w wypadku głębiny woda sprawiała wrażenie gęstej i ciężkiej. Dzwonek alarmowy ucichł, a przecież gdyby Henryk usłuchał głosu swej intuicji, to lecieliby teraz na mateczkę Ziemię. Jeśli nie w trójkę, to na pewno we dwójkę.

A teraz siedział w kucki nad śmierdzącą różową kałużą i chociaż „rinko" już dawno się nastroiło, wciąż jeszcze nie mógł znaleźć w sobie sił na to, by wstać i iść spełnić swój obowiązek.

Obowiązek człowieka — najbardziej humanitarnego stworzenia we Wszechświecie. Wyprostował się, machinalnie wyjął chusteczkę i wytarł ręce, jakby próbując zetrzeć z nich zapach krwi.

Co prawda na trawie plam tych nie było tak wiele, ale na podstawie ich rozmieszczenia nietrudno było domyślić się, iż pojawiały się przy każdym wydechu ranionego stworzenia, które w takich warunkach powinno było wykrwawić się w ciągu najbliższych godzin. Przy takim upale dręcząca perspektywa. Henryk nigdy nie był zwolennikiem polowań, ale strzelać mimo wszystko miał okazję, tyle że nie na Ziemi, no i naturalnie, w sytuacji bez wyjścia. Dlatego też myślał tylko o jednym, o tym, że dopuszczenie, by zranione stworzenie wolno ginęło wskutek upału — było zawsze, we wszystkich czasach i u wszystkich narodów uważane za powód do wstydu. Z zadumą zerknął na dezintegrator, przerzucił go do prawej ręki. Ktoś nawarzył piwa, a on będzie je musiał teraz wypić.

Skierował się ku zaroślom dokąd prowadziły zbroczone krwią ślady bodulí. Oto jeden drugi... Kopyta rozdwojone tak z przodu jak i z tyłu. Dziwny ślad. Nigdy przedtem nie spotykało się tu takich, za pozwoleniem, dwustronniekopytnych bodul. Chociaż widział i jednorogie, i dwurogie, i wielorogie. I pluszowe, i z długą sierścią. I szarakowate, i z ogonem węża. Trafiały się również ramienionogie i krętoszyje, różowogrzywe i cytrynowozade. Co osobnik to inny wygląd. Ale przy całej tej nieprawdopodobnej liczbie rodzin i rzędów, kozło-, pawiano-, jeżozwierzopodobnych nie było ani ryb, ani ptaków, ani owadów. Różnych tam stawonogów, płazów oraz mięczaków tym bardziej. Półtorametrowe plamiste żaby przemieszczające się z miejsca na miejsce, głównie na tylnych kończynach, mogłyby stanowić wyjątek, gdyby nie mlecznobiałe wymię wyraźnie widoczne pomiędzy przednimi łapami.

W ogóle wszystkie tutejsze zwierzęta były do siebie zadziwiająco podobne, jeśli chodzi o gabaryty — ich wielkość wynosiła od stu pięćdziesięciu do stu osiemdziesięciu centymetrów

Poza tym wyglądało na to, że w ogóle brak tu drapieżników.

Wszystkie te kengurafy, gęsiołapy i bodule, pluszobrzuchy i żaboidy, którym ludzie nie zdążyli nadać naukowych nazw, ograniczając się do na pół bajkowych, takich, które po prostu pierwsze przyszły im na myśl, zasługiwały na uwagę już chociażby dlatego, że były w stanie znieść bez szwanku nie tylko dwustudniowy piekielnie gorący dzień, ale i równie długą, przerażająco zimną noc.

Henrykowi, choć nie był specjalistą od wewnątrzgalaktycznej fauny niejeden raz przychodziła do głowy heretycka myśl, że Polliola była całkowicie pozbawiona świata zwierzęcego a cała ta zwierzyna została dostarczona tu w jakimś celu z zewnątrz, co nie było takie nieprawdopodobne, skoro ślady bytności na planecie obcej cywilizacji były w zasięgu ręki; Czarne Pachołki, radiacyjne latarnie na biegunach i tak dalej. Tylko co tu właściwie stworzono — poligon dla ekologicznych eksperymentów czy też po prostu myśliwski wolier?

I podczas, gdy Henryk skłonny był przyjąć pierwsze rozwiązanie, Geda postanowiła urzeczywistnić drugie.

Kaprys tej czarującej słomianej kukiełki, cóż w porównaniu z nim znaczył świat jakiejś tam zapadłej planety o nazwie Polliola? Przecież najważniejsze było to, że bezbronne, mityczne stworzenie gwarantowało jej królewskie polowanie!

Henryk wzruszył ramionami, jakby zrzucał z ramion całą obrzydliwość nocy. Jak tam z orientacją? Położył na dłoni lekkie czarne pudełko i wskazówka bezbłędnie obróciła się w tę stronę, gdzie zadany jej zapach był najbardziej świeży i intensywny. A teraz... żeby tylko nie było deszczu.

Doszedł po śladzie do samego skraju kałuży, gniotąc ryflenowymi podeszwami grube trąbki zwiniętej trawy; za sprawą kropel krwi ta już zeschła i skręciła się niczym wskutek działania promieni słonecznych. Może ta krew jest trująca? Bzdury. Uprzedzono by o tym. Doszedł do „jagodziska" — młode pędy owych drzew (a może krzaków?) otaczały kałużę, strosząc się czarnymi, bezlistnymi sęczkami, kruchymi niczym elektrody węglowe. Tak, w takiej dżungli nie da się zniknąć bez śladu. A więc bodula nie mogła uciec daleko. Oto i obłamane sęczki — tu wtargnęła w głąb. Zajrzał w powstały prześwit; w dole na zupełnie gołym gruncie widoczna była jamka, w miejscu gdzie bodula upadła, a dalej nierówna bruzda niknęła w głębi zarośli. Z prawej strony tej bruzdy monotonnie różowiały plamy krwi. A więc jednak odpełzła i teraz musi iść po śladzie. A może jednak zostawić Eristawi obowiązek dobicia zwierzęcia? To nie tylko malarz, ale i myśliwy.

Ale Henryk wiedział, że dopóki znajduje się w tym miejscu, na Pollioli, żadne z pozostałej dwójki nie dostanie do rąk broni. Tak więc trzeba będzie kończyć samemu. Rzucił ostatnie spojrzenie w dół, na jamkę. I nagle, pośród zrzuconych sęczków, zobaczył coś lekko błyszczącego, zwiniętego w spiralkę.

Rogi. Niewielkie, pełne wdzięku różki. Trzeba mieć talent, by za jednym strzałem odstrzelić obydwa rogi i ranić bodulę w prawy bok... Ale nie to jest teraz ważne. Najważniejsze jest to, że trzeba się śpieszyć, bo zwierzak zapełznie nie wiedzieć dokąd.

Zaczął obchodzić jagodowy młodnik i przez jakiś czas posuwał się tropem jakiegoś zwierzęcia. Powoli zarośla stały się rzadsze i wyższe — korony nad głową splątały się tworząc ciemnooliwkową masę i dołem można było iść w pozycji wyprostowanej. Henryk sprawdził kierunek na „rinko" — wszystko w porządku, przecina drogę ranionemu zwierzęciu, i jeśli to zdążyło odpełznąć do przodu, to powinien pokazać się ślad. Przeoczyć go nie może, ziemia mimo upału jest miękka i wilgotna, po prostu marzenie dla tropiciela-nowicjusza. A oto i bruzda — świeżutka, żeby nie powiedzieć demonstracyjna. Obok niej ślady. Tylko czyje to ślady? Przecież nie bodulí! Dobrze pamiętał jej ślad: kopytko rozdwojone tak z przodu jak i z tyłu. A tu czteropalca zaopatrzona w pazury łapa. I zielonkawy śluz w zagłębieniach gruntu i na korzeniach drzew.

Wytłumaczenie mogło być tylko jedno: ktoś zręczny i śliski podążał śladem nieszczęsnej bodulí, nie zbaczając ani o cal. Po co?

To jasne. Pożądane rozwiązanie nastąpi nim zdoła się wmieszać. Dlaczegóż by to na Pollioli nie miało być drapieżników? Odpoczywającym gwarantowano, że zwierzęta zamieszkujące tę planetę są całkowicie niegroźne dla człowieka. Ale kto im zabroni żywić się jedno drugim?

Czysta sprawa. Smacznego.

Już chciał zawrócić, ale coś go powstrzymało. Być może myśli o tych co zostali w pogrążonym w mrokach nocy domku: przecież im dłużej go nie będzie, tym szybciej dojdą do porozumienia co do tego, by opuścić Polliolę przed jego powrotem, a tym samym pozwolą uniknąć mu nieprzyjemnej rozmowy. Ale przede wszystkim pozostał dług wobec bodulí, dług, który wziął na siebie z własnej woli. Kazał mu on upewnić się, że nieszczęśliwa koza skończyła swe obrachunki z życiem w ten czy też inny sposób. Inaczej do końca swych dni będzie czuć się winny. I dlatego rozpierała go ciekawość — jaszczurów nie obserwowali jeszcze ani razu. Zabezpieczył dezintegrator i ruszył dalej żyznym polliolskim czarnoziemem. Wyglądał, że był płodny, ale dziwna rzecz, nie wystawała z niego ani trawka, ani nawet mizerny mech. Wyłącznie same nieugięte pnie jednakowych drzew.

Czas mijał i Henryk poczuł, że zaczyna ogarniać go gniew. Wilgotna atmosfera dającej cień, parnej dżungli wcale nie skłaniała do szybkiego marszu. Ale jakim zapasem sił i krwi mogą dysponować miejscowe zwierzęta?! A może pogania je strach przed prześladującym je jaszczurem?

A czy to w ogóle jaszczur?

(C.D.N.)

Przekład:
MICHAŁ SIWIEC

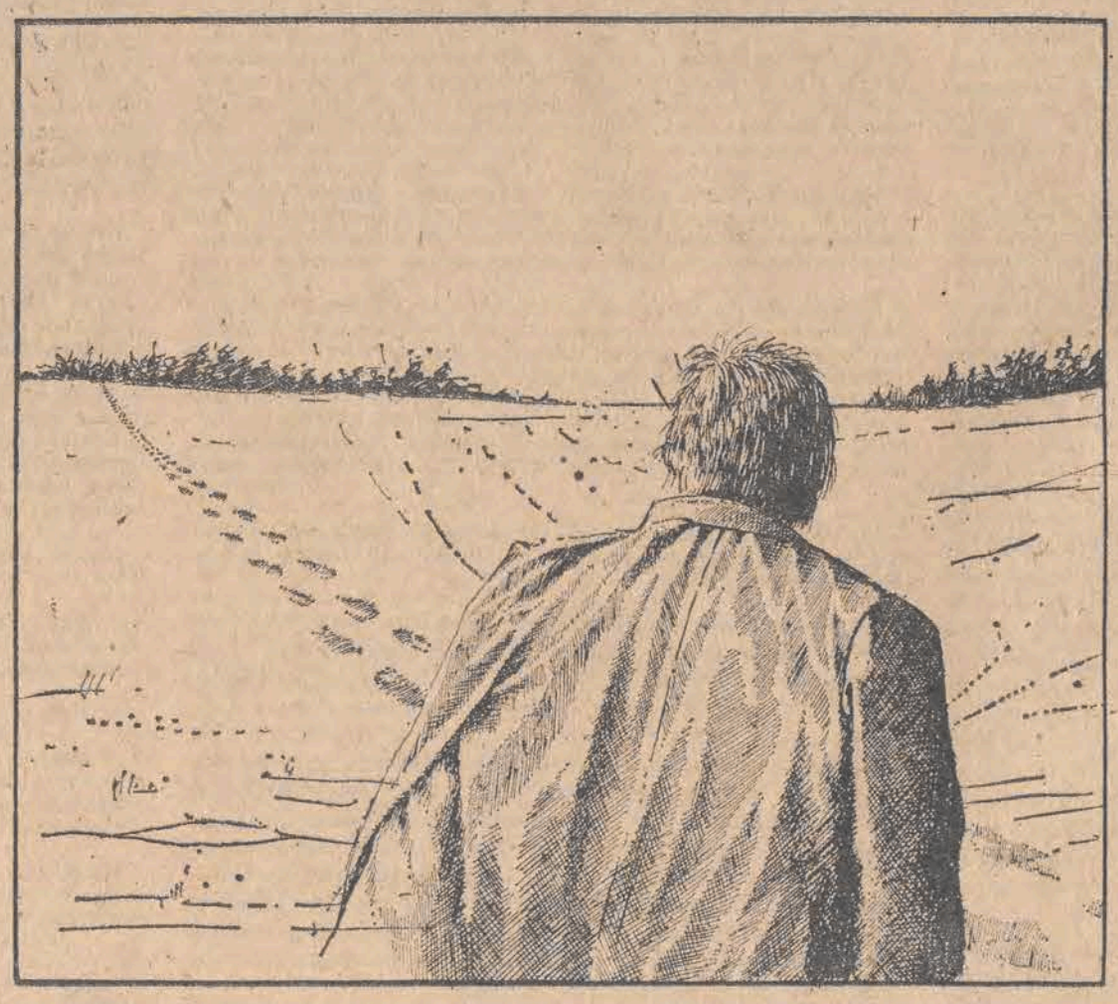

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

U fryzjera =nieregularnik felietonopodobny

Japonia

Jako człowiek staroświecki najlepiej czuję się we własnym domu, a jedynym lokalem publicznym, w którym bywam z prawdziwą przyjemnością, jest zakład fryzjerski pana Franciszka. Od wielu lat nieprzerwanie chodzę tam podcinać włosy, choć zdarza się też, że zaglądam doń bezinteresownie — na przykład przechodząc właśnie obok ulicą — i gdy widzę, że mistrz nie jest bardzo zajęty lub też — że zebrało się akurat grono stałych bywalców, chętnie wstępuję na krótką pogawędkę.

— Wyobraźcie sobie — poinformował nas ostatnio pan Franciszek — że w takiej Japonii pracuje się przeciętnie więcej niż osiem godzin dziennie, więcej niż pięć dni w tygodniu i więcej niż jedenaście miesięcy w roku. Czytałem o tym w prasie.

— Czy to aby nie przesada? — zdziwił się na te słowa emerytowany Działacz. — Człowiekowi należy się przecież wypoczynek.

— Tak, tak — poparł go Inżynier. — Nasze gazety zawsze przesadzają, albo w jedną, albo w drugą stronę.

— Ale gospodarczo... trzeba przyznać..., *godne jednak podziwu... — dorzuciłem i ja swoje zdanie.*

— Gdyby tak nasi robotnicy chcieli pracować jak japońscy... — westchnął w tej samej chwili były Starszy Referent.

— Mimo wszystko to jest wyzysk, panowie! — nie krył swego oburzenia Działacz. — Jeśli nie widzi się człowieka i jego potrzeb...

Krótko mówiąc, rozwinęła się natychmiast burzliwa dyskusja, w której od razu podzieliliśmy się na dwa obozy. Inżynier i Działacz uważali, że co prawda Japonia istotnie osiągnęła wysoki poziom rozwoju gospodarczego, to jednak — kosztem społeczeństwa, a przede wszystkim — klasy robotniczej. Literat i ja byliśmy zdania, że należy tylko pozazdrościć Japończykom ich pracowitości, a Starszy Referent powiedział nawet, że Japończycy z natury są pracowici, a Polacy — leniwi i zamiast wydajnie pracować, potrafią tylko narzekać. Pan Franciszek nie był ani po jednej, ani po drugiej stronie. Jako gospodarz starał się załagodzić powstały spór, który sam niechcąco wywołał i dla odprężenia opowiedział nam następującą historię:

— Wyobraźcie sobie — zaczął — że dostałem niedawno pocztą wezwanie do Bardzo Ważnego Urzędu na godzinę jedenastą trzydzieści w poniedziałek do pokoju numer sto pięć. Urzędowe wezwanie — święta rzecz, zwłaszcza opatrzone dopiskiem, „bardzo pilne, obecność obowiązkowa, w razie niestawienia się grozi..., i tak dalej", zamknąłem więc mój zakład na cztery spusty, wsiadłem w tramwaj i pojechałem do miasta.

W urzędzie jak zwykle było pełno ludzi, musiałem więc czekać godzinę zanim dostałem się wreszcie do pokoju numer sto pięć. Siedzący tam urzędnik sprawdził moją tożsamość, zanotował sobie coś w zeszycie, po czym, wypiwszy łyk zimnej biurowej herbatki wymamrotał pod nosem kilka słów i wezwał następnego petenta.

— No, dobrze — przerwał mu Starszy Referent. — Ale nie powiedział pan, czego dotyczyło owo wezwanie.

— Otóż to. Dokładnie tak samo powiedziałem przed wyjściem z pokoju.

— I co on na to?

— Że Bardzo Ważny Urząd chciał sprawdzić, czy ja, to ja.

— Żart, nieporozumienie? — zapytałem nieśmiało.

— I ja tak pomyślałem — odparł pan Franciszek — ale okazało się, że wcale nie, że wezwanie do Bardzo Ważnego Urzędu jest wyrazem jego troski o obywatela, gdyż teraz, po sprawdzeniu, że ja, to ja, i że nadal jestem rzemieślnikiem, mam prawo złożyć w pokoju numer sto sześć podanie o przydział pięciu buteleczek szamponu rumiankowego i dodatkowo — w dowód uznania — jednej pary nożyczek fryzjerskich z importu.

— No proszę — zareagował na to wyjaśnienie Działacz.

— Co to ma jednak wspólnego z Japonią? — odciął się Starszy Referent.

— Nic — zakończył opowiadanie pan Franciszek i dodał po chwili:

— Aha, zapomniałem powiedzieć, że w pokoju sto sześć nie zastałem nikogo, gdyż — jak mi powiedziano — pracujący tam urzędnik wybrał się właśnie do... fryzjera.

PAWEŁ TOMASZEWSKI

2

Zgniły „wybór ekstra"

Kupowałam niedawno jabłka. W prywatnym sklepie. Kiedy przyszła moja kolejka — sprzedawczyni wręczyła mi plastykowe wiaderko i zaproponowała, abym wybrała sama. Wybierałam oczywiście same największe i najładniejsze, a że nie mając doświadczenia, nie bardzo potrafię określać wagę „na oko" — zamiast kilograma wybrałam dwa i pół. Jabłka były jednak tak dorodne, że kupiłam więcej, niż miałam zamiar. Płacąc, wyraziłam zdziwienie, że właścicielka pozwala samemu wybierać nie tylko zresztą jabłka, ale także warzywa i inne towary. Przecież każdy weźmie najładniejsze, a potem zostaną same resztki, trudne do sprzedania. Okazało się jednak że właścicielce taki właśnie sposób sprzedaży opłaca się. „Najpierw biorą największe jabłka, najbardziej dorodną marchew — tłumaczyła. Gdy towar w skrzynce jest już trochę przebrany, przeceniam go i wtedy kolejne osoby biorą te średnio udane. Potem znowu przeceniam — i resztki, choć już brzydsze, ale za to tanie też się sprzeda. Odpada mi kłopot z sortowaniem, nie ma kłótni z klientami, że komuś na spód torby podrzuciłam zgniłka, a poza tym — gdy włożą w koszyk więcej niż chcieli kupić przeważnie nie każą odkładać, bo przecież takie ładne, sami wybierali Pracy mam tym sposobem trochę mniej, a i finansowo nie tracę.."

Drugi przykład, także z dziedziny handlu owocami. Było to 7 marca, przed Dniem Kobiet. Na osiedlowym minirynku stało kilku sprzedawców jabłek. Owoce mieli takie same i po tych samych cenach, ale tylko przed jednym straganem ustawiła się kolejka. Sprzedawca bowiem głośno zachęcał do robienia zakupów u niego, pokrzykując „tylko u mnie, dziś dla kobiet taniej". I faktycznie — sprzedawał paniom taniej o pięć złotych za kilogram. Dla kupującej jeden czy dwa kilo jabłek jest to suma bez większego znaczenia, a jednak pomysł był na tyle zachęcający, że wiele kobiet decydowało się postać kwadrans w kolejce, zamiast od ręki kupić na sąsiednim stoisku. Sprzedawca jabłek co prawda zarobił tym sposobem o kilkaset złotych mniej, ale sprzedał swój towar znacznie szybciej niż pozostali — a to przecież także zysk nie bez znaczenia.

Zdarzenia te przypominają mi się, ilekroć trafiam do uspołecznionych sklepów warzywno-owocowych. W każdej dziedzinie naszego handlu znajdą się przykłady złej pracy czy nieudolności organizacyjnej. Żadna jednak nie funkcjonuje chyba aż tak źle, jak handel zielonym towarem, co jest tym dziwniejsze i bardziej zasługujące na krytykę, że warzyw i owoców nie brakuje, i niczego na kryzys zwalić się nie da.

Tymczasem stałą praktyką jest, że, zachęceni widokiem równych, czystych marchewek i dużych, lśniących jabłek na wystawie sklepu wchodzimy do niego i kupujemy jabłuszka tej samej odmiany — ale małe i obite a wraz z marchwią przynosimy do domu pół kilo błota. Ceny oczywiście są takie same, jak umieszczone na wystawie.

Pani ekspedientka, proszona o wybranie dużych kartofli na placki z reguły odpowiada, że nie ma czasu na sortowanie, a owoców ładniejszych też nie wybierze, bo „każdy by chciał ładne, a brzydkie też trzeba sprzedać". O tym, że prośba o papierową torbę do pietruszki może spowodować jedynie pogardliwe wzruszenie ramionami nawet i wspominać nie warto — tym bardziej że papieru na inne, ważniejsze cele coraz bardziej brakuje, a obniżki cen, owszem, zdarzają się, ale dopiero wtedy gdy warzywa i owoce są już w takim stanie, że należałoby komuś dopłacić za ich wyrzucenie.

Obecnie na warzywno-owocowym rynku rozpoczyna się okres pewnej posuchy — ubiegłoroczne warzywa kończą się a do pojawienia się nowalijek pozostało jeszcze trochę czasu. Warto byłoby wykorzystać ten okres na wprowadzenie zmian, usprawniających pracę handlu. Przede wszystkim — jak sądzę — wielu klientów powitałoby z zadowoleniem powszechne wprowadzenie samoobsługi w sklepach warzywno-owocowych. Wiele placówek handlowych dysponuje odpowiednimi warunkami lokalowymi, umożliwiającymi taką formę sprzedaży, nie wymaga to również zbyt dużych nakładów finansowych.

Drugą istotną zmianą, którą dałoby się wprowadzić od zaraz jest uelastycznienie cen, szerokie stosowanie obniżek. Niektóre towary — np młody koperek czy pietruszka, dostarczone do sklepu rano już po południu powinny być sprzedawane po cenach obniżonych, ponieważ już zaczynają więdnąć i wartość ich jest nieco niższa. Dobrze byłoby również, aby ceny różniły się w zależności od gatunku towaru — obecnie bowiem zdecydowana większość owoców i warzyw bez względu na ich urodę — sprzedawana jest jako „wybór ekstra", w najgorszym wypadku — gatunek pierwszy, co jest zwyczajnym naciąganiem klientów.

Handel uspołeczniony, mający lepsze warunki lokalowe i większe możliwości działania niż prywatni sprzedawcy powinien zdecydowanie wygrywać w konkurencji z tymi ostatnimi. Tymczasem od wielu lat nawet nie bierze w niej udziału. Zbliżający się nowy sezon zbiorów jest doskonałą okazją, aby te złe tradycje wreszcie zmienić. Tym bardziej że nie wymaga to żadnej centralnej reformy handlu ani też ogromnych nakładów inwestycyjnych

KLIENTKA

3

Wstrząsnęło mną

Przyznaję się: wstrząsnęło mną. Przeczytałem w „Dzienniku Łódzkim" wiadomość PAP o tym, że serial „Niewolnica Isaura" bije wszelkie rekordy powodzenia. Nawet „Szogun" nie miał takiej popularności Piąty odcinek brazylijskiego serialu oglądało 84 proc. dorosłych Polaków, a 79 proc. spośród nich dało temu filmowi bardzo dobrą ocenę. Świat się już kończy!

Chała to przecież straszna. Tragiczny romans z wyższych sfer, który na dodatek dzieje się w dalekiej Brazylii. Świat dokładnie podzielony na dobro i zło, uproszczony. Myśleć przy tym nie trzeba. Ale i odpocząć przy czymś takim trudno. Mój znajomy Marek O. — bardzo prosił, żeby nie podawać nazwiska, bo zwolennicy „Niewolnicy Isaury" mordę mu w pracy obiją — twierdzi, że jak żona włącza telewizor, aby oglądać tę brazylijską chałę, to on ma takie odczucie, jakby mu przez cały organizm drut kolczasty przeciągano. Ja na ten czas chowam się gdzie tylko mogę. A 18 milionów Polaków po obejrzeniu 5 odcinka filmu powiedziało: — to było bardzo dobre!

Już Rzymianie przestrzegali, żeby o gustach nie dyskutować. Ale mamy ponoć tolerancję, więc ja domagam się prawa głosu dla tych, którym „Niewolnica Isaura" się nie podoba i którzy ten serial uważają za chałę. Niczego to i tak nie zmieni, jedynie będziemy mieli dobre samopoczucie, a to też się liczy. Człowiek o dobrym samopoczuciu lepiej pracuje, a nam bardzo trzeba, aby ludzie dobrze pracowali, bo to pomaga wychodzić z kryzysu. Jedni więc lepiej pracują, bo im pomaga w tym „Niewolnica Isaura", inni lepiej pracują, bo mogą głośno powiedzieć, że im „Niewolnica Isaura" się nie podoba. Jesteśmy w mniejszości i bardzo proszę naszych redakcyjnych zwolenników „Niewolnicy Isaury" oraz wszystkich znajomych, którym się ten serial podoba, aby byli tolerancyjni i uszanowali moją odmienność poglądów. Jeśli będziecie chcieli mi skuć mordę, to uprzedźcie, abym mógł zdjąć okulary.

Wstrząsnęło mną po raz drugi, gdy wybrałem się na film Wima Wendersa „Paris, Texas". Film otrzymał trzy nagrody w Cannes w 1984 roku. Niestety. Gdyby to ode mnie zależało, nie otrzymałby żadnej. Cała ta bowiem historia jest dokładnie wydumana, łzawa, ale płakać się nie chce, i bez konsekwencji. Nawet Nastassia Kinski ma już zamiar piersi pokazać, ale bohater filmu — dowcipnie przez Zygmunta Kałużyńskiego nazwany Amnezjakiem — powstrzymuje ją przed tym. Ze szkodą dla widowni. Być może dlatego film ten otrzymał w Cannes nagrodę Jury Ekumenicznego.

Ale burdel psychoanalityczny to Wim Wenders wymyślił. Na to mogą wpaść tylko Amerykanie. Rzecz polega na tym, iż przychodzi facet z kompleksami do czegoś takiego, wynajmuje sobie panienkę, która gra role gospodyni domowej, pielęgniarki, pokojówki i co tam chcecie i sobie z nią rozmawia. On ją widzi, ona go nie. Może się jej wyspowiadać, opowiedzieć o swych niepowodzeniach, kompleksach, ale nie może nawet jej dotknąć. W takim to właśnie burdelu psychoanalitycznym Amnezjak odnajduje swą opuszczoną żonę, aby zwrócić jej dziecko, które ona kiedyś porzuciła.

Z akcji nie wynika, czy Nastassia Kinski chce tego ośmiolatka już letniego chłopaka, czy nie. Posyła na jego konto co 5 każdego miesiąca jakąś tam sumę, raz 5 a raz 100 dolarów, ale nawet jego zdjęć nie chciała oglądać. Bo nie może ścierpieć, iż jej syn rośnie z dala od niej. No, to niech go zabierze do siebie. Kto jej w tym przeszkadza? Przecież wie, gdzie jest chłopak. I takich niekonsekwencji pełno w filmie.

Na początku bohater, czyli ten Amnezjak, idzie przez teksaską pustynię. Woda mu się kończy. Dociera do jakichś zabudowań i tam mdleje. Okazuje się, że jest niemową. Potem się okazuje, że udaje. Żyć mu się nie chce, a nie stać go na psychoanalityka. Ale sprytni Amerykanie dochodzą kim on jest i z drugiego końca Ameryki wzywają — telefonicznie! — brata. Dobrze, że u nich telefony działają. A nas z drugiego końca Łodzi trudno kogoś wezwać telefonicznie, bo nadal nie mogę dodzwonić się do numerów zaczynających się na 481... Pamięć Amnezjakowi jakoś szybko wraca. Odzyskuje syna, a później dla syna odzyskuje matkę. Ale sam wyrusza w Amerykę, aby zagubić się w tym wielkim kraju Na początku filmu wszakże gubił się na piechotę, na końcu udaje się na to gubienie.. samochodem Wiadomo Ameryka!

Bogda M., która też ten film widziała, powiedziała, że trzeba go dobrze zaadiustować, czyli podkręcić, coś by może z tego wyszło. Nie wiem. Raczej byłbym skłonny sądzić, że gdyby w ogóle nie powstał, to też dziury w niebie by nie było.

Trzeci raz wstrząsnęło mną, gdy moje redakcyjne koleżanki oświadczyły, że idą kupić sobie kapelusze, jedna już nawet kupiła, tylko ją za karę zęby rozbolały.

Jeśli następny mój felieton będzie listem ze szpitala, nie zdziwcie się.

ZENON POROWATY

4

Lewym okiem

Wola administracji

Można powiedzieć mądrze: „woluntaryzm", a można użyć za Wańkowiczem bardziej po słowiańsku brzmiącego słowa — „chciejstwo". Oba te terminy oznaczają przecież to samo: wyobrażenie sobie, że wystarczy chcieć, a wszystko będzie fajnie, że prawda jest własnie taka, jaka chcemy żeby była. W obu tych terminach jest też zawarty z góry ustalony negatywny stosunek do samej rzeczy: chciejstwo nie jest dobra cechą, jest godne kpiny i protestu.

W „Odgłosach" z 6 kwietnia Tomasz Sas polemizuje z artykułem profesora Kalety, zamieszczonym w tygodniku „Odrodzenie" na temat opozycji i prawa do krytyki. Otóż chciałbym zaprotestować przeciw niektórym myślom, zawartym w wypowiedzi redaktora Sasa.

„Mamy całkiem inny ustrój — pisze Sas. — Jedna z jego konsekwencji jest, że władza należy do ludu i wywłaszczyć go z niej nie może żadna „opozycja". Usankcjonowanie opozycji — jeśli już trzymać się tego po prostu źle użytego słowa — mogłoby oznaczać tylko przyznanie prawa do krytykowania władzy, administracji, państwa. Krytykowania bez odpowiedzialności, krytykowania totalnego i bezwzględnego."

Dalej redaktor Sas przestrzega, że takie „usankcjonowanie opozycji" stworzyłoby podział na administratorów i „rozkrytykowane społeczeństwo". A któż by — woła z patosem — pracował?

Przede wszystkim — co to znaczy, że władza należy do ludu? Władza zależy od tego, od kogo ją otrzymała. Jeśli nazywamy ją ludową, to znaczy że elektorem był „lud", czyli chłopi i robotnicy.

Jeśli władza pochodzi z wyboru, dokonanego przez lud, to ta grupa może być z niej równie dobrze wywłaszczona jak każda inna, choćby przez ten sam elektorat — ten sam lud. Oczywiście będzie się przed wywłaszczeniem z władzy bronić, metodami legalnymi, konstytucyjnymi, a czasem może sięgnąć też do innych Możemy wtedy mówić, że się „wyalienowała". Nasz ustrój — to przecież wiemy — nie jest wcale raz na zawsze zaszczepiony przeciw takiej alienacji, dlatego musi sobie — w sobie — tworzyć przeciwciała uodporniające.

„Opozycja", powiada Sas, to źle użyte słowo. Powinno być: „prawo do krytyki". Ale skutek takiego prawa to z kolei społeczeństwo rozkrytykowane totalnie, bez poczucia odpowiedzialności i — dodajmy — bez sensu. No tak, bez sensu, skoro „rzecz w tym, czy administracja ma wolę reagowania na krytykę i wyciągania z niej wniosków czy nie. I to dopiero decyduje".

Dopóki to jest prawda, wszelkie dyskusje, organizacje, instytucje, parlamenty, partie stowarzyszenia są działaniem pozornym. Jeżeli powołamy sobie władzę, godząc się z góry, że może ona wcale nie liczyć się z krytyką, wierząc że silny i nieskazitelny charakter oraz genialne umysły nosicieli tej władzy gwarantują dostatecznie interesy rządzonych aż po nie dający się przewidzieć moment czasowy — to to jest nie tylko chciejstwo, to jest także idealizm do siódmej potęgi.

Myślę, że prawo do krytyki nie tylko musi istnieć, ale musi mieć także — jak każde prawo — swoją egzekutywę, zmuszającą władzę do „reagowania na krytykę i wyciągania z niej wniosków" (każda władza, nie tylko kierownika spółdzielni gminnej). Nie mogę zgodzić się z Sasem gdy twierdzi, że zbieżność w czasie tłumienia w Polsce krytyki i nadużyć centralistycznych, woluntaryzmu gospodarczego itp. nie mają ze sobą nic wspólnego". Natomiast zgadzam się, że samo prawo krytykowania nie wystarczy. Muszą być stworzone takie warunki ustrojowe aby władza musiała liczyć się z krytyką, słuchać głosów krytycznych, reagować na nie, korygować swe decyzje, jednym słowem: nie ugrzęznąć w zadowolonym z siebie chciejstwie.

Myślę, że artykuł profesora Kalety w „Odrodzeniu" był rzeczowym zastanowieniem się nad tym, jak takie warunki ustrojowe osiągnąć, jako że (słowa profesora): „**Krytyka** jest **motorem postępu** i pozwala na permanentne doskonalenie funkcjonowania administracji, państwa i gospodarki".

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Szczecin, grudzień 1970

WIESŁAW ROGOWSKI
Fragmenty powieści „Biały punkt”

2

Tam, w szarym domu decydowały się sprawy miasta i tych tu wszystkich ludzi: przydział lub odmowa przydziału mieszkania — tamci zaś przecież mieli — a to wiedzieli wszyscy — wille i wygodne salony dla swoich rodzin; tu dawano zasiłki bezsilnym i opuszczonym lub ostrzegano — przestań pan pić, to zbrodnia wobec dzieci, które przez pana zdechną z głodu — a sami byli zawsze bezczelnie trzeźwi, co najwyżej kropneli sobie w towarzystwie, jak ludzie... I im trzeba więc pokazać, kto tu dzisiaj pan, czyja wola coś znaczy, rozkwasić pięścią nos, kopnąć chodakiem w dupę, niech wiedzą, jak życie smakuje! Ale potem, w połowie drogi, gdy gromada obrosła tłumem podpitych żulików, kurew spod „Kaskady” czy z „Żeglarskiej”, cinkciarzy i alfonsów, zamiar ten został niemal zdeptany tysiącami butów, biegnących po chodnikach, trawnikach, po jezdni...

Od strony wschodniej, przy Wyszaka, ludzie zaczęli iść w innym kierunku. Przecież jeśli ci tu stąd uciekli, to dokąd? Do Komendy Milicji, to jasne!

Być może było inaczej, kto wie, dlaczego ktoś rzucił pierwszy hasło, ale rozbuchane wyrostki, nie czekając, popędziły na Małopolską, jak awangarda nadchodzącego tłumu. Tam znów stał jakiś pancerny samochód. Wyciągnęli żołnierzy nie chcących się bronić, jak szproty z otwartej konserwy i nie dbając już więcej o nich, wrzucili do środka butelki z benzyną. Stalowy kolos zapłonął jak zapałka. Któryś zobaczył szalupę, malowniczą ozdobnego skweru, stojącą tu od lat pośrodku dużego trawnika, gdzie dzieci bawiły się w lecie pod opieką mam w romantyczne, dalekie podróże — do krainy bajek albo na odległe wyspy — po skarby piratów.

— Chłopaki! — krzyknął. — Zapalimy im to drzewo pod drzwiami!

Sto rąk podniosło łódź, oddychali miarowo, pokrzykiwali, ej raz! — chcieli w zgranym wysiłku dobiec tam jak najprędzej. Jakaś dłoń wskazała kierunek, ktoś nawoływał, podniecał, doradzał.

W tym czasie już pierwsze brukowce uderzyły w okna czerwonego gmachu. Szalupa legła ciężko z trzaskiem tuż pod żelaznymi drzwiami, pękały butelki benzyny rozbijane o burtę, rozpalił się pierwszy płomień, buchnął w górę, drzewo choć namiękłe, ale przesycone żywicą i farbą zajmowało się coraz szybciej, coraz silniej dymiąc jak pochodnia.

— Se-kre-tarz! Se-kre-tarz!

— Od-daj-cie se-kre-ta-rza!

— Niech — tu — wyj-dzie!

— Słu-gu-sy! Mor-der-cy!

Temperatura gniewu i szaleństwa podnosiła się z każdą minutą. Rozbestwione młodziki przebiegały jak dla zabawy tuż pod oknami, kamień za kamieniem bił w milczące mury, sięgając coraz wyżej, do całych jeszcze szyb. Z naprzeciwka, z domu, który był siedzibą biura paszportów, zaczęły również gęsto wypadać odłamki szkła i całe ramy; tam było łatwiej, tylko urzędnicy, więc część ludzi z tłumu ruszyła do ataku.

Nagle gdzieś z boku rozległy się krzyki, bowiem stało się coś, o czym wszyscy muszą się dowiedzieć.

— Patrzcie! Idą! Idą tutaj!

— Uciekać!

— Zostańcie!

— Nie damy się gestapowcom!

— Ludzi chcą bić!

— Pokażemy im, ścierwom!

Ulica Starzyńskiego szła w milczeniu tyraliera, fala za falą milczących, jakby bezokich miarowo stąpających ludzi w hełmach i z bronią w rękach.

Pod gmachem coś huknęło jakby granat czy petarda. W innej stronie placu pękła o bruk butelka, wystrzelił w górę płomień. Ognisko na schodach budynku rozgrzewało coraz silniej żelazne odrzwia. Kamienne bryły zatoczyły łuk w powietrzu i spadły na pierwszych, którzy miarowo szli tu w milczeniu na tłum. Ktoś z nich padł, inny z jękiem wypuścił broń na jezdnię.

— Rozejść się! Salwa w górę!

Huk, terkotliwy i śmiesznie przez to niepoważny, przetoczył się nad placem tłumiony krzykiem, westchnieniami, gestwiną ludzkich ciał.

— Na komendę! — zaczęli nawoływać jacyś ludzie. — Tam jest broń, musimy zdobyć broń! Luuudzieeee!

Naparli barkami na drzwi, obiegli dom szukając innego dojścia, zaciekle, z narastającym gniewem, zdecydowani na wszystko. Inni jednak, z obrzeży, poczęli się rozbiegać; tłum falował, to w jedną, to w drugą stronę.

— Rozejść się! Ostrzegam, będziemy strzelać!

— Ge-sta-po! — zawyły wyrostki.

— Salwa w górę!

Echo tym razem rozniosło wyraźniej huk po placu i zatrwożyli się wszyscy. Ale z tej gęstwiny nikt już nie potrafił się ani wyrwać, ani odnaleźć kierunku.

— Salwą w bruk!

W tym piekle, które zapanowało, wśród świstu rykoszetów, w owym pomieszaniu łez, gniewu i krwi, nikt nie mógł już ani pojąć, ani odnaleźć sensu tych zdarzeń, ani też wyjaśnić sobie jasno rzeczywistego powodu, dla którego przyszedł tu, a był on przecież tak bezmyślny i groźny, jak decyzja skoku głową w dół, z piętrowej trampoliny do pustego basenu.

Pod gmach Miejskiej Rady

Pod gmach Miejskiej Rady doszli tylko nieliczni. A gdy próbowali podpalić ten dom, serie strzałów oddanych świetlistymi pociskami w powietrze rozproszyły ich i rozlecieli się, tak jak spłoszone kamieniami ptaki. Część pochodu jednak zatrzymała się już wcześniej, koło sklepów PeKaO, przed szybami, które dotąd oddzielały tych ludzi od kolorowego świata dolarowych bogactw. Pękły witryny. Gromady zadyszanych młokosów, jakieś dziewczyny, nawet stare baby rzuciły się do sklepu. Rozpoczęła się grabież. Ci, co nie zdążyli i nie starczyło dla nich, rozbiegali się więc grupkami po pobliskich ulicach, tłukąc wystawy innych sklepów, wpadając do środka, niszcząc to, czego nie dało się wynieść, i wynosząc na plecach toboły wszelkiego ruchomego dobra; sypały się za nimi strużki cukru i mąki, tu i tam na chodniku leżał przez chwilę w pośpiechu upuszczony sweterek, zza lad, z półek i zaplecza spirytusowych firm wyciągano pojedyncze butelki i całe skrzynki wódki; każdy mógł brać, ile chciał, niektórzy, niecierpliwi, młodzi, odtrącali szyjki butelek o ścianę i pili szybko, łapczywie krztusząc się z pośpiechu i zachłanności. Inni, cwańsi, na trzeźwo brali skrzynka po skrzynce, ładowali na wózki dziecięce, albo brali po trzech w ręce tyle skrzynek, ile zdołali utrzymać i tak trójkami uciekali do domów milczkiem, jak najszybciej, aby powrócić raz jeszcze, jeśli tylko zdążą. Było im wszystko jedno, czy ktoś za to w przyszłości zażąda zapłaty, wiedzieli z doświadczenia, że w takim gąszczu ludzkim, wśród bełkotliwej pijanej gawiedzi ich — mądrych, zapobiegliwych i umiejętnie ostrożnych mało kto rozpozna, a potem szukajcie sobie wiatru w polu, bo gdzie dowody? A dowodów brak, wszystko albo sprzedadzą albo sami wypiją, ile się da, na umór, w swojej norze, z serdecznymi kumplami, w pustych zimą ogródkach, gdzie to, co im pozostanie schowają w piwnicy albo zakopią w piasku, a skrzynki spalą, grzejąc opierzchłe dłonie nad ogniskiem, o zmroku.

Zamrowiły się ulice Szczecina w ten późny popołudniowy czas. Był czwartek siedemnastego grudnia, ale nikt nie odczuwał zimna. Dymi się jeszcze chyba dom partii, dogasały lub dopiero co zgasły ogieńki przy gmachu, i na placu Dzierżyńskiego, już tylko żarzyły deski na pół spalonej szalupy, ale za to wysoko bił ku niebu płomień ze stacji benzynowej, u zbiegu Wojska Polskiego i Krzywoustego, naprzeciw kościoła, który stał tam samotny na Placu Zwycięstwa. Słup ognia rozświetlał wahliwie jego wnętrze, puste i osamotnione przez ludzi, blask ten rzucał na białe ściany ruchliwą poświatę.

Wielką ławą spod stacji ruszyli przed siebie. Jedni biegli jak w tańcu, inni szli tylko przyśpieszonym krokiem, pozostali wlekli się za nimi z tyłu, bez pośpiechu, weseli, rozbawieni, pewni, że jest w nich ogromna siła i że to oni panują nad miastem. Z przodu dobiegały jakieś wołania, lecz nie chcieli wiedzieć i nie dbali o to, w czym rzecz, bo w końcu to wszystko jedno dokąd pomaszerują, byle do przodu, kupą, aż znowu coś się nawinie pod rękę.

A przód pochodu skierował się ku Potulickiej, na więzienie. Ktoś bowiem zawołał raz i drugi, że tam siedzą polityczni i trzeba ich uwolnić. Ktoś inny, pewien swego, gdyż wiedział, że ich tam nie ma, nie przejmował się niczym, żadną polityką, chciał tylko aby kumpel, który wpadł za niewinność, wrócił do nich, znów zasiadł przy stole z ferajną. Butelki wyjmowali prosto z kieszeni płaszczy, z kurtek, ze spodni, podawali innym, popijali sami. Dziewczyny śmiały się rozochocone, podskakując jak w tańcu, zawiani chłopcy krzyczeli coś zuchwale wprost w niebo, do innych może, do samych siebie, bo świat był szeroki, wolny, jak step.

— Jurek! Trzymaj się! Zaraz cię wypuścimy! — darł się chudy dryblas, w nadziei, że jego głos doleci ku zakratowanym oknom.

— Zaraz będziecie wolni!

— Idziemy po was!

— Popijemy jeszcze, stary. Zabawimy się, daję ci słowo! Zadzierali głowy ku murom i dopiero po chwili dostrzegli, że w poprzek Potulickiej stoja już, jak ściana nie do przebicia, uzbrojone szeregi. Oficer zawołał wysokim, napiętym głosem.

— Zatrzymajcie się! Ludzie! Stać! Ani kroku dalej!

— Odpierdol się, ty łachudro! —odkrzyknął mu smagły na twarzy wyrostek.

— Ostrzegam! Będziemy strzelać!

— No to wal, na co czekasz?

Padła komenda, broń szczęknęła, równo, przeraźliwie.

— Ostrzegam! Stać, nie ruszać się!

Pierwsze szeregi zamilkły. Ludzie w nagłym strachu usiłowali zatrzymać się i wyrwać z tej pułapki, ale ci z tyłu napierali na nich, centymetr po centymetrze przybliżając do luf.

— Jezuuu! — zawyła rozpaczliwie dziewczyna w futerku. — Oni nas zabiją! Ludzie, nie pchajcie!

— Salwa, ognia!

Kule uderzyły o bruk, z luf pobiegły iskry, głuchy trzask kawałków stali o kamienie wyprzedził o ułamek sekundy rozpaczliwe jęki... Teraz już wszyscy, także i ci z tyłu wiedzieli, co się stało. Rozbiegli się, kto żyw, jak najszybciej, ile sił w nogach. Ale nie wszyscy z nich byli żywi.

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Ten dzień i ta noc

Ten dzień i ta noc w drukarni była jak dno głębokiej studni, którą ktoś przykrył drewnianym wiekiem i nie widać już było nic, żadnego najsłabszego nawet promienia. Bogusław chodził z kąta w kąt. Z boksu jego koledzy, wszyscy czterej patrzyli na szefa w milczeniu, czujni, pełni nie wypowiedzianych pytań, niespokojni i, co tu dużo gadać, zalęknieni grozą sytuacji.

Gdy tylko przyjechali z maszynami do pisania, papierem, bez jedzenia, nie wiedząc, czy będą tu jeden tylko dzień, czy może przez całą wieczność, on zaraz siadł przy telefonie, połączył się z redakcją.

Odezwał się Zygmunt, którego kilkanaście minut temu wyznaczył, przed odjazdem, na szefa redakcji. Wszystko, od chwili gdy dano mu polecenie ewakuacji z gmachu redakcyjnego działo się zgodnie z planem „mob”, jak w czasie wojennego zagrożenia. Nie musiał zastanawiać się, kogo wziąć z sobą, kogo zostawić tutaj.

— Mów, co się dzieje — wołał do czarnej słuchawki.

— Idzie tłum — krzyczał Zygmunt. — Teraz stają przed redakcją, grożą pięściami.

— Krzyczą? Co krzyczą?

— Prasa kłamie! — usłyszał.

— Mów dalej.

— Teraz jeden podniósł i kamień! Stary, słyszysz?

Nie słyszał, ale domyślił się, że brukowcem wybili szybę.

— Zygmunt, każ wszystkim iść do sali konferencyjnej, albo niech uciekają, słyszysz? Niech spieprzają do domu!

— Nie da się, wszędzie ten tłum!

— Więc do sali! Słyszysz?

Głos Zygmunta skierowany w głąb gabinetu do kolegów, ledwie był słyszalny, lecz Bogusław zrozumiał: bez wahań wykonuje jego polecenie. — I ty idź z nimi. Za chwilę zadzwonię tam do was, na drugi telefon!

Poczekał przez kilka minut, potem zdenerwowany, wykręcił z pośpiechu inny fałszywy numer: odezwało się jakieś małe dziecko, mówię, że mamy nie ma w domu. Zaklął. Za drugim razem uzyskał połączenie.

— No i co? Jak u was?

— Jesteśmy tu wszyscy.

— Wiesz coś więcej?

— Stąd widać tylko podwórze KW. Tam stoi jakaś grupka. Poznaje ich. Biegną do nas, przechodzą przez płot. Ktoś wyskoczył przez okno, leży, na Boga! Nie, wstał, wlecze się, chyba coś sobie zrobił! Ktoś mu pomaga. Słyszysz? To jest sekretarz rolny. Jezus, Maria, dlaczego on skakał?

Bogusław zamarł przy słuchawce. Skoro facet wyskoczył z piętra, to znaczy, że sprawy idą tam źle, to nie żarty.

— Co robić? Boguś! — usłyszał.

— Pomóżcie im. Trzeba im pomóc.

— Zgoda. Chłopcy — usłyszał znów cichy głos, bo Zygmunt wydawał jakieś polecenia.

— Spróbujcie jednak wyjść z redakcji — poradził, gdy tamten mógł go znów słuchać. — Ale nie przez frontowe drzwi. Idźcie przez księgarnię wysyłkową. Można do nich tam dostać się z korytarza, przez magazyn. Słyszysz?

— Tak, słyszę. Spróbujemy.

— Niech najpierw idą dziewczyny.

— Zrozumiałem.

— Pośpieszcie się, na rany Chrystusa!

Chciał już odłożyć słuchawkę, gdy Zygmunt powiedział:

— Słuchaj, tu Danka ma coś jeszcze do ciebie!

— Dawaj! — zdziwił się. Zygmunt usłyszał jej głos.

— Szefie, ja pójdę w miasto. Będę dzwonić, skąd się da. I inni też. Zdzisław i Piotr. Numer nocnej odpowiada?

— O'key, Danusiu — powiedział. — Tylko uważajcie na siebie! Po godzinie pierwsza zatelefonowała Danka. Potem, co kilka, niekiedy co kilkadziesiąt minut odzywał się to Zdzisław, to Piotr, to ona. Rozmawiali z nim od znajomych, rzadziej z budek telefonicznych, zresztą skąd się dało. Z ułamków faktów, z opisu zdarzeń, jakie zdołali zaobserwować, z urwanych słów i pośpiesznych, ledwie zrozumiałych zdań, narastał obraz sytuacji. Społeczność miasta, jak wody Odry, gdy wiał północny wiatr, cofający bieg rzeki, wystąpiła ze zwykłych swych brzegów, zalała place, ulice, falowała popychana namiętnością i gniewem. Tu i ówdzie powstawały niebezpieczne zawirowania, wciągające na dno — na Małopolskiej pod więzieniem; tu i ówdzie fale biły z ogromną siłą o występ kamienny — rozpadały się szyby sklepów, rozpalały się rozlane kałuże benzyny, jak na rogu Krzywoustego. Piekło — myślał. — To już chyba koniec. Gdzie są nasi? — Zastanawiał się.

Próbował nawet zatelefonować do Komendy Wojewódzkiej, ale czyjś zdenerwowany głos obiecał tylko, że ktoś się do drukarni odezwie, potem zerwał rozmowę. Prywatne numery znanych mu dygnitarzy milczały głucho: dzwonek buczał miarowo bez skutku, słuchawek nikt nie podniósł.

O tym nie mówił kolegom. Ale informował lojalnie o każdej wieści, jaką mu przekazywała ta trójka. Posępieli z każdą minutą, byli równie jak on bezradni.

— Jurek, zobacz czy dalekopisy pracują — przerwał tę ciszę.

— Taśmy idą.

— Bierzcie się więc do roboty.

Patrzał przez wewnętrzne okno na halę. Zecerzy siedzieli przy swych stołach, dłubiąc coś, ale niezbyt szybko: rozmawiali, lecz tu ich nie słyszał, czasem tylko żywszy gest zdradzał, że są przejęci. Przy maszynkach stali linotypiści podgrzewając ołów. Wszystko jakby normalnie — uświadomił sobie ze zdumieniem. — No, tak, ale to są starzy drukarze. A gazeta to rzecz święta.

Za to gotów byłby ich ucałować. Zrozumiał również, że gazeta dzisiaj to istotnie rzecz święta. Może nie być władzy, władza może skryć się nawet w mysią norę, ale gazeta rano musi być w kioskach. Jak będzie gazeta, to znaczy, że jest i władza. I to był najważniejszy wniosek, jaki wysnuł z tych wszystkich zdarzeń, ze swych wahań i jak pokład statku wśród burzy, rozkołysanej niepewności, która była udziałem ich wszystkich tutaj.

Koledzy, pod wodzą Jurka, opracowywali depeszę. Trzecia strona gazety była wczoraj gotowa i złożona, wystarczyło ją tylko złamać; to samo z kolumnami na teren. Jakoś to przecież będzie, uda się, wyjdzie gazeta, a co jutro, to się zobaczy. Najpierw zrobić dzisiaj, co do nas należy.

Późnym wieczorem przyszedł Zygmunt. Zmęczony i blady, powoli zdejmował swój płaszcz jakby zastanawiając się, co powiedzieć.

— Dobrze, że jesteś — Bogusław walnął go dłonią po plecach.

— Zostaw! — mruknął chłopak.

— Co jest, stary? — zdziwił się. — Jakieś złe wieści?

— Staje zakład po zakładzie. Moi sąsiedzi z domu wyszli wszyscy, zabrali ze sobą żarcie, koce, nawet wodę czy herbatę. Tak to jest. Będą strajkować, aż do skutku.

— A co z wódką? — usiłował zażartować dla odprężenia.

— Nie wolno im pić wódki — poważnie wyjaśnił Zygmunt.

— Jest zakaz komitetów strajkowych. A najważniejsze, bracie, to, że stocznia przejęła władzę w mieście. Komitet strajkowy Waryńskiego trzyma wszystkich w rękach.

— Dobrze, że jest ktoś, kto rządzi tym miastem — powiedział z goryczą, co miało zabrzmieć jak żart, ale było żałosnym potwierdzeniem prawdy.

— Tak. Bez nich tu palcem nie kiwnie, stary.

— A my?

— My? Żebyś wiedział, że drukarze byli już tam po instrukcje. Zakazali im robić strajk, dlatego tu dziś są, kapujesz?

— Mówisz prawdę?

— To fakt. Nie łudź się, tak długo będziemy wychodzić, jak długo oni pozwolą, ani dnia więcej...

— O kurwa! — szepnął do siebie. Usiadł, zapalił papierosa. Długo myślał, co robić, jeśliby nastąpił ten moment, w którym stocznia cofnie zakaz strajku w drukarni. Przypomniał sobie warianty planu „mob”, gdzieś jest drukarnia polowa, ale kto ją ma, do jasnej cholery? Jak tam dotrzeć? Od kogo zażądać pomocy?